WYDANIE SPECJALNE NA ŚWIĘTA

AŻ 132 STRONY BEZ ZMIANY CENY



ZADANIA DLA BONDA: CZY ZNÓW URATUJE ŚWIAT



GOLCOWIE KOLĘDUJĄ Z JANEM PAWŁEM II

PROF. NOWAK: CZY NASTAŁ KULT CHAMA

SZCZEPIONKI: CZY JEST SIĘ CZEGO BAĆ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 51-52 (420-421) 2020
14–27 grudnia 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



SEKRETY BOŻEGO NARODZENIA

Tajemnice Trzech Mędrców

ŚLEDZTWO GRZEGORZA GÓRNEGO

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl

CYFROWY POLSAT

NOWA OFERTA TELEWIZYJNA

ULUBIONE KANAŁY W JEDNYM PAKIECIE ZA **30 ZŁ/MIES.**















Na start pełna oferta TV przez

3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

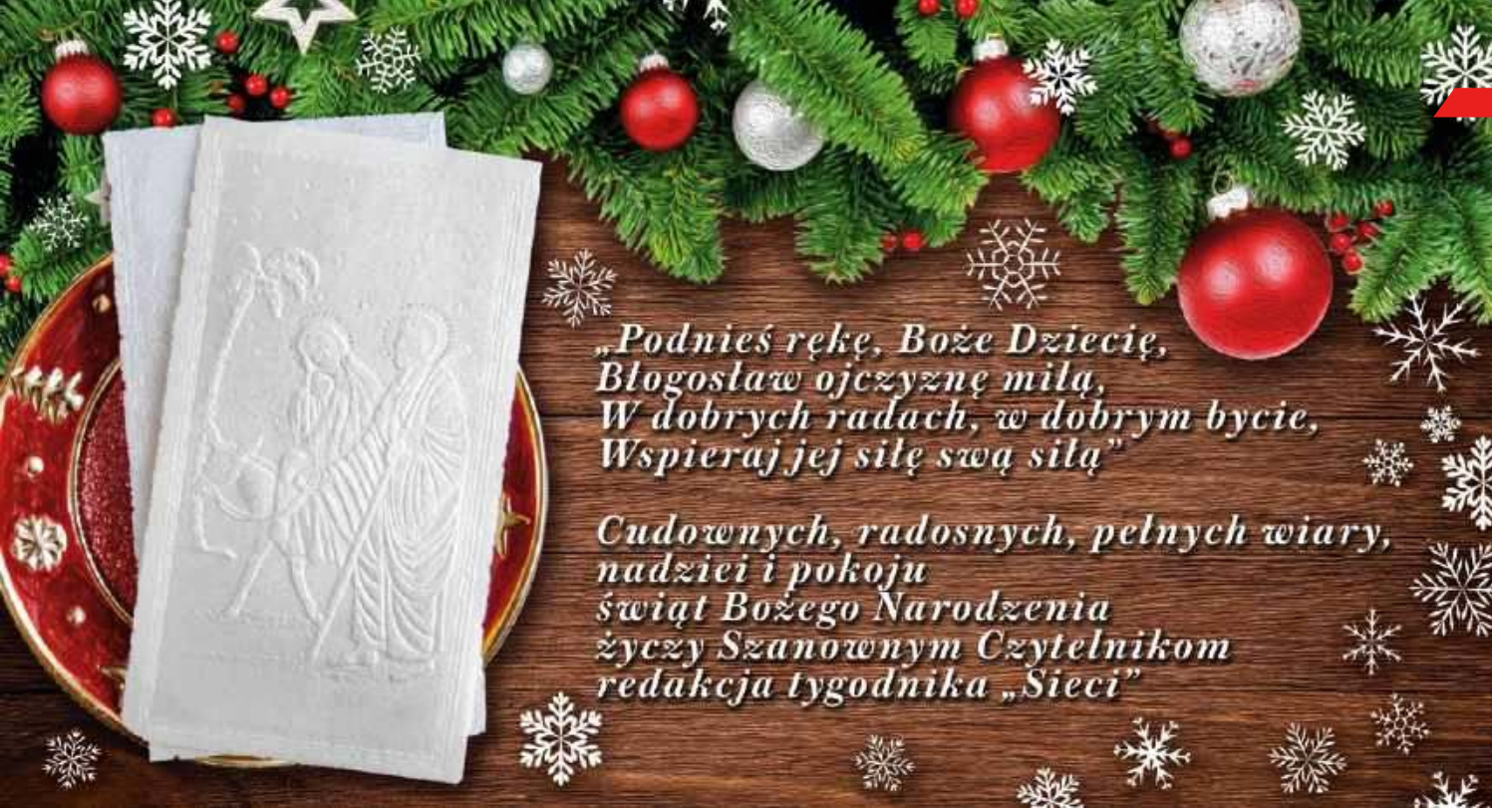




TV SATELITARNA TV KABLOWA IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach z pakietem M z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, w którym cena wynosi 30 zł/mies. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna do 27.12.2020 z możliwością przedłużenia.

„Joker". © Warner Bros. 2019. „Faworyta". © 2018 Twentieth Century Fox Film Corporation, TSG Entertainment Finance LLC, Channel Four Television Corporation and Jayhawker Holdings, LLC. „Paragraf 22". © Paramount. Wszystkie prawa zastrzeżone. LaLiga Santander, Bundesliga, Serie A TIM w ELEVEN SPORTS. Zdjęcia: DFL/Bundesliga via Getty Images, Getty Images.



Kto kogo ograł w Brukseli? Kto może mówić o zwycięstwie? Czy nas oszukają?

To był ważny tydzień. Rozgrywały się sprawy fundamentalne dla suwerenności Polski. Zaproponowany „mechanizm praworządności” był bowiem dla Polski nie do zaakceptowania. Opcje były dwie: weto albo śmierć dla tej „gołej” propozycji (co Polska i Węgry położyły na stole), albo zasadnicze ograniczenie mocy rozporządzenia, zawężenie pola jego działania do spraw budżetowych, wdrożenie precyzyjnych formuł działania Komisji Europejskiej. O to walczyła polska ekipa negocjacyjna z premierem Mateuszem Morawieckim na czele. I to osiągnęła.

Niemiecka prasa z lubością pisze, że „z tygrysków zostały futerka”, triumfalne wpisy zamieszcza Donald Tusk.

Spójrzmy jednak na fakty, a dostrzeżemy, że ten triumfalizm jest grą na uspokojenie swojego zaplecza, zwłaszcza lewicowej większości w PE, która naciska na szybkie zrobienie porządku z niepokornymi państwami. Polska poprzez konkluzje Rady Europejskiej – jak przekazują premierzy Orbán i Morawiecki – zlikwidowała wieloznaczność mechanizmu praworządności, radykalnie zawęziła możliwość jego stosowania do spraw, które powodują udowodnione konsekwencje finansowe. To przesuwa punkt ciężkości właśnie na sprawy wyłącznie budżetowe i korupcyjne.

Pojawiła się jednoznaczność i reguły, których sformułowanie było celem obu państw od początku.

A co, jeśli komisja będzie i tak używała rozporządzenia w wersji wieloznacznej, szerokiej? Co wtedy? „Komisja Europejska zobowiązuje się (w ramach kompromisu zawartego w Brukseli) stosować rozporządzenie tylko w wypadkach, gdy będzie zgodne z konkluzjami Rady Europejskiej” – odpowiedział szef polskiego rządu. Słychać, że mamy być świadkami takiego publicznego zobowiązania już niedługo.

To byłby ogromny sukces, rozstrzygające zabezpieczenie.

Polska złożyła też w toku negocjacji oficjalną deklarację, że wszystkie zobowiązania muszą zostać dotrzymane, bo w przeciwnym wypadku skorzysta z narzędzi do zablokowania unijnego porozumienia budżetowego w polskim parlamencie.

Mamy zatem sukces, ale nie oczekujmy, że niemiecko-brukselski establishment łatwo zaakceptuje niepokorność Polski, Węgier czy innych państw. W obecnych warunkach europejskich chęć zachowania pełnej suwerenności wywołuje stałe napięcie, a co jakiś czas burze. I tak będzie.

Michał Karnowski



Reklama | 9/0320/F

eprasa.pl df468be33c

SIECI

spis treści



16 *Kosmiczna walizka Mirosława Hermaszewskiego* *Michał Korsun*



91 Bo to życie zachodu jest warte *Jolanta Gajda-Zadworna*



95 Zrób sobie najsmaczniejsze święta *Anna Monicka*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WIEPRZA PIEPRZEM**
Krzysztof Feusette

9 **WCIĄŻ NIE MA MIEJSCA DLA CIEBIE**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WIRUS SIĘ COFA. RZESZA ATAKUJE**
Jan Pietrzak

14 **UTRATA NIEPODLEGŁOŚCI**
Bronisław Wildstein

16 **KOSMICZNA WALIZKA MIROSŁAWA HERMASZEWSKIEGO**
Michał Korsun

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **50 LAT PO GRUDNIU '70**
Marta Kaczyńska-Zielińska

BOŻE NARODZENIE

22 **TAJEMNICA TRZECH MĘDRCÓW**
Grzegorz Górny

26 **Z KS. ANDRZEJEM ZIÓŁKOWSKIM**
rozmawia Piotr Słabek

30 **WIARA W CZASIE ZARAZY**
Jan Rokita

34 **Z JANEM POSPIESZALSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

KRAJ

38 **Z PROF. IWONĄ PARADOWSKĄ-STANKIEWICZ**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

42 **OPCJA NIEMIECKA**
Stanisław Janecki

44 **PRAWDA EKRANU SZYMONA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

48 **Z PROF. MAGDALENĄ GAWIN**
rozmawia Marcin Wikło

49 **WYRWANI Z NIEPAMIĘCI**
Grzegorz Górny

ŚWIAT

50 **FIDESZ POD PRESJĄ SKANDALU OBYCZAJOWEGO**
Goran Andrijanić

POD CHOINKĘ

54 **NIE CZAS NA BONDA… W KINACH**
Jolanta Gajda-Zadworna

56 **KRYPTONIM BUDAPESZT–WARSZAWA**
Stanisław Janecki

60 **NIE CZAS UMIERAĆ NA COVID-19**
Przemysław Barszcz

64 **DIAMENTY NIE ZAWSZE SIĘ MIENIĄ**
Konrad Kołodziejski

68 **SPUTNIK VI I SIŁA SYBERII, CZYLI JAMES BOND NA KREMLU**
Marek Budzisz

72 **Z ŁUKASZEM I PAWŁEM GOLCAMI**
rozmawia Dorota Łosiewicz

76 **Z PROF. JANEM RYDLEM**
rozmawia Piotr Słabek

80 **JAK DYZMA POKONAŁ SYSTEM**
Wojciech Lada

84 **Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

88 **POKŁON TRZECH KARAKALI**
Przemysław Barszcz

91 **BO TO ŻYCIE ZACHODU JEST WARTE**
Jolanta Gajda-Zadworna

95 **ZRÓB SOBIE NAJSMACZNIEJSZE ŚWIĘTA**
Anna Monicka

100 **KONNE TRAMWAJE**
Krzysztof Logan Tomaszewski

102 **Z SZOPY DO EUROPY**
Robert Tekieli

103 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

104 **ADAMSKI POLECA**
Łukasz Adamski

NA KONIEC

118 **KATARZYNA ŁANIEWSKA – POŻEGNANIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

120 **ŚLADEM PAWŁA WŁODKOWICA**
Wojciech Reszczyński

122 **ŚWIĘTOŚĆ DŻESIKI**
Aleksander Nalaskowski

124 **FELIETONY**
Dominik Zdort, Jerzy Jachowicz

126 **Z ŻYCIA KOŚCIOŁA**
Agnieszka Ponikiewska

126 **ŚWIECZKA DLA ATEISTY**
Wiktor Świetlik

128 **FELIETONY**
Lech Makowiecki

129 **KANTYCZKA MAŁA**
Leszek Długosz

130 **FAŁSZYWY ŚWIĘTY MIKOŁAJ**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 39/0820/F

Następne wydanie tygodnika ukaże się 28 grudnia. Zdrowych i spokojnych świąt Bożego Narodzenia!

eprasa.pl df468be33c



PŁYN DO DEZYNFEKCJI RĄK

zawiera aż **80%** alkoholu

TRISEPT MAX

Bezpieczeństwo każdego dnia

– w miejscu publicznym, pracy i domu.

Skutecznie likwiduje wirusy, bakterie i grzyby.

Produktów biobójczych należy używać z zachowaniem środków ostrożności. Przed każdym użyciem należy przeczytać etykietęi informacje dotyczące produktu.

Trisept MAX, płyn. Produkt służący do higienicznej i chirurgicznej dezynfekcji rąk o działaniu wirusobójczym, bakteriobójczym, grzybobójczym. Produkt do powszechnego stosowania oraz do zastosowania w obszarze medycznym. Skład: Etanol 73%, Propan -2 ol, 10%, gliceryna 10%, woda oczyszczona. Producent: Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa" S.A. 03-176 Warszawa, ul. A. Fleminga 2. Nr pozwolenia na obrót produktem biobójczym: 8152/20. Wysoce łatwopalna ciecz i pary. Działa drażniąco na oczy.

TRI/514/19/08/2020

TZF

eprasa.pl df468be33c



Sygnalista nadaje

Jarosław Wałęsa zabrał głos: „Bawię się z moją córeczką, a później słyszę Rydzyka. Na tego skur... śliny szkoda, ale jak spotkam, to dostanie w pysk”; „Rydzyk to gnida, którą należy wykluczyć z życia publicznego”, „Od dziś nie jestem członkiem katolickiej wspólnoty”. Do internautów pisał per „szmato”, nie zabrakło także pogróżek. Cóż, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Następnego dnia młody Wałęsa (choć już nie tak młody) przeprosił: „Szanowni Państwo, przepraszam za słowa użyte w moich wczorajszych wpisach. Słów tych użyłem, gdyż jestem rozgoryczony wypowiedziami ojca T. Rydzyka podczas 29. urodzin R Maryja. Taki język w debacie publicznej jest niedopuszczalny. Przepraszam wszystkich, którzy poczuli się urażeni”. Dobrze, że przeprosił, ale wrażenia, że zobaczyliśmy coś naprawdę autentycznego, długo nie zatrze.

Wspomniane słowa ojca Tadeusza Rydzyka to obrona biskupa Janiaka i innych kapłanów piętnowanych (słusznie bądź nie) przez media: „Nie dajmy się, katolicy, że na księdza jakiegoś zaczną warczeć, jakieś filmidło zrobią i wszyscy się trzęsą potem”. Padło także zdanie: „To, że ksiądz zgrzeszył, no zgrzeszył. A kto nie ma pokus? Niech się pokaże. Jedna jest tylko, Maryja”. Z tym ostatnim trudno się nie zgodzić. Tylko infantylizm naszej epoki sprawia, że stare jak świat prawdy uchodzą za skandal.

Ojciec Rydzyk także przeprosił: „Zdaję sobie sprawę, iż moje spontanicznie wypowiedziane słowa zostały inaczej zrozumiane i boleśnie dotknęły wiele osób. Przepraszam, iż tak się stało”. Wcześniej słowa dyrektora Radia Maryja skrytykował m.in. administrator apostolski diecezji kaliskiej abp Grzegorz Ryś, stwierdzając: „Bagatelizowanie grzechu, a jeszcze bardziej jego konsekwencji w życiu osób poszkodowanych, nie ma nic wspólnego z drogą Ewangelii”. Cóż, czasy takie, że o lincz naprawdę łatwo. Ale uważać trzeba.

Życie bywa okrutne. Były poseł Kukiz'15 Janusz Sanocki zmarł na COVID-19 w swoje 66. urodziny. Wcześniej był koronasceptykiem; m.in. pozwał w październiku premiera Morawieckiego w związku z przymusem noszenia maseczek. Ale żegnając zmarłego, warto pamiętać przede wszystkim o jego wielkim dorobku. Janusz Sanocki był samorządowcem, społecznikiem z krwi i kości, człowiekiem pełnym pasji, nieustannie szarpiącym się ze słabościami Rzeczypospolitej. Sól tej ziemi.

A Orlen kupił Polska Press, niemiecką firmę medialną. Tym samym w polskie ręce trafiło 20 z 24 wydawanych w naszym kraju dzienników regionalnych oraz blisko 120 tygodników lokalnych. Prezes Orlenu ***Daniel Obajtek*** tak uzasadnił ten zakup: „Dzięki transakcji zyskamy dostęp do 17,4 mln użytkowników portali wchodzących w skład Grupy. Pozwoli nam to skutecznie wspierać sprzedaż i rozbudowywać narzędzia big data. To kluczowe zasoby w kontekście planowanego rozwoju sieci detalicznej”. Jak to się mówi: właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Natychmiast podniósł się krzyk, że przejęcie dzienników lokalnych to „scenariusz węgierski”. Prezes Obajtek odpowiedział następująco: „Nikt z nas nie będzie siedział i redagował tekstów”, po czym dodał: „Kupiliśmy, bo mieliśmy na to pieniądze. Ja wiem, że teraz w tym zakresie jest mocny hejt, ale kupiliśmy za pieniądze, które żeśmy zarobili. Przez poprzednie lata karmiono mafie paliwowe, więc koncernu może wtedy nie było stać na akwizycje”. Celne, ale teksty powinno się jednak redagować, w przeciwnym razie gazecie grozi chaos.

eprasa.pl df468be33c

Adam Szłapka z Nowoczesnej (także z Koalicji Obywatelskiej) transakcję określił jako „wrogie przejęcie mediów w Polsce”, po czym dodał: „Nie kupuję na PKN Orlen”. Tę myśl pociągnął Jerzy Meysztowicz, również Nowoczesna: „Po tym jak Orlen kupuje następną tubę propagandową PiS, należy się zastanowić nad ogólnokrajowym bojkotem tych stacji. To za nasze pieniądze będą dalej ogłupiać społeczeństwo”. Trudno, niech jeżdżą gdzie indziej. Lekko nie będzie, bo np. poziom toalet na „zachodnich stacjach” często woła o pomstę do nieba.

Płacze także „Gazeta Wyborcza”: „Przejęcie 20 z 24 wydawanych w Polsce dzienników regionalnych odbywa się przy milczeniu – jeśli nie akceptacji – kanclerz Angeli Merkel. Berlin już wcześniej przymykał oczy na łamanie wolności prasy na Węgrzech”. W sumie „Niemcy kolejny raz sprzedają autokratom wolne media”, to „skaza na wizerunku” kanclerz Niemiec. Zdumiewający wpis. Wynika z niego, że szefowa niemieckiego rządu ma coś do powiedzenia w sprawie decyzji niemieckich koncernów medialnych. To tak wolno? Tak to działa? Szok.

Magdalena Adamowicz: „Trzeba nazywać rzeczy po imieniu: wydawcą 20 dzienników regionalnych, 120 tygodników i 500 portali jest od teraz Prawo i Sprawiedliwość. Tym szybciej trzeba uruchomić unijny fundusz dla niezależnych mediów, którego na mój wniosek domaga się w rezolucji Parlament Europejski”. Jeszcze im mało? Media opozycyjne zbierają pewnie 90 proc. całego rynku reklamy komercyjnej i naprawdę, co jak co, ale bieda im nie grozi. Nigdy nie groziła.

Opozycja rzeczywiście w głębokim szoku. Posłanka KO Klaudia Jachira: „Na zespole dot. LGBT spotkanie europosłów i europosłanek z całej Europy. Są z różnych partii, ale wszyscy mili, uśmiechnięci i chcący naprawdę pomóc Polsce. Jak długo jeszcze będą mieli siłę i chęć, by nas wspierać? Jak myślicie, czy Unia będzie chciała umierać za Warszawę? Dzisiaj Polska po przejęciu prasy lokalnej przez PiS jest jak Niemcy w momencie dojścia Hitlera do władzy”. Gdyby tak było, to pani Jachira właśnie zapisywałaby się do partii rządzącej, tak jak to zrobiły miliony – także lewicowych – Niemców po styczniu 1933 r.

Efekty fatalnego eksperymentu z gimnazjami szybko nas nie opuszczą. Oto Aleksandra Gajewska, posłanka Koalicji Obywatelskiej, oświadczyła podczas konferencji prasowej: „Proszę państwa, ponad 70 proc. Polaków sprzeciwia się Jarosławowi Kaczyńskiemu i chce jego dymisji. Z tego 95 proc. to są młode kobiety”. Internauci: „Zamiast chodzić na protesty, powinna się wziąć za matmę”.



Z kolei ***Robert Biedroń*** ma nowe pomysły. „Lewica i Wiosna uruchamia ogólnopolską akcję, w ramach której będziemy oczekiwali, że państwo polskie wbrew prawu nie będzie więcej już zatrudniało kapelanów w instytucjach opieki zdrowotnej”. Zdaniem Biedronia, „pora z tym skończyć”, oczywiście w imię oszczędności. Lewica jest nie tylko głupia, ona jest także bardzo okrutna. Tak totalitarnie okrutna.

Śpiewak Maciej Maleńczuk bierze udział „w tych manifestacjach” i ma pomysł: „Uważam, że Marta Lempart powinna na trwałe wejść do polityki i startować nawet na prezydenta”. Pomysł doskonały, popieramy z całego serca. W razie czego pomożemy nawet zebrać niezbędne podpisy.



Syn wicepremiera Gowina Ziemowit pouczył z kolei córkę prezydenta Dudy Kingę, która zabrała głos w sprawie wyroku Trybunału Konstytucyjnego dotyczącego aborcji. „Żeby się zastanowiła, czy to, co robi, jest zgodne z jej przekonaniami i czy słuszne według niej samej. Jeżeli tak, to ma pełne prawo, ale jeśli robi to ze względu na presję rodziny, to zachęcałbym do życia według własnych zasad” – mówił Ziemowit Gowin. Można tylko przestrzec młodego człowieka, że życie według tzw. własnych zasad to zazwyczaj życie tylko dla siebie, a ono do szczęścia nie prowadzi.

Jeszcze raz Ziemowit Gowin: „Kiedy słyszę ministra Czarnka mówiącego, że »kobieta ma pewne obowiązki« i że należy do nich rodzenie dzieci, to jest to wstecznictwo do sześcianu”. Czarnek odpowiedział tak oto: „Gdyby tak Pan Ziemowit rzeczywiście najpierw chciał posłuchać, i to jeszcze ze zrozumieniem, to zamiast opowiadać niemądre rzeczy, mógłby się nawet czegoś nauczyć. Zachęcam”. Tłumaczyć należy, ale to jednak smutne, że mamy świat, który walczy z macierzyństwem.



Premier Orbán znów wpadł do Warszawy na konsultacje przed unijnym szczytem. Po spotkaniu premier Węgier zapewnił: „Kiedy jego ekscelencja Kaczyński zaprasza mnie, to zawsze przyjadę. Na Węgrzech jest on legendą i cieszy się tam ogromnym szacunkiem. Po drugie, premier Morawiecki jest w pewnym sensie moim szefem, bo to on teraz przewodzi w Grupie Wyszehradzkiej”. Umie czarować, ale co do szacunku – to prawda. W sumie „ekscelencja” brzmi ładnie, ale stosowane u nas „Naczelnik” jednak lepiej.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl df468be33c

Wieprza pieprzem



KRZYSZTOF FEUSETTE

Kiedy dwudziestego czwartego dwunastego najsilniejszy w województwie kur zapiał dwadzieścia cztery razy, zwierzęta zasiadły do świątecznej kolacji z dwunastu potraw. Była inna niż co roku, bo z okazji nowych obostrzeń, a w zasadzie im właśnie na przekór, fauna, jak to ona, postanowiła się spotkać w wyjątkowo licznym towarzystwie. Była więc rodzina ze wsi, wpadli krewni z ogrodu zoologicznego, tudzież pomniejsze gady, płazy i owady płci niebinarnej. Nie licząc konia z uzdą, maseczki miały na twarzach tylko szympansy. Reszta nie wiedziałaby nawet, jak je założyć. Poza tym baran mówił, że nie ma żadnej pandemii.

Zanim lew zdążył drapnąć mikrofon, lis owijał już sobie kabel wokół szyi. „Majdan! Majdan teraz albo nigdy! Za mną, ludzie! To znaczy, zwierzęta!". Znały to na pamięć, rudy budził wyłącznie politowanie, nawet u wyliniałego wilczura, który w obliczu trzydziestej szóstej próby zjednoczenia antyludzkiej opozycji postanowił nawiedzić dawnych towarzyszy osobiście, choć i on z nimi, i oni z nim, nudzili się przeokropnie. Dawno zerwał się z łańcucha, ale wciąż ciągnęło go do budy, przez jej niewielki format, zwanej budką. No i do nich. Czuł się wtedy naprawdę lepszy. „Sorry, czy ja mogę?" – zagęgała nagle gąska, znana zdrajczyni każdego i wszystkich, a co gorsza, także ich wspólnej zagrody. „Bo mam pytanko – o której będzie wigilijny pasztecik?" – zapytała, mrużąc filuternie okulary. „Wariatka!" – zarżał koń. „Kto je pasztecik w czasie Wigilii?". „Aha, no, tak" – odgęgała wstydliwie przyszła pasztetowa. „To może zamówimy de volaille'a?" – rzuciła szybko. „Ko-ko-kochana..." – oburzyła się kura. „A ko-ko-kopa chcesz?". „Pamiętajcie, gdzie jest whóg" – zawył wilczur tak nerwowo, że spod kagańca poleciała brukselska piana. Wtedy usłyszeli huk. Sekundę potem żelazna brama do obory wleciała do środka razem z zawiasami, framugą i sporym kawałem ceglanego muru. Gdy opadł kurz, tam, gdzie wcześniej był próg, stał, a w zasadzie siedział w lektyce trzymanej przez leminga, osła, skunksa i hienę czerwony z podniecenia wieprzek w rozmiarze XXL, orientacji różowej, z elementami owłosienia zaczesanymi „na guźca". A za jego plecami czy – precyzyjniej rzecz ujmując – zakręconym, jak świński ogon, ogonkiem stały inne okazy z transparentami, których treść natychmiast przyprawiła o mdłości nawet pawia.

Wieprzek wspiął się na raciczkach najwyżej, jak umiał, najwierniejsza indyczka podała mu szczekaczkę, która wyglądała teraz jak wieprzka dziób, a przecież nie był ptakiem, choć nielotem, owszem. „Dobra, k..., wypier-papier!" – poinformował zebranych przy świątecznym stole. „Koniec imprezki, wasz czas minął! Teraz, k..., my mamy tu wynajęte!". Zapadła cisza. „Przepraszam bardzo, ja też mam mały, że tak powiem, lont... – nieśmiało zaczął dmuchany krokodyl, który zaplątał się tam przez przypadek, a znany był z lania łez na zawołanie – ale może byśmy połączyli stoły, co?". „Nie pieprz, Pietrze, krokodyla pieprzem, tak ci to sparafrazuję, bagienny pomiocie! Wypier-papier ten plastik!" – wieprzek dał znać gorylom, żeby zajęły się zielonym w pierwszej kolejności. „A reszta na co czeka? Nie będzie żadnego, psia mać, złączenia stołów, kto nie jest z nami, jest przeciw nam! A my nie chcemy więcej jeść przy stole, bo to jest wynalazek człowieka! To, co ma cztery nogi, ma się podporządkować temu, co ma dwie?! To jest wojna!" – zagrzmiał. Większość zamruczała z aprobatą, nawet żaba skumała, że coś jest na rzeczy. „Niech wam koń opowie, jak po nim jeżdżą! Jak po łysej kobyle!". „No, aż tak, to może nie..." – koń próbował oponować, ale już do zadu muł przykładał mu rewolwer. „No, tak, jeżdżą po mnie strasznie. Biorą do galopu. Orka jest potworna". „Widzicie?!" – zakwiczał wieprzek. „Nie dajcie się zrobić w konia! Chcecie obchodzić ludzkie święta? Ten zabobon, przeżytek i katotaliban prawacko-watykański?! Od dziś zrywamy z tą, pożal się, bobrze, tradycją!".

Zwierzęta początkowo stały jak zaczarowane. Urok wieprzka, jego wdzięk osobisty i kultura wyższa urzekły wielu z nich. A do tego wieprzek głośno mówił to, o czym wiele z nich myślało wcześniej jedynie w zaciszu swego ciasnego chlewika, obory, bagna czy kreciej nory. Bo przecież marzyli, by w końcu zgnieść ludzi w pył. Przejąć ich bazy danych i sieci społecznościowe, a potem stworzyć rząd zwierzęcych marzeń. Który nie będzie obchodził żadnych ludzkich świąt, a już na pewno nie tych związanych z czyimś narodzeniem. Tą drogą wydawał się iść wieprzek, zbyt mały, by nie dodawać sobie krzepy rzucaniem mięsa (na boki i nie tylko), ale zbyt cwany, by nie wiedzieć, że dopóki nie krzykniesz „wypier-papier", nikt nie zwróci uwagi na kogoś aż tak wieprzkowatego. Z kolei gdy krzykniesz, może ktoś jeszcze się ześwini? Czyż baran nie marzy o byciu ministrem oświaty? Czy tygrys nie chciałby zostać ministrem rolnictwa, a tchórzofretka – obrony zagrodowej? Czy dyplomacji nie powinien poprowadzić kret?

Tak myślało przez moment wiele z nich. Ale potem, czy – jak to zwierzętom – skończyła im się cierpliwość i wykopały wieprzka z lektyki, a potem dużo dalej, gdy po raz czterdziesty czwarty krzyknął „Wypier-papier", czy może jednak kogut, zirytowany propozycją de volaille'a, zapiał grubo przed czasem na godzinę pierwszą, która ucinała ich ludzkie rozmowy, faktem pozostaje, iż wobec braku możliwości porozumienia się zwierzęta, dzikie i miejskie, podleśne i cyrkowe, rozeszły się do swoich zajęć. Szkody w oborze naprawili ludzie.

eprasa.pl df468be33c

Wciąż nie ma miejsca dla Ciebie

„Nowa świecka tradycja" mordowania Bożego Narodzenia dotarła niestety także do Polski

Co roku przed Bożym Narodzeniem gdzieś na świecie pojawiają się kolejne nowe pomysły na zwalczenie tego święta. Właściwie przyzwyczailiśmy się już, że świat postanowił zastąpić Boże Narodzenie „zimową przerwą", a choinkę „zimowym drzewkiem".

Popularne kiedyś w Belgii bożonarodzeniowe jarmarki stały się „zimowym rynkiem", taka nazwa ma być bowiem bardziej neutralna i nie narzucać nikomu chrześcijańskiego światopoglądu. We Francji bożonarodzeniowe szopki na razie udało się ocalić, choć był plan całkowitej ich likwidacji. Mogą zostać, ale pod warunkiem, że nie będą miały charakteru religijnego. Ot takie „instalacje końca roku". Jedna ze szwedzkich firm meblowych, która postanowiła być świątecznie neutralna, zastąpiła Boże Narodzenie zwrotem „zimowa impreza", a choinka stała się „rośliną sztuczną do wewnątrz".

Na tym jednak nie koniec. Nie wystarczy zmiana języka. W niektórych przypadkach okazało się nawet, że pewne kolory mogą się kojarzyć z narodzinami Jezusa Chrystusa.

I tak w ubiegłych latach jedna ze szkół w Omaha w stanie Nebraska zabroniła świątecznych dekoracji w kolorze czerwonym, te mają się kojarzyć bowiem z chrześcijańskimi świętami. Władze szkoły wydały nawet specjalny dokument, w którym opisano, co wolno, a czego nie wolno przed świętami. Władze szkoły przypomniały, że nie obchodzi się u nich świąt Bożego Narodzenia ani żadnych innych. Zabroniono podejmowania uczniom przedświątecznych aktywności, w placówce uczą się bowiem wyznawcy różnych religii i nie mogą czuć się wyobcowani. Zabroniono nie tylko dekoracji tematycznej, ale nawet używania kolorów czerwonego i zielonego, bo te najbardziej kojarzą się ze świętami. Zabroniono też przynoszenia świątecznych słodyczy. W innej części globu, w Wielkiej Brytanii w hrabstwie North Yorkshire, zakazano wszelkich świątecznych tradycji. Miało nie być ani świątecznych kartek, ani zabaw, ani prezentów czy choinki. Ostatecznie dyrekcja ugięła się pod presją rodziców, ale nie wiadomo na jak długo. Natomiast w Terni we Włoszech jedna ze szkół nie pozwoliła na umieszczenie na swoim terenie tradycyjnej szopki, tłumacząc to szacunkiem dla dzieci innych kultur. Tam zaprotestował rząd. Szopka zniknęła też w jednym z centrów handlowych w Szkocji, a kierownictwo galerii tłumaczyło, że chce być religijnie i politycznie neutralne, a klienci mają czerpać przyjemność ze spędzania wolnego czasu bez poddawania się indywidualnym przekonaniom religijnym.

Ta „nowa świecka tradycja" mordowania Bożego Narodzenia dotarła niestety także do Polski. Widać ją choćby w świątecznych kartkach, które przygotowały władze stolicy. Zabrakło na nich nie tylko świątecznych kolorów, ale i symboliki religijnej. Życzenia z okazji „zimowego czasu" warszawiacy mają sobie wysyłać na kartkach, gdzie symbolem Narodzenia Pańskiego jest stalinowski Pałac Kultury i Nauki, a mędrców do Mesjasza prowadził najwyraźniej pojawiający się na kartkach półksiężyc. Niektórzy radni wybuchem złości reagują na pomysł dzielenia się opłatkiem i protestują przeciw wigilijnym spotkaniom. W niektórych miastach pojawiają się „świeckie choinki", ta w Pile np. udekorowana została symbolami medycznymi.



Zastanawiam się jednak, czy od dwóch tysięcy lat coś się zmieniło czy tak naprawdę nie zmieniło się dokładnie nic. W jednej z pięknych polskich kolęd śpiewamy:

„Nie było miejsca dla Ciebie
w Betlejem w żadnej gospodzie
i narodziłeś się, Jezu,
w stajni, w ubóstwie i chłodzie.
Nie było miejsca, choć zszedłeś
jako Zbawiciel na ziemię,
by wyrwać z czarta niewoli
nieszczęsne Adama plemię.
Nie było miejsca, choć chciałeś
ludzkość przytulić do łona
i podać z krzyża grzesznikom
zbawcze, skrwawione ramiona.
Nie było miejsca, choć szedłeś
ogień miłości zapalić
i przez swą mękę najdroższą
świat od zagłady ocalić.
I tego miejsca wciąż nie ma.

Życzę Państwu, żeby miejsce znalazło się w Waszych sercach. Niech tam narodzi się Zbawiciel. Chociaż tyle i aż tyle.

Dorota Łosiewicz

Człowiek Sorosa w Białym Domu?

Patrick Gaspard, szef fundacji Open Society George'a Sorosa, ma pełnić ważną funkcję w administracji Joego Bidena. Takie spekulacje pojawiły się po tym, jak po zaledwie trzech latach zasiadania w fotelu prezesa zrezygnował on z kierowania fundacją. Gaspard ma ustąpić z końcem roku i nie ukrywa, że jego następnym krokiem będzie działalność polityczna.



Przejście do administracji Bidena nie byłoby zresztą dla Gasparda niczym nowym. W latach 2013–2016 był on ambasadorem w RPA, gdzie – jak twierdzi gwiazda Fox News, Tucker Carlson – popierał odbieranie ziemi białym farmerom przez czarnych, a wcześniej stał na czele Biura Spraw Zagranicznych Białego Domu. Gaspard byłby więc kolejnym człowiekiem z ekipy Baracka Obamy, który wraca do Waszyngtonu, co mocno rozczarowuje lewicę, która po cichu liczyła na socjalną rewolucję w duchu Berniego Sandersa.

Zdaniem mediów Gaspard może objąć w administracji Bidena tekę sekretarza pracy. W swoim oświadczeniu napisał, że świat bardzo potrzebuje dziś współpracy rządów i organizacji pozarządowych, aby budować jedność i solidarność. Gaspard podkreśla też, że wchodząc do polityki (w domyśle u boku Bidena), będzie robił dokładnie to samo, co w fundacji George'a Sorosa, a więc walczył „ze światową opresją".

Sam Soros nie ukrywa, że jego celem jest przebudowanie świata na liberalno-lewicową modłę i od lat wspiera hojnie Partię Demokratyczną. Słynny spekulant ostro zwalczał Donalda Trumpa, a według wielu doniesień miał finansować gwałtowne protesty, które wybuchły w Ameryce na początku kadencji odchodzącego prezydenta. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że Joe Biden jest mu bliższy niż Hillary Clinton czy Barack Obama. Niemniej jednak decyzja o zaproszeniu do administracji Bidena prezesa Open Society uwiarygodni mniej lub bardziej prawdziwe teorie spiskowe. Nie przez przypadek Soros powiedział przecież, że „podziwia Gasparda i jego pracę na rzecz liberalizmu światowego".

Łukasz Adamski

Fot. Adrin Shamsudin/Shutterstock.com

Róg Afryki znów niespokojny



Fot. Shutterstock

Na początku grudnia Biały Dom podjął decyzję o całkowitym wycofaniu amerykańskiej misji wojskowej z Somalii, gdzie od 13 lat przebywał ograniczony kontyngent liczący 700 żołnierzy. Oddziały zostaną przeniesione do amerykańskich baz w Kenii i Dżibuti, a Stany Zjednoczone zamierzają wspierać rząd w Mogadiszu, wykonując uderzenia powietrzne wymierzone w powiązaną z Al-Kaidą terrorystyczną formację al-Shabaab, która kontroluje znaczne obszary kraju i – zdaniem niektórych ekspertów – osiąga, nakładając podatki i haracze, większe dochody niż rząd prezydenta Mohameda Abdullahiego Mohameda.

Krytycy decyzji Donalda Trumpa uważają, że ten krok – podjęty wkrótce przed zaplanowanymi na luty wyborami prezydenckimi w Somalii – osłabi stabilność tego państwa i może doprowadzić do rozpadu armii rządowej, która w istocie jest zlepkiem klanowych milicji. Argumentują również, że rzeczywistym powodem decyzji Donalda Trumpa jest jego osobista niechęć do członkini Izby Reprezentantów Ilhan Omar należącej do radykalnie lewicowego skrzydła Partii Demokratycznej, która będąc dzieckiem, przybyła do Stanów Zjednoczonych jako uchodźca z Somalii.

Niezależnie od tego, jakie są przyczyny decyzji Trumpa, wycofanie wojsk amerykańskich rzeczywiście komplikuje sytuację wewnętrzną w Somalii, która po załamaniu rządów prezydenta Mohameda Siada Barre w 1991 r. przekształciła się ostatecznie w państwo federacyjne. Władza obecnego prezydenta Abdullahiego Mohameda opiera się w znacznej mierze na wsparciu wojsk etiopskich wykonujących misję w ramach Unii Afrykańskiej. Jednak również oddziały etiopskie mogą zostać wycofane z powodu wojny, która wybuchła w prowincji Tigray. Ewakuacja Etiopczyków i Amerykanów może ponownie ożywić nastroje separatystyczne pojawiające się już w przeszłości w położonej na południu i graniczącej z Kenią prowincji Jubaland, a także na północy – w Puntlandzie na granicy z Somalilandem, na której już raz, w 2018 r., doszło do starć zbrojnych.

Paradoksalnie sytuacja wewnętrzna we wspomnianym Somalilandzie, nieuznawanej przez nikogo islamskiej republice utworzonej w 1991 r. na terenach stanowiących wcześniej protektorat brytyjski, jest znacznie bardziej stabilna niż w samej Somalii. Można wręcz mówić o szybkim wzroście gospodarczym kraju, którego PKB podskoczył w 2019 r. o 4,5 proc. W Somalilandzie udało się też zbudować stabilny jak na warunki afrykańskie system quasi-demokratyczny, w którym regularnie odbywają się wybory, a przedstawiciele wszystkich liczących się grup plemiennych reprezentowani są we władzach. Somaliland w ostatnim czasie stał się nawet przedmiotem zainteresowania m.in. Chin i Rosji, które testowały możliwość założenia na jego terytorium baz wojskowych.

Marek Budzisz

eprasa.pl df468be33c



Fot. LCV/Shutterstock.com

Wybory bez wigoru

Rumunia

Pomimo 13 lat stażu w Unii Europejskiej Rumunia pozostaje jednym z najuboższych państw kontynentu, z dużym wskaźnikiem korupcji oraz wielką emigracją zarobkową. Wybory parlamentarne przeprowadzone 6 grudnia prawdopodobnie niewiele tutaj zmienią. Przede wszystkim nie wierzą w to sami rumuńscy wyborcy, z których tylko jedna trzecia pofatygowała się tydzień temu do urn. Oczywiście oprócz rozczarowania politykami tak niską frekwencję można również tłumaczyć powszechną obawą przed zarażeniem koronawirusem.

Zwycięzcą wyborów została postkomunistyczna Partia Socjaldemokratyczna (PSD), która otrzymała 30 proc. głosów. Kolejne miejsce (25 proc.) przypadło centroprawicowej Partii Narodowo-Liberalnej (PNL), której szef Ludovic Orban od października 2019 r. kieruje rządem mniejszościowym.

Podczas kampanii wszystkie sondaże wskazywały, że w wyborczym wyścigu prowadzi rządząca centroprawica, dlatego porażka partii Orbana była sporym zaskoczeniem – tym większym, że rumuńscy socjaldemokraci, którzy ponad rok temu utracili władzę na rzecz PNL, pogrążyli się w skandalu korupcyjnym, a ich były lider Liviu Dragnea trafił do więzienia.

Po ogłoszeniu wyników Orban podał się do dymisji, ale – mimo porażki wyborczej – to właśnie jego partia ma największe szanse na sformowanie nowego rządu. Wszystko bowiem wskazuje na to, że ugrupowanie USR-Plus, określane jako „progresywne" i „proeuropejskie", które zajęło trzecie miejsce w wyborach (15 proc.), jest gotowe do utworzenia koalicji z PNL. Jako nowego premiera wymienia się ministra finansów Florina Citu.

Do parlamentu weszły jeszcze dwa inne ugrupowania: Związek dla Jedności Rumunów (AUR) oraz Demokratyczny Związek Węgrów w Rumunii (UDMR). Zdobycie 9 proc. przez eurosceptyczną i antysystemową partię AUR, która domaga się m.in. połączenia Rumunii z sąsiednią Mołdawią, to chyba największa niespodzianka tych wyborów. To formacja, która istnieje dopiero od roku, a w ostatnich wyborach samorządowych zdobyła zaledwie 1 proc. głosów. Błyskawiczny skok jej notowań również świadczy o silnym rozczarowaniu Rumunów obecną sytuacją w państwie i wynikającą stąd dużą nieprzewidywalnością sceny politycznej.

Goran Andrijanić

Słowacja

Koniec ery nietykalnych

Po zabójstwie dziennikarza śledczego Jána Kuciaka dwa lata temu do słowackiej publicystyki weszły nowe pojęcia: „mafijne państwo" i „ukradzione państwo". Ostatnie wydarzenia w Bratysławie potwierdzają trafność tych określeń. W ramach operacji „Judasz" słowaccy śledczy zatrzymali pod zarzutem korupcji byłego szefa policji Milana Lučanskiego, zdymisjonowanego kilka miesięcy temu przez nową ekipę rządową.

Jego poprzednik Tibor Gašpar został z kolei aresztowany na początku listopada w ramach akcji „Czyściec". Jest on oskarżony o to, że brał udział w tworzeniu „równoległej policji", która zamiast ścigać przestępców, zbierała kompromitujące materiały i szantażowała biznesmenów oraz polityków. Zdaniem śledczych na czele tej kryminalnej struktury policyjnej nie stał jednak Gašpar, lecz przedsiębiorca z Nitry Norbert Bödör.

Oprócz nich o korupcję, pranie brudnych pieniędzy i przestępczość zorganizowaną oskarżono też innych wysokich oficerów policji i służb specjalnych, sędziów, prokuratorów i biznesmenów. Jest wśród nich jeden z najbogatszych Słowaków, współwłaściciel grupy finansowej Penta, Jaroslav Haščák. Miał on kupować nagrania z tajnych podsłuchów od byłego szefa tajnych służb Ľubomíra Arpáša, który również został aresztowany.

Wszystko wskazuje na to, że nowy centroprawicowy gabinet premiera Igora Matovicza spełnia swoje przedwyborcze obietnice, iż rozpocznie proces odzyskiwania „ukradzionego państwa". Śledczy i prokuratorzy dostali od rządzących wolną rękę, by zająć się wpływowymi osobami, nad którymi dotąd rozpostarty był parasol ochronny. Część zatrzymanych zgodziła się współpracować z policją w zamian za zmniejszenie wyroków. Słowaccy publicyści piszą, że kończy się era ludzi nietykalnych.

Do wspomnianych przestępstw doszło, gdy krajem rządziła partia SMER premiera Roberta Fico. Wszyscy zadają sobie pytanie, czy politycy tego ugrupowania rzeczywiście nic nie wiedzieli o tym, co się wówczas działo. Na to pytanie będą musieli odpowiedzieć śledczy.

Grzegorz Górny


Fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33c

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wirus się cofa. Rzesza atakuje



Jan Pietrzak

Trafił nam się historyczny moment. Obrona suwerenności przed zakusami Brukseli to pierwsze tak ważne starcie w XXI w. Umęczone społeczeństwo, po dziewięciu miesiącach od ataku chińskiego wirusa, zostało zaatakowane przez europejski „Centralny Komisariat". Jest to agresja bardziej przykra, bo ze strony niby-przyjaciół. Chińskie nietoperze nie umawiały się z nami w sprawie współpracy na podstawie podpisanego traktatu. Natomiast Niemcy obstawieni wasalami tak się rozkręcili, że bezprawnie wtrącają się do naszych spraw, stosując nieeleganckie tricki, m.in. wynajmując „polskich" polityków do antypolskich zachowań, rezolucji, prowokacji... itp.

Taka posłanka Fisiuk ogłosiła, że polskie weto w Brukseli jest przestępstwem. Kto zatem, szanowna pani, wpisał „weto" do europejskiego prawa? Proszę spytać Tuska. Polska jedynie stosuje istniejące prawo. A Niemcy to prawo chcą złamać. Są agresywni i zakłamani w stylu propagandy z 1939 r. WSZYSTKO, co w tych tygodniach piszą o Polsce WSZYSTKIE niemieckie gazety, jest z gruntu fałszywe. „Willy Brandt uklęknął w Warszawie w geście pojednania, a polski rząd atakuje Niemców". Gest miał miejsce pół wieku temu i dotyczył potwornej zbrodni wymordowania milionów ludzi i rozgrabienia kraju. W ślad za gestem nie poszły odszkodowania ani reparacje. Mimo to życzliwi światu i ludziom Polacy, miłosierni chrześcijanie, uprzejmie zgodzili się na udział w Unii. Dali szansę złowrogim sąsiadom na przyjazne relacje w duchu Bolesława Chrobrego i Ottona III.

Co mamy w zamian? Reaktywację paktu Ribbentrop–Mołotow pod nazwą Nord Stream 2. Zamknięte polskie stocznie na ich życzenie. Inwazję niemieckich firm, marketów, mediów na polską gospodarkę, przy czym większość z nich nie płaci tu podatków. Skryte finansowanie organizacji rozsadzających państwo polskie. Widoczne gołym okiem złe intencje, których symbolem jest biznesmen z Pomorza, niewahający się otwarcie mówić, że jest hitlerowcem i chętnie by Polaków pozabijał. A jakaś ważna frau uważa, że nieposłusznych Polaków trzeba zagłodzić... itd.

Mają sąsiedzi od tysiąca lat wiele pomysłów co z nami zrobić. A my?

Nie lubię stać w miejscu

Z Krystianem Ochmanem, zwycięzcą 11. edycji „The Voice of Poland", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Liczył pan gratulacje po finale?

Krystian Ochman: Kiedy wróciłem do garderoby, telefon był przegrzany od wiadomości. Naprawdę nie spodziewałem się wygranej, ale oczywiście czuję się szczęśliwy, że tyle osób docenia to, co zrobiłem i pokazałem w programie. Kiedy byłem młodszy, marzyłem, że śpiewając, wyzwalam w słuchaczach wielkie emocje. I to się chyba teraz właśnie zdarzyło.

Jak zwycięstwo w „The Voice of Poland" skomentował pana dziadek Wiesław Ochman?

Byli z babcią bardzo dumni. Cała rodzina była dumna. Dziadek trochę się stresował, ale to naturalne. Zna realia sceny. Kiedy rozmawialiśmy przy wcześniejszych etapach, prosiłem go nie o pochwały, a o uwagi, co jeszcze mógłbym poprawić, nad czym popracować.



Czy wygrana zmieni pana plany?

Raczej doda nowych zadań, z których będę się starał jak najlepiej wywiązać. Cieszę się na te wyzwania, bo nie lubię stać w miejscu. Chcę iść do przodu, poznawać nowe rzeczy, nie gubiąc jednak swojej drogi. Priorytetem jest ukończenie Akademii Muzycznej w Katowicach, gdzie czeka mnie magisterium. Chcę jak najlepiej wyszkolić głos i język [urodzony i wychowany w USA Krystian, w Polsce jest od trzech lat – przyp. red.]. Przede mną jeszcze dużo pracy.

Rozmowa ukaże się w numerze świątecznym, spytam więc o ulubione kolędy.

Trudno wybrać. I „Przybieżeli do Betlejem", i „Jezus malusieńki", i „Bóg się rodzi" pięknie brzmią. Szczególnie jak się je śpiewa w gronie rodzinnym.

Fot. materiały prasowe TVP

eprasa.pl/0468be33c

Reklama | 30/1120/F

ROZGRZEJ SIĘ PROMOCJĄ*

Korzystaj z kuponów w aplikacji ORLEN VITAY i zyskuj więcej punktów!

CLUB VITAY

stop. cafe



Pobierz aplikację wyszukując w swoim sklepie „**ORLEN VITAY**"

Download on the App Store

GET IT ON Google Play

*Promocja trwa od 10.12.2020 r. do 31.01.2021 r. Szczegóły w regulaminie „Akcja Kuponowa" na vitay.pl

eprasa.pl df468be33c

BRONISŁAW WILDSTEIN

Utrata niepodległości



Do ostatnich miesięcy nie przyszłoby mi do głowy, że ponad 30 lat od odzyskania niepodległości staniemy na skraju jej utraty. Zgoda na tzw. mechanizm praworządności to akceptacja, że unijne centrum, a w rzeczywistości Berlin z aliantami, zadecyduje, kogo oficjalnie „Europa" wspierała będzie w polskich wyborach, kogo zasili funduszami i jakimi karami zagrozi Polakom, jeśli ci zdecydują się wybrać kogoś, kto nie jest przez nich akceptowany. Nie jest to, oczywiście, równoznaczne z groźbą wkroczenia obcych wojsk w nasze granice, ale jeśli zgodzimy się na taki stan rzeczy, to nasza podmiotowość stanie się iluzoryczna.

Straszy się nas, że nie kapitulując przed głównymi siłami UE, skazujemy się na marginalizację, pozbawieni zostaniemy możliwości współdecydowania oraz środków, bez których rozwój naszego kraju zostanie zablokowany. W dalszej konsekwencji zostaniemy usunięci z Unii, co oznaczać ma stoczenie się Polski do statusu Białorusi i uzależnienie od Moskwy. Gdyby było to prawdą, to sam, zaciskając zęby, głosowałbym za zgodą na status prowincji Europejskiego Imperium Niemiec. Tyle że propaganda ta jest skłamana od A do Z. Wystąpienie z UE nie oznacza podbicia nas przez Rosję, środki unijne w niewielkim stopniu wpływają na naszą gospodarkę, a zgoda na dyktat unijnego centrum niczego nam nie daje w sensie politycznym ani ekonomicznym. Problem w tym, że przekonania te od dekad tłoczone w polską świadomość zbiorową uformowały ją w dużym stopniu, a elity III RP ulegają im w przytłaczającej większości, zwłaszcza że postępuje za tym kształtująca je ideologia emancypacyjna, której UE stała się wehikułem.

Niewielu w Polsce dostrzega, jak znacząca jest sprawa wiązania funduszy europejskich z praworządnością. Praworządność to rzecz powszechnie i słusznie akceptowana, mało kto próbuje analizować, co ona znaczy i czy sędziokracja III RP ma z nią jakikolwiek związek, niewielu zagłębia się w meandry sporu rządów Polski i Węgier z KE, zwłaszcza że został on doszczętnie zmistyfikowany przez dominujące media. Metoda wyboru sędziów wydaje się dla ogółu sprawą abstrakcyjną, a więc odległą, toteż nie warto o nią kruszyć kopii. Elity polskie wychowane w lekceważeniu tego, co własne i czołobitności wobec zachodnich centrów nie dostrzegają zagrożenia dla naszej podmiotowości z ich strony. Wprawdzie niewielu ich przedstawicieli zdefiniowałoby się za jednym z posłów PO jako „Europejczycy polskiego pochodzenia", ale w nieco mniej radykalnym ujęciu większość się za takich uważa.

Mało kto dostrzega, że arbitralnie definiowana przez unijnych dysponentów „praworządność" i uzależnienie przyznawania funduszy od jej przestrzegania daje im przemożny wpływ na to, co dzieje się w naszym kraju. Praworządnością okazują się rządy klientów Berlina i Brukseli, którzy bez szemrania wypełniają dyspozycje z centrum i realizują jego interesy w naszych krajach. Działania ich konkurentów odwołujących się do narodowego interesu prezentowane są jako bezprawie. Tak interpretowana jest reforma sprawiedliwości, która do polskiego sądownictwa wprowadza rozwiązania obowiązujące w krajach takich, jak Niemcy, Francja czy Hiszpania. W efekcie zgoda na ten stan rzeczy oznacza zgodę na to, aby w Polsce rządziły postacie akceptowane przez unijne centrum, a więc, że powtórzę, utratę niepodległości.

Przełomowe wydarzenia historyczne przez przyzwyczajony do status quo ogół bywają zwykle postrzegane z opóźnieniem, kiedy nie sposób już zamykać na nie oczu. Utrata polskiej niepodległości powszechnie odnotowana została dopiero po drugim rozbiorze, pomimo że faktycznie nastąpiła dużo wcześniej. Podobnie może być teraz. Dominujące środowiska opiniotwórcze tłumaczą nam przecież, że tradycyjna narodowa suwerenność to przeżytek, a UE jest wspólnotą, w której wszyscy mają proporcjonalny udział. Okazuje się wprawdzie, że we wspólnocie owej Niemcy decydują się na monopol rosyjskiego gazu, narzucają nam normy prawne, które u nich nie obowiązują, i podejmują decyzje w kwestiach żadną miarą im nieprzysługujące, jak choćby reakcji Europy na rosyjską agresję wobec Ukrainy, polityki ekonomicznej Grecji czy stopnia otwarcia naszego kontynentu na muzułmańską imigrację.

Idealnym przedstawicielem środowisk III RP jest Donald Tusk, który kluczową funkcję w polskim państwie porzucił w trakcie jej sprawowania na rzecz intratnej synekury w Brukseli, co zamiast z potępieniem spotkało się z powszechną akceptacją salonów w naszym kraju. Obecnie słyszymy, że rezygnacja z niepodległości jest naszą racją stanu i należy zapisać ją w konstytucji, tak jak w konstytucji PRL zapisana została podległość wobec Moskwy. Nie mam wątpliwości, jak historia oceni te działania, ale rzecz w tym, czy potrafimy się im dziś przeciwstawić.

Reklama | 32/1120/F

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df468be33c

eDO App

Sprawdza się w każdej sytuacji



ZDALNE POTWIERDZANIE TOŻSAMOŚCI

AUTOMATYCZNA WERYFIKACJA ORYGINALNOŚCI DOWODU OSOBISTEGO

PODPIS ELEKTRONICZNY

KORZYSTANIE Z USŁUG E-URZĘDÓW

*Dowiedz się więcej na **www.edoapp.pl**

Bezpłatna aplikacja eDO App to najnowszy produkt IT w portfolio PWPW S.A., dostępny dla każdego posiadacza dowodu osobistego z warstwą elektroniczną oraz smartfona z modułem NFC*.

Jest ona prostym i wygodnym sposobem na korzystanie z e-dowodu bez użycia czytnika. Pozwala zdalnie potwierdzić tożsamość własną lub klienta, a także bezpiecznie zawierać umowy i podpisywać dokumenty.

eprasa.pl df468be33c



Kosmiczna Walizka Mirosława Hermaszewskiego

Polskiego kosmonauty

Moje bogate życie, pełne podróży, zawdzięczam tej pierwszej, podczas której walizki jako takiej nie miałem. Za to jej rolę zagrał Sojuz 30, który nie mniej ciasny zabrał mnie i Piotra Klimuka na orbitę i bezpiecznie dostarczył z powrotem na Ziemię. Przedmioty, jakie miałem wówczas z sobą, mogę podzielić na dwie grupy: pierwsza to rzeczy mające wartość użyteczną, druga to symboliczne pamiątki. Większość przedmiotów miała zamocowane tasiemki, żeby zapanować nad nimi w stanie nieważkości.

SKAFANDER KOSMONAUTY

Ubiór do aktywności wewnątrzpojazdowej, chroniący na wypadek utraty hermetyczności pojazdu. Szyty na miarę ze specjalnej tkaniny. W latach 70. wart majątek, bo ok. 2 mln dol. Tę kwotę można dziś śmiało pomnożyć kilka razy, wtedy dolar był bowiem znacznie droższy. Ponieważ wśród kosmonautów byłem najwyższy, kombinezon z racji gabarytów był unikatowy i po moim powrocie na Ziemię został w ZSRR do treningów dla innych równie wysokich kandydatów do podboju kosmosu.





ZDJĘCIA

Moja kochana Rodzina cały czas była ze mną.

DRES

Wygodny do aktywności sportowych, nie tylko do utrzymania formy, lecz również do uzyskania pitnej wody... z potu.





RĘKAWICE

Szyte na miarę, więc idealnie dopasowane do dłoni. Ergonomia przede wszystkim.



BUTY

Obuwie z suwakiem, pozwalające na szybkie zakładanie i ściąganie. To znacznie prostsze niż wiązanie fruwających sznurówek.

Fot. East News

Zdjęcia ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Andrzej Wiktor, Schutterstock (x2)

AUTOR TEKSTU DZIĘKUJE ZA POMOC I ŻYCZLIWOŚĆ W JEGO REALIZACJI **MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO**, A W SZCZEGÓLNOŚCI: DYREKTOROWI PAWŁOWI ŻURKOWSKIEMU, EWIE WARTALSKIEJ, IWONIE SOBIERAJSKIEJ, A TAKŻE JAKUBOWI KUNICKIEMU, ARKADIUSZOWI URIASZOWII I MICHAŁOWI OLTONOWI.

100 1920-2020 LAT MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

eprasa.pl df468be33c



KAPSUŁA LĄDOWNIKA SOJUZ 30 ZNAJDUJĄCA SIĘ W MUZEUM POLSKIEJ TECHNIKI WOJSKOWEJ MIESZCZĄCYM SIĘ W FORCIE IX CZERNIAKÓW W WARSZAWIE PRZY UL. POWSIŃSKIEJ 15



GAPA

Zabrałem takich osiem. Na każdej z nich została wygrawerowana informacja, że były na stacji orbitalnej Salut 6. Po powrocie rozdałem je kolegom pilotom, w tym pomysłodawcy – Andrzejowi Bugale.

ZEGAR POKŁADOWY

Liczył czas lotu, liczbę orbit, miał funkcję stopera i budzik. Jest to ostatnie mechaniczne cudo, które poleciało w kosmos, po naszej misji zabierano już bowiem elektroniczne zegary.



MAPA POKŁADOWA

Są na niej wyrysowane i ponumerowane orbity, a także zaznaczone tzw. awaryjne poligony lądowania na wypadek komplikacji podczas lotu. Dodatkowo jest ozdobiona stemplami poczty kosmicznej i autografami załogi.

ZESTAW SZTUĆCÓW

Metalowych, wielokrotnego użytku. Wymagające stałego nadzoru, latające widelce czy łyżeczki stanowią bowiem realne zagrożenie. Długa łyżka służyła do sięgania na dno pakietów.





PRZEBIJAK

Rosyjscy naukowcy opracowali specjalny dzwon z bolcem, który służył do otwierania tub z płynnym jedzeniem. Jego konstrukcja chroniła przed ochlapaniem się zupą, sokiem czy kakao.

JEDZENIE

Na orbicie mieliśmy całkiem wykwintne menu. W tubach były zapakowane m.in. wieprzowina z jarzynami, twaróg, zupy, soki, herbata, kakao. W puszkach ozorek wieprzowy w galarecie, szynka, ser rosyjski. Zafoliowany mieliśmy bigos, deser owocowy, herbatniki i chleb. A raczej chlebek, żeby w całości wsadzić do ust i nie kruszyć po oczach.







CHUSTECZKI HIGIENICZNE

W pionierskim okresie podboju kosmosu na stacji nie było prysznica. Dlatego przez osiem dni „myliśmy się" beżowymi serwetkami nasączonymi środkiem dezynfekującym. Śmierdział nieludzko, ale odkażał skutecznie.



LALECZKI

Podarowała mi je Córcia przed lotem. Nie tylko przypominały mi o bliskości rodziny, lecz również pokazywały stan lotu. W statku wisiały na gumce, która przy przeciążeniach się wyciągała, a gdy już byliśmy na orbicie, to zaczynały pływać.

BROSZKA

Prezent dla żony, na którym wygrawerowano informację, że był w kosmosie.







STOPER

Ręczny, napędzany mechanizmem sprężynowym. Służył mi do obliczeń pewnych wartości czasowych. W kosmosie każda sekunda jest istotna. Ten stoper nadal jest sprawny.

PRZYBORY DO PISANIA

Ołówek, gumka, tuszopis, notes. Niezbędny i niezawodny komplet piśmienniczy, pozwalający na robienie notatek, obliczeń i wykresów. Zapakowany w piórnik w stanie nieważkości nie stanowi zagrożenia.



PREZENTY

Gdy przylecieliśmy na stację Salut 6, przywiozłem dla Saszy od jego żony Rimmy kilka jabłek i dwie cytryny. Z tych owoców wszyscy mieliśmy pożytek, ponieważ obrane skórki umocowaliśmy do ścian, dzięki czemu lewa aleja stacji pachniała cytrynami, a prawa – jabłkami.

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun



eprasa.pl df468be33c

OGNIEM NA WPROST

Świąt bez Julek



Czas najwyższy, żeby choć święta Bożego Narodzenia, poprzedzone demonstracjami wściekłych Julek – zwolenniczek aborcji – przebiegły normalnie w telewizji publicznej. Co to znaczy normalnie? Otóż to, żeby kolęd i pastorałek nie śpiewały na wizji w noc Narodzenia Pańskiego takie „gwiazdy" jak Anna Wyszkoni. Równolegle pozuje na fotach z proaborcyjnym piorunem, popierając Strajk Kobiet, na którego marszach profanowane są świątynie i w chamski sposób obraża się ludzi wierzących, a na swojej płycie uprawia „kolędowy lansik", śpiewając „Jezu malusieńki" czy „Bóg się rodzi". Sama piosenkarka odniosła się do zarzutu hipokryzji w mediach społecznościowych. „Zarzut wspierania Strajku Kobiet wobec śpiewania kolęd w święta jest tak absurdalny, że brakuje słów" – stwierdza autorytatywnie, kompletnie nie rozumiejąc, o co chodzi. Klei głupa czy robi to celowo? – trudno powiedzieć i również trudno się dziwić. Nawet elokwentny przedstawiciel homo sapiens miałby poważne trudności z logicznym wyjaśnieniem takiej sprzeczności, a co dopiero kobieta z show-biznesu. Owszem, niech sobie Anna Wyszkoni i jej podobne śpiewają w wigilijny wieczór jakieś piosenki, które one nazywać będą kolędami, ale z repertuaru przedstawiającego ich świat wartości i myślenia. Tylko wtedy usłyszelibyśmy np. „Najświętsza Panienka po świecie chodziła i do aborcyjnej kliniki trafiła".

Kolejna Julka produkuje się w sieci. I nie było z tym problemu, w końcu na ulicach łażą ich tysiące, ale akurat tę obejrzało już na Twitterze ponad 50 tys. ludzi w ciągu niecałej doby. Gówniara w wulgarny sposób broni prawa do... nieopodatkowanej prostytucji. Wpadła w furię, bo „jakaś matka Polka" zaproponowała podatek od prostytucji. Komentarz co prawda cofnięto, ale wk...ie twitterowej Julki pozostało. „Nogi rozłożyłaś!" – drze się do kamery nastolatka. „Taka zazdrosna jesteś?". Dalej już bluzga, że to jej ciało, więc nie należy ingerować w jej sprawy, podobnie jak namawiać do opodatkowania nierządu. No cóż... Należy najpierw podziękować, a także pogratulować rodzicom wychowania córuni i przestrzec, że jest ona na najprostszej drodze, by spełniło się powiedzonko o tego typu dziewczynach: „Julka kocha aż do grobu. Gdy ma dwóch, to kocha obu".

Posłanka Klaudia Jachira w kontekście negocjacji Polska–Unia Europejska stwierdziła, że „wstydzi się za to, że jest Polką". Pytanie numer jeden: kto pani każe być Polką, jak już się pani tak wstydzi? Można zrzec się jutro mandatu i wyjechać na stałe do Niemiec lub Holandii i tam starać się służyć lokalnym interesom. Wszyscy odetchniemy. Tylko akurat tam nie znajdą się 6434 osoby, które jak w Polsce oddałyby na panią głos. Nawet gdyby pani znała dobrze język i była rozpoznawalna. Jak żyję, nie słyszałem jeszcze, żeby któryś z niemieckich czy niderlandzkich posłów, obojętnie z lewej czy prawej strony, użył w swoich publicznych sformułowaniach słów: „Wstydzę się, że jestem Niemcem czy obywatelem Niderlandów". W ten sposób popełniłby modelowe polityczne seppuku.

Sprzedaż Orlenowi grupy medialnej Polska Press, operującej głównie na lokalnym rynku prasy, wzbudziła niewiarygodne emocje. Na Pomorzu koronną gazetą niemieckiego wydawcy był dotychczas „Dziennik Bałtycki", zwany też potocznie przez co bardziej krewkich krytyków opozycji „Dziennikiem Bandyckim". Do sprawy wykupu tytułu odniosła się osobiście sama prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz. Widać informacja ta stała się dla niej szokiem. Wręcz bólem. Teraz prosi wszystkich, by zwracać uwagę, „skąd pochodzą informacje, chrońmy i wspierajmy niezależnych dziennikarzy, bo wolne media są prawdziwą gwarancją demokracji". Na koniec swoją, jakże bogatą w treść i sens, wypowiedź wzbogaciła cytatem z „O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku" Timothy'ego Snydera. Pani prezydent jakoś nie zauważyła, że do 2015 r. wszystkie gdańskie media wraz z załogami reprezentowały jedną, słownie jedną wówczas rządzącą opcję. Były to „Gazeta Wyborcza", portale: urzędu miasta Gdansk.pl czy grający z nim do jednej bramki Trojmiasto.pl, media publiczne i rzecz jasna „Dziennik Bałtycki", de facto w swoim przekazie będący przybudówką magistratu nad Motławą i jego polityki. Wtedy było „git", teraz jest „be". „Wolne media" – cytując za Aleksandrą Dulkiewicz.

PS W tych dzisiejszych, jakże trudnych dla służby zdrowia czasach, chciałbym podziękować lekarzom Szpitala im. Mikołaja Kopernika w Gdańsku za uratowanie mi życia i zdrowia. Szczególnie tym pracującym na OIOM-ie, Pani Doktor prowadzącej i wszystkim pozostałym, którzy starają się, jak mogą, bym wrócił do formy sprzed choroby. Dziękuję również pallotynowi ks. Jędrzejowi Orłowskiemu, kapelanowi szpitala, za opiekę duchową.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df468be33c

50 lat po Grudniu ’70



Marta Kaczyńska-Zielińska

Gdy 12 grudnia 1970 r. I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka poinformował o podwyżkach cen towarów, głównie spożywczych, dwa dni później w Stoczni Gdańskiej wybuchł strajk. Rozpoczął falę protestów w Trójmieście, Elblągu, Słupsku, Szczecinie, a także w Krakowie, Wałbrzychu i innych dużych miastach.

17 grudnia 1970 r. w Gdyni wojsko i milicja ostrzelały robotników, którzy wczesnym rankiem przyjechali koleją miejską do pracy w stoczni. Według oficjalnych danych podczas manifestacji w Gdyni, Gdańsku, Szczecinie i Elblągu zginęło co najmniej 45 osób, było ponad 1,1 tys. rannych. Dokładna liczba ofiar do dziś pozostaje nieznana. Symbolem ofiar Grudnia ’70 stał się kilkunastoletni robotnik gdyńskiej stoczni Zbyszek Godlewski, zastrzelony w tzw. czarny czwartek. Jego ciało było niesione na drzwiach, na czele pochodu robotników, a zdjęcia dokumentujące to wydarzenie obiegły świat. Zbyszek Godlewski został bohaterem słynnej „Ballady o Janku Wiśniewskim”.

Przez kilkadziesiąt lat sprawcy masakry robotników nie ponieśli odpowiedzialności. Przełom nie nastąpił także po obaleniu komunizmu w 1989 r. Proces sądowy w sprawie Grudnia ’70 rozpoczął się w 1998 r. Oskarżono kilkanaście osób, w tym gen. Wojciecha Jaruzelskiego, któremu zarzucono, że wydał rozkaz użycia broni palnej wobec demonstrantów. W 2013 r. skazano dwóch dowódców wojska, na kary dwóch lat w zawieszeniu. Żaden z nich nie trafił do więzienia. Wicepremier PRL Stanisław Kociołek został uniewinniony z zarzutu kierowniczego sprawstwa zabójstwa przez sądy obu instancji. W 2015 r. sprawa została skierowana do ponownego rozpoznania. W tym samym roku Stanisław Kociołek zmarł. Sprawa Wojciecha Jaruzelskiego została wyłączona z procesu. Oskarżony zmarł w 2014 r.

W 2020 r. mija pół wieku od Grudnia ’70. To jedno z serii wydarzeń, które ukształtowały bieg najnowszej historii Polski, a ofiara tamtych dni stała się jednym najważniejszych ogniw prowadzących do zwycięstwa Solidarności. O znaczeniu tamtych tragicznych wydarzeń z udziałem robotników pamiętał zawsze Lech Kaczyński. Jako prezydent elekt obiecał, że jako głowa państwa co roku w godzinę oddania strzałów do idących do pracy robotników będzie uczestniczyć w uroczystości pod pomnikiem Grudnia ’70. Przez wszystkie lata swojej tragicznie przerwanej prezydentury przyjeżdżał nad ranem do Gdyni, by stanąć ramię w ramię z rodzinami ofiar i bohaterami tamtych dni. W 35. rocznicę gdyńskiej masakry mówił: „Moja obecność tutaj, w tym miejscu, wynika z mojego głębokiego zamiaru, głębokiej woli tego, że gdy obejmę urząd prezydenta Rzeczpospolitej, gdy będę miał prawne narzędzia realizacji zmian w naszym kraju, by nie było sal sądowych, na których walczy się nie o sprawiedliwość, tylko o niesprawiedliwość, żeby tamte czasy zostały wyjaśnione do końca”. Zastrzegał, że w rozliczeniu przeszłości nie chodzi o zemstę. Tu chodzi o to, żebyśmy żyli w kraju, w którym wiadomo, że dobro jest dobrem, a zło złem. Stało się tak, zdaniem prezydenta, „dlatego, że na początku lat 90. zawarto pewne sojusze, że na początku lat 90. efektem wielkiego zwycięstwa naszego narodu, była niecałkowita zmiana władzy. Nie odejście rzeczywiste tych, którzy rządzili Polską bez demokratycznego tytułu, z nadania obcego mocarstwa, tylko swoisty kompromis, który tym, o których przed chwilą mówiłem, dawał w istocie przewagę, to oni doprowadzili do tego, że sprawcy zbrodni z 1970 r., ale także i wielu innych zbrodni nie zostali ukarani. Jedyne wyjątki, jak skazanie sprawców zbrodni w »Wujku«, zdarzyły się dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat”.

W 2009 r. prezydent Lech Kaczyński wręczył bohaterom Grudnia ’70 Ordery Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce. Pośmiertnie odznaczył Złotym Krzyżem Zasługi zamordowanych przez milicję i wojsko. Odznaczenie odebrali m.in. rodzice Zbyszka Godlewskiego.

„Bądźmy dla siebie bliscy bo nas rozdzielają
I co chwila nam ziemia pęka pod stopami”
Ernest Bryll

Z żalem zawiadamiamy,
że w dniu 7 grudnia 2020 r. odeszła na zawsze
Mama, Babcia i Prababcia

KATARZYNA ŁANIEWSKA-BŁASZCZAK

aktorka
autorka 343 felietonów w „Sieci”

Msza święta żałobna odbędzie się 17 grudnia 2020 r. o godzinie 13.30
w kościele św. Katarzyny w Warszawie,
po czym nastąpi odprowadzenie do grobu rodzinnego
– ze względu na pandemię w obecności najbliższych.

Córka Agnieszka, Andrzej, Mateusz, Marek i Prawnuki

Prosimy o nieskładanie kondolencji

eprasa.pl df468be33c

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

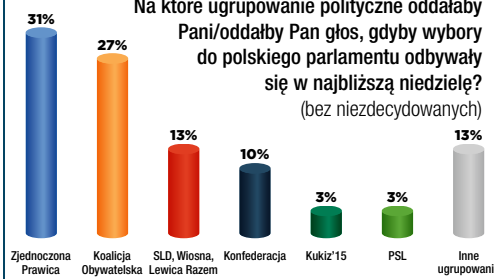
KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

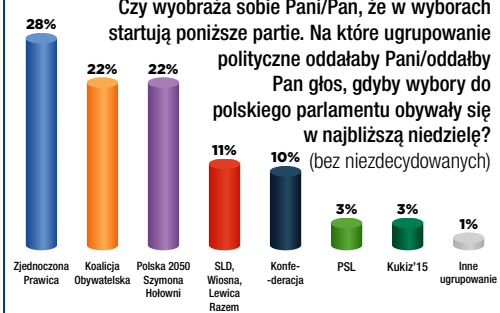
FOT. NA OKŁADCE: ART IMAGES /GETTY IMAGES, ANDRZEJ WIKTOR ,SHUTTERSTOCK x3

nasz sondaż
pracownia Social Changes
dla wPolityce.pl

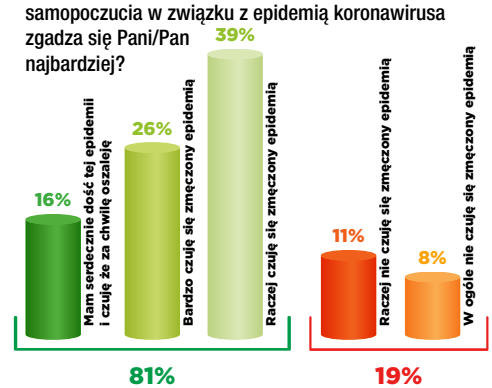
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



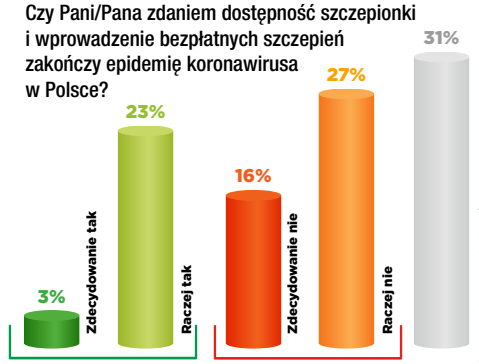
Czy wyobraża sobie Pani/Pan, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu obywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Z którym stwierdzeniem na temat Pani/Pana samopoczucia w związku z epidemią koronawirusa zgadza się Pani/Pan najbardziej?



Czy Pani/Pana zdaniem dostępność szczepionki i wprowadzenie bezpłatnych szczepień zakończy epidemię koronawirusa w Polsce?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1079.

Zakres czasowy badania 4–8 grudnia 2020 r.

Reklama | 41/1120/F

eprasa.pl df468be33c

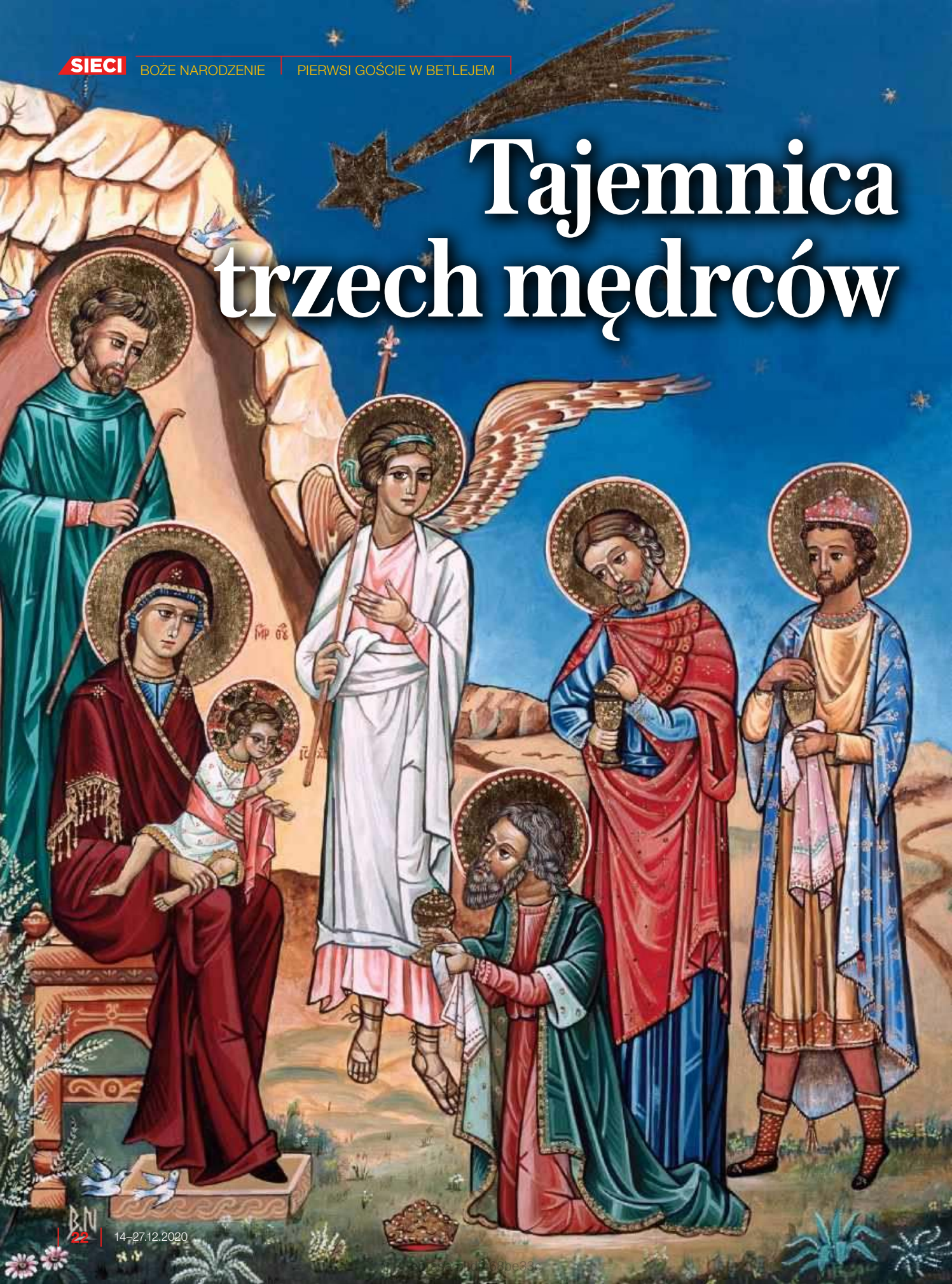


Bezpiecznych, zdrowych
i spokojnych Świąt Bożego Narodzenia
w ciepłej, rodzinnej atmosferze
oraz samych sukcesów
w Nowym Roku życzy

Bank Pekao

eprasa.pl df468be33c

Tajemnica trzech mędrców



Kim byli tajemniczy przybysze, którzy pierwsi zjawili się z daleka, by pokłonić się w Betlejem niemowlęciu? Czy byli wytworem wyobraźni ewangelisty, czy realnymi postaciami? Co mówią o tym nauka i tradycja biblijna?



GRZEGORZ GÓRNY

W opowieściach o Bożym Narodzeniu jednymi z najważniejszych postaci są Trzej Królowie, którzy przybyli, by oddać pokłon dziecięciu. Kim jednak byli owi przybysze? Czy rzeczywiście monarchami? Ewangelia św. Mateusza nie wspomina, by byli władcami. Nazywa ich po prostu „Mędrcami ze Wschodu", po grecku: „magoi apo ton anatolon".

MAGOWIE, MĘDRCY, ASTROLOGOWIE

Grecki wyraz „magos" pojawia się w Nowym Testamencie zaledwie pięć razy. W kulturze hellenistycznej miał on kilka znaczeń. Mógł oznaczać mędrca – członka perskiej kasty kapłańskiej, znawcę nauk tajemnych, czarownika lub też oszusta, uwodziciela, astrologa i tłumacza snów. Takim mianem określany był m.in. w Dziejach Apostolskich fałszywy prorok Elimas z Pafos. Słowo mogło więc funkcjonować zarówno w pozytywnym, jak i negatywnym kontekście.

Ponieważ magowie spostrzegli na niebie gwiazdę, oznacza to, że musieli się zajmować astrologią. Nie ma w tym nic dziwnego. Kulty astralne odgrywały bowiem dużą rolę w życiu religijnym starożytnych społeczeństw. Dla mieszkańca antycznego Wschodu słońce, księżyc, gwiazdy i planety były obrazem innego, boskiego, tajemniczego świata. Jawiły się one jako emanacja nadprzyrodzonych mocy, panujących nad ludzkością i określających jej przeznaczenie.

Istniał jednak w ówczesnym świecie jeden naród, który odnosił się z wielką nieufnością do astrologów, traktując ich jak bałwochwalców. Byli to Izraelici, którzy dostali od Boga nakaz, by trzymać się z dala od wróżbitów, wywoływaczy duchów czy astrologów. Polecenia mógł wydawać im jedynie Bóg przez swoich proroków.

W tym kontekście nie ma nic zaskakującego w fakcie, że przybycie mędrców do Judei oraz przywieziona przez nich wiadomość o gwieździe zwiastującej narodziny Mesjasza – wywołały w Jerozolimie powszechne zaskoczenie. Ówczesne proroctwa nakazywały co prawda wyczekiwać w owym czasie pojawienia się pomazańca Bożego, ale nikt spośród Żydów nie śledził nieba, by właśnie stamtąd wypatrywać znaków.

PERSKI ŚLAD

Skąd właściwie przybyli mędrcy? Ewangelia św. Mateusza wspomina, że „ze Wschodu". Dla Greków oznaczało to Anatolię, czyli Azję Mniejszą, a więc miejsce, gdzie wschodziło słońce. Dla Izraelitów z kolei Wschodem były takie krainy jak Mezopotomia, Arabia lub Persja. Według najstarszej tradycji chrześcijańskiej tajemniczy przybysze mieli być właśnie Persami.

Persowie – w odróżnieniu od Arabów i Żydów, którzy są Semitami – stanowią (podobnie jak choćby Słowianie, Germanie czy Anglosasi) ludność pochodzenia indoeuropejskiego. Zdaniem archeologów przybyli oni na ziemie dzisiejszego Iranu ok. 15 stuleci przed Chrystusem. W późniejszych czasach nawiązali bliski kontakt z Izraelitami oraz religią i kulturą żydowską.

W tym kontekście kluczowa jest postać króla Cyrusa II Wielkiego, który objął tron Persji w 559 r. p.n.e. Ten wybitny polityk i strateg wojskowy zrzucił zwierzchnictwo Medów, pokonał Partów i Lidyjczyków, podporządkował sobie Anatolię, Armenię i Kapadocję, a w końcu zmiażdżył największą potęgę ówczesnego świata, czyli imperium babilońskie. W 538 r. p.n.e. zdobył stolicę wroga – Babilon, gdzie zetknął się z Żydami, którzy przebywali wówczas od niemal pół wieku w „niewoli babilońskiej". Uprowadził ich tam w 586 r. p.n.e. król Nabuchodonozor II, gdy zdobył Jerozolimę i zniszczył świątynię.

W odróżnieniu od niego Cyrus II zapisał się w historii Żydów jako dobroczyńca – zezwolił na powrót z „niewoli babilońskiej" do Ziemi Świętej, a nawet na odbudowę Świątyni Jerozolimskiej. Władca Persów, który podbił niemal cały Bliski Wschód (z wyjątkiem Egiptu), miał sposobność częstego stykania się z Izraelitami pochodzącymi także z wcześniejszej fali deportacji.

Przed „niewolą babilońską" była jeszcze bowiem „niewola asyryjska", gdy w roku 722 p.n.e. Asyryjczycy uprowadzili do Mezopotamii ok. 50 tys. Izraelitów. Choć Żydzi przebywali tam na wygnaniu, to nie tylko zachowali swą tożsamość religijną, lecz nawet utrwalili ją, spisując księgi Starego Testamentu. Odgrywali też znaczącą rolę w państwie Persów, o czym świadczy choćby Księga Estery czy Księga Tobiasza.

Nie wszyscy Izraelici skorzystali z propozycji Cyrusa, by wrócić do Ziemi Świętej. Część z nich dobrowolnie pozostała na obczyźnie, gdzie dorobiła się majątków i osiągnęła wysoką pozycję społeczną. Przez kolejne stulecia mieszkali więc nadal w Persji i Mezopotamii, tworząc liczną diasporę, wierną swej religii. Będzie to tak silna wspólnota, że z czasem wywrze ona wpływ na kształt całej religii żydowskiej. To właśnie na tych ziemiach powstanie bowiem Talmud, który do dziś jest centralnym elementem judaizmu rabinicznego.

Fot. East News

eprasa.pl df468be33c

Dzięki temu – jak zauważa wybitny biblista ks. prof. Waldemar Chrostowski – „Persowie mieli możliwość przez kilka stuleci zetknięcia się z religią Izraelitów. Mieli możliwość poznania tej religii biblijnego Izraela. Mieli bowiem u siebie tysiące Izraelitów. Można to porównać do sytuacji, jaka istniała w I i II Rzeczypospolitej, kiedy na terenach naszej ojczyzny mieszkały miliony Żydów. I nawet jeżeli między jednymi i drugimi, między Polakami a Żydami, Ukraińcami a Żydami, Białorusinami a Żydami, istniała separacja, to jednak oczywiście ta koegzystencja owocowała także tym, że obie wspólnoty, obie społeczności się znały. Każdy miejscowy chrześcijanin miał jakąś podstawową znajomość tego, czym jest judaizm. I odwrotnie, wyznawcy religii żydowskiej mieli pojęcie o chrześcijaństwie dlatego, że na co dzień spotykali się ze sobą i o siebie się ocierali".

Dzięki owym pokoleniom Izraelitów w Persji i Mezopotamii judaizm był znany i zgłębiany nie tylko w ramach tamtejszej diaspory żydowskiej, lecz także przez ówczesnych mędrców, kapłanów i prozelitów, wywodzących się z miejscowych ludów. Szczególne zainteresowanie budził wśród Persów, którzy w większości byli wyznawcami zoroastryzmu. Do judaizmu zbliżał ich duży nacisk kładziony na kwestie etyczne. Magami nazywano uczniów Zoroastra, czyli tamtejszych kapłanów.

Włoski historyk Giulio Firpo wspomina w tym kontekście o niezwykle znamiennym wątku, mianowicie o „tradycji zachowanej od Zaratustry, według której »książę dobra zatriumfuje nad złem dzięki sprzymierzeńcowi, wcielonej prawdzie, który miał narodzić się z dziewicy, do której nie zbliży się żaden mężczyzna«". Ów „sprzymierzeniec" (saushyant), będący „Prawdą Wcieloną" (Astwat-ereta), mający doprowadzić do zmartwychwstania zmarłych oraz sądu nad ludzkością, wykazuje niezwykle wiele podobieństw z figurą żydowskiego Mesjasza. W związku z tym inny włoski historyk Franco Cardini postawił tezę, że św. Mateusz musiał pisać prawdę, skąd zwykły celnik z Galilei mógł bowiem tak dokładnie ukazać reminiscencje zoroastriańskich wierzeń.

Na słynnej mozaice z VI stulecia w bazylice św. Apolinarego w Rawennie magowie przedstawieni są w tradycyjnych strojach perskich kapłanów z charakterystycznymi frygijskimi czapkami, jakie znamy choćby z wykopalisk w Persepolis. W podobny sposób ukazani zostali również na wizerunku we wczesnochrześcijańskiej bazylice Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Jej obecny kształt pochodzi z 565 r., gdy świątynia została przebudowana za panowania cesarza Justyniana Wielkiego. Kiedy w 614 r. Palestyna została najechana przez wojska perskie pod wodzą króla Chosreosa, najeźdźcy zniszczyli wiele kościołów chrześcijańskich, m.in. bazylikę Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Budowla w Betlejem została jednak oszczędzona, gdyż zdobywcy zobaczyli znane sobie wizerunki magów w perskich szatach. Widząc cześć, jaką otaczani są w tym miejscu ich rodacy, pozostawili więc bazylikę w spokoju.

ZNAK NA NIEBIE

W czasach Jezusa ziemie Babilonii i Persji słynęły z renomowanych szkół astrologicznych, gdzie na podstawie układu gwiazd interpretowano bieg ziemskich zdarzeń. Mędrcami ze Wschodu mogli być więc magowie perscy, którzy z jednej strony obserwowali pilnie niebo, a z drugiej zaznajomieni byli z religią żydowską i obecnymi w niej proroctwami mesjańskimi. Ich uwagę mógł zwracać uniwersalistyczny potencjał zawarty w proroctwach dotyczących Mesjasza. Był On bowiem zapowiadany, np. w Księdze Izajasza, jako postać kluczowa nie tylko dla narodu żydowskiego, lecz dla całego świata.

Mędrcy ruszyli w drogę po tym, jak dostrzegli znak na niebie. Co konkretnie zobaczyli? Na trop rozwiązania tej zagadki wpadł 17 grudnia 1603 r. jeden z największych astronomów w historii – Johannes Kepler. Ze swego obserwatorium w Pradze zauważył na rozgwieżdżonym niebie niezwykle intensywne zjawisko świetlne. Była to koniunkcja pomiędzy Jowiszem a Saturnem w konstelacji Ryb. Koniunkcja oznacza takie ułożenie dwóch ciał niebieskich, że znajdują się one – z punktu widzenia obserwatora – w jednej linii prostej. W tym przypadku doszło do takiego ustawienia dwóch największych planet w naszej galaktyce: Jowisza i Saturna. W efekcie wyglądały one jak jedna wielka nowa gwiazda, która wkrótce potem znikła, gdy planety oddaliły się od siebie.

Kepler, który był również matematykiem, obliczył, że zjawisko to zaobserwować można bardzo rzadko, mianowicie raz na 794 lata. Co więcej, okazało się, że ten niezwykły fenomen astronomiczny był kiedyś widoczny z naszej planety aż trzy razy w ciągu jednego roku (29 maja, 1 października i 5 grudnia). Było to w 7 r. p.n.e., a więc wtedy, gdy urodził się Chrystus. Trzykrotne pojawienie się tego zjawiska w ciągu jednego roku nigdy już więcej nie nastąpiło.

Kepler odkrył również w starych księgach komentarz biblijny rabina Abarbanela, który pisał o pradawnych żydowskich wierzeniach, że Mesjasz pojawi się wówczas, gdy Jowisz i Saturn spotkają się w gwiazdozbiorze Ryb. To sprawiło, że astronom w 1606 r. ogłosił publicznie swoje odkrycie, twierdząc, iż zidentyfikował Gwiazdę Betlejemską.

Tezę Keplera wzmacniały odkrycia dokonane w XX w. W 1902 r. opublikowano treść egipskiego papirusu zwanego „Stołem planetarnym". Zawierał on obliczenia astronomiczne oparte na obserwacjach egipskich uczonych, którzy badali ruchy ciał niebieskich między 17 r. przed Chrystusem a 10 r. po Chrystusie. Okazało się, że w roku 7 p.n.e. dostrzegli oni niezwykle intensywne zjawisko świetlne wynikające z koniunkcji Jowisza z Saturnem.

Potwierdzenie tych obserwacji przyniosło kolejne odkrycie. W 1925 r. niemiecki orientalista Paul Schnabel odczytał neobabilońskie napisy na kalendarzu gwiezdnym pochodzącym ze słynnej szkoły astrologów w Sippar nad

eprasa.pl df468be33c



Eufratem. Okazało się, że na małej terakotowej tabliczce z pismem klinowym odnotowano z dużą precyzją trzykrotną koniunkcję dwóch największych planet Układu Słonecznego w gwiazdozbiorze Ryb w 7 roku p.n.e. Zjawisko wyglądało niczym rozbłysk nowej gwiazdy na niebie.

W tamtych czasach astrologowie przypisywali poszczególnym ciałom niebieskim konkretne znaczenia. Nieprzypadkowo planetom nadawano nazwy będące imionami bogów. Jowisz, czyli Jupiter, był symbolem ludzi rządzących światem, Saturna uznawano za obrońcę Izraela, konstelacja Ryb zaś uchodziła za znak Końca Czasów i początek nowej ery. Nic więc dziwnego, że niezwykłe zjawisko, które trzykrotnie pojawiło się na niebie w 7 roku p.n.e., mogło zostać zinterpretowane przez magów jako zwiastun narodzin żydowskiego króla, który odmieni losy świata.

To tłumaczy, dlaczego mędrcy nie udali się bezpośrednio do Betlejem, tylko do Jerozolimy. Skoro wyczytali z mapy nieba, że narodzi się król żydowski, to logicznie przypuszczali, że musi się to stać na dworze królewskim. Dlatego właśnie zawitali do Heroda. Dopiero tam żydowscy uczeni w piśmie wskazali im na starotestamentowe proroctwa, że Mesjasz urodzi się w Betlejem. Dla Ojców Kościoła była to ilustracja prawdy, że na podstawie obserwacji natury możemy dojść jedynie do przekonania o istnieniu Boga, ale żeby naprawdę Go odkryć, musimy uznać objawienie.

NAŚLADOWCY ABRAHAMA I SOKRATESA

Ilu właściwie było mędrców? Ewangelia św. Mateusza nie podaje żadnej liczby. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, zwłaszcza wśród Syryjczyków i Ormian, snuto domysły, że mogło być ich dwunastu – jak dwanaście plemion Izraela. W ten sposób symbolicznie wskazywano, że godność wybraństwa Bożego miała przejść z narodu żydowskiego na Kościół składający się także z dawnych ludów pogańskich. Na malowidłach z II i III w. zachowanych w katakumbach rzymskich widzimy dwóch, czterech lub sześciu mędrców. Z kolei w Kościele koptyjskim w Egipcie do dziś żywa pozostaje starożytna tradycja, że przybyło ich do Judei aż 60, a więc prawdziwy orszak.

> Niezwykłe zjawisko, które trzykrotnie pojawiło się na niebie w 7 r. p.n.e., mogło zostać zinterpretowane przez magów jako zwiastun narodzin króla żydowskiego, który odmieni losy świata. Dlatego wyruszyli do Jerozolimy

Od Orygenesa bierze początek wersja, która zdobyła największe uznanie w świecie zachodnim: „Mędrców było trzech, ponieważ trzy były ofiarowane dary: złoto, kadzidło i mirra". Tyle właśnie postaci oglądać możemy na słynnej mozaice z VI w. w bazylice św. Apolinarego w Rawennie.

Nie wiemy też nic o tym, jak się nazywali. W VI stuleciu powstała jednak tradycja, która nadała im konkretne imiona: Kacper, Melchior i Baltazar. Każde z nich oznaczało króla. Imię Kacper pochodziło od łacińskiego „Caesar" i miało ten sam źródłosłów, co niemiecki wyraz „Kaiser". Melchior wywodził się od hebrajskiego słowa „melech", zaś Baltazar od greckiego „basileus".

Nadanie owych imion wiązało się z faktem, że w VI w. – w chrześcijańskiej praktyce pobożnościowej – magowie przekształcili się w królów. Najprawdopodobniej zadecydowała o tym interpretacja Psalmu 72, w którym znajduje się mesjańskie proroctwo: „Królowie Tarszisz i wysp przyniosą dary, królowie Szeby i Saby złożą daninę. I oddadzą Mu pokłon wszyscy królowie. [...] Przeto będzie żył i dadzą Mu złoto z Saby". Na podstawie tego tekstu powstała tradycja, że przybysze ze Wschodu byli monarchami. W dodatku symbolizowali niemal cały ówczesny świat, ponieważ Tarszisz leżało w Hiszpanii, Szeba zaś to dawna nazwa królestwa Abisynii, czyli Etiopii.

Jak mówi ks. Waldemar Chrostowski: „Przybycie Mędrców do Betlejem nie jest z historycznej perspektywy niemożliwe. Byli tam ludzie, którzy byli otwarci na Boga jedynego. Ale ponieważ w tym epizodzie jest tyle niewiadomych: liczba, znaczenie, imiona, to potem chrześcijańska pobożność i wyobraźnia to uzupełniły".

Z czasem więc dodawano kolejne szczegóły do ich biografii. Zaczęto np. wywodzić rodowód genealogiczny dla każdego z trzech mędrców. Nawiązywano przy tym do Księgi Rodzaju, która dzieliła cały starożytny świat na trzy części: między potomków Noego – Sema, Chama i Jafeta. Zgodnie z tym podziałem ludy semickie zamieszkiwały Azję, dzieci Jafeta – Europę, potomkowie Chama zaś – Afrykę. Dlatego przedstawiano trzech przybyszów jako reprezentantów trzech różnych kontynentów. Jeden z nich miał więc wygląd semicki, najczęściej arabski, drugi – przypominał Greka, a trzeci był czarnoskóry.

Ich znaczenie dla ludzi wszystkich czasów tak wyjaśnia Benedykt XVI: „Mamy prawo powiedzieć, że reprezentują oni drogę religii ku Chrystusowi, jak również drogę nauki, która z myślą o Nim przekracza siebie samą. Są oni w pewnym sensie naśladowcami Abrahama, który na wezwanie Boże rusza w drogę. Na inny sposób są naśladowcami Sokratesa i jego pytania o większą prawdę od tej głoszonej przez oficjalną religię. W tym sensie postacie te są poprzednikami, pionierami, poszukiwaczami prawdy, którzy mają znaczenie dla wszystkich czasów".

eprasa.pl df468be33c



Czas próby

Święta Narodzenia Pańskiego to święta pokoju i bezpieczeństwa, nadziei, radości i optymizmu. Myślę, że w kontraście do świata obecnie kreowanego przez media ten ich szczególny rys będzie jeszcze bardziej widoczny i czytelny

Piotr Słabek rozmawia z ks. Andrzejem Ziółkowskim

Fot. Materiały prywatne

Zbliża się Boże Narodzenie. Pandemia już wiele zmieniła w naszym życiu. Jak głębokie są te zmiany? Czy dotyczą także tych najbardziej rodzinnych świąt?

Andrzej Ziółkowski: Zapewne te święta będą się mocno różnić od tych, które już przeżyliśmy. Nawet adwent jest inny. Na razie nie zauważyłem biegających z torbami mikołajów ani tłumów na roratach. Zważmy na to, że często mówimy o dniach Narodzenia Pańskiego jako o świętach typowo rodzinnych. Przyzwyczailiśmy się do tego, że cała rodzina zbierała się przy wigilijnym stole, aby wieczerzać. Ten rodzinny aspekt jest może nawet silniejszy od religijnego. Już na samą myśl o tym wielu mówi: „Jak to będzie? Nie podzielimy się wszyscy opłatkiem przy jednym stole? Nie posiedzimy razem? Nie zaśpiewamy kolędy? O, Boże, na co nam przyszło?”. Rzadko o tym się mówiło, ale też rzadko się spotykamy. Dotyczy to także duszpasterzy, kaznodziejów. A teraz... No cóż w czasie Wigilii przejdziemy

eprasa.pl df468be33c

na spotkania online, wykonamy więcej telefonów, wyślemy jeszcze więcej esemesów, ememesów. Ale tęsknota za bliskością, przytuleniem się do najbliższych, za szczerymi cichymi życzeniami, opłatkiem pozostanie i gdzieś w sercu się skumuluje.

Zalecany dystans społeczny, przejście na zdalną pracę oraz nauczanie na pewno osłabiają więzi międzyludzkie.

Tak, i to bardzo mocno. Jest w nas coraz więcej dystansu do bliźniego, bo po prostu boimy się, że coś od niego złapiemy. Coraz częściej zdajemy sobie sprawę, że musimy radzić sobie sami.

A święta Narodzenia Pańskiego to przecież celebracja relacji, bliskości, to święta rodzinne, podczas których nikt nie powinien być sam.

Dla nas wszystkich, także tych, którzy mają inne poglądy na wiarę, jest to swoista próba. Musimy niejako wejść w głąb siebie samych, medytować nad sensem życia, nad relacją z Bogiem, z człowiekiem...

Nie wszyscy to potrafią.

Dlatego się uczymy.

Co zrobić, by mimo słusznych, z medycznego punktu widzenia, zaleceń dotyczących dystansu społecznego w czasie świąt jak najgłębiej przeżyć bliskość w rodzinie, w gronie przyjaciół i znajomych?

Chyba to samo, co czynimy, gdy ktoś z bliskich naszemu sercu ma imieniny, urodziny, jakiś jubileusz, rocznicę. Co wtedy mówimy? Jestem z tobą sercem, duchem, a gdy minie całe to zamieszanie, to wtedy się spotkamy i sobie serdecznie odbijemy za ten czas pandemii. Tęsknota za spotkaniem, za bliskością będzie rosła, osiągnie jakiś punkt krytyczny. Jedni złamią ów zakaz spotkań, a inni przekują tęsknotę na inny rodzaj spotkania.

Z drugiej strony takie przeżywanie świąt jest może bardziej ascetyczne, bardziej prowadzi w głąb, wskazuje na ich istotę. Przypominają mi się słowa jednego z najwybitniejszych teologów bizantyjskich. Św. Symeon Nowy Teolog, żyjący na przełomie X i XI w. w Konstantynopolu, na pewno uczestniczył we wspaniałej liturgii w największej świątyni chrześcijaństwa w kościele Mądrości Bożej (Hagia Sophia), lecz o istocie uroczystości pisze w ten sposób: „Nie sądź, że święto to wspaniałe szaty, drogie kadzidła, tłumy ludzi (...). To wszystko nie czyni święta uroczystym ani nie stanowi prawdziwego święta, jest jedynie jego znakiem (...). Nie patrz na światła ani liczne zgromadzenie przyjaciół, lecz rozmyślaj o tym, co nastąpi za chwilę, gdy zgasną światła i każdy pójdzie do siebie i zostanie sam”.
To, co najważniejsze, dokonuje się między nami a Bogiem.

Dziękuję za ten cytat św. Symeona! Świetny! Pasuje do naszej rzeczywistości. Wiesz co, Piotrze, wiele razy byłem na pasterce u oo. kamedułów na Srebrnej Górze. Za każdym razem uderzała mnie niezwykła surowość wystroju świątyni. Tam naprawdę nie było żadnych świecidełek, ogromnych choinek, nieustannie płynących kolęd. Była jedynie skromna szopka z kilkoma figurami i garściami siana. I tylko tyle. I nic więcej. Chcąc nie chcąc, musiałem wejść w głębię uroczystości Wcielenia...

Nie każdy potrafi tak wejść w głębię świąt.

Zgadzam się z tym. Tak sobie myślę, że w te święta wejdziemy na drogę kontemplacji, chcemy tego czy nie. Jedni się popłaczą. Inni, oglądając programy w telewizji, będą myśleć o świętach, które minęły, o osobach, które odeszły. Jeszcze inni skupią się na sobie samych...

...albo na tym, że coś im uciekło.

Tak, tak... ileż to razy ktoś obiecywał małżonce, dzieciom: „Za rok pójdę z wami na pasterkę – teraz nie mogę”. No i przyszedł czas, że choćby chciał, to teraz naprawdę nie może. Skoro tak, to może refleksja nad tym w czymś mu dopomoże?

Co wobec tego jest istotą świąt Bożego Narodzenia ukrytą pod ich bogatą symboliką i obrzędowością?

Otóż to, że Bóg z miłości do człowieka zniża się ku niemu, przyjmuje jego człowieczeństwo, aby człowiek przyjął Jego bóstwo. Zbyt mało się nad tym zastanawiamy. Pamiętam, że jako mały chłopiec, stojąc przy bożonarodzeniowej szopce, zastanawiałem się bardziej nad owieczkami, barankami niż nad małym Panem Jezusem. A wiesz dlaczego?

Nie, nie domyślam się...

...bo można ich było dotknąć, bo były tuż przy brzegu, a figurki Jezusa, Maryi i Józefa w głębi. Oczywiście dotykałem ich ukradkiem, bo pan kościelny zabraniał. No taki to był wtedy świat.

Innym ciekawym zjawiskiem w związku z przejściem na transmisję internetową jest możliwość wirtualnego udziału w bardzo licznych liturgiach. Dzięki temu wiele osób wychodzi poza schematyczną i często niedoskonałą liturgię w swej parafii, spotyka się z liturgią i homiliami na najwyższym poziomie, doskonale przygotowanymi i celebrowanymi. Może to być bodziec do szukania czegoś więcej, do odkrycia sztuki głoszenia słowa Bożego. Jako specjalista od homilii pewnie wiele masz na ten temat do powiedzenia.

Tak, to prawda, ale nie zapominaj, że wielu wiernych chce pójść do swego parafialnego kościoła, poczuć zapach swojej parafialnej „katedry”, swojej kaplicy, pragną usłyszeć tembr głosu swoich pasterzy, bo „za innymi nie pójdą”. To ważne uczucie, gdy na Eucharystii jesteśmy razem z naszymi krewnymi, bliskimi, sąsiadami. Duszpasterze i kaznodzieje mówią do swoich, znają ich po imieniu. Ten element jest bardzo ważny.

Owszem, ja też głęboko przeżywam pasterkę z Watykanu, tym bardziej że sprawuje ją Ojciec Święty, ale... wolę sprawować tę niecodzienną liturgię w mojej rodzinnej

eprasa.pl df468be33c

parafii – razem z mamą, rodzeństwem, przyjaciółmi. Jestem wtedy u siebie, bo tam zostałem ochrzczony, przyjąłem Pierwszą Komunię Świętą, bierzmowanie, tam sprawowałem prymicyjną mszę świętą...

...dotykasz delikatnych strun, związanych ze wspomnieniami, z fundamentami tożsamości. Mówisz zapewne o ludziach starszych, mieszkających w małych miejscowościach, przywiązanych do swoich parafii i duszpasterzy. Jednak jest spora grupa ludzi młodych, studentów, mniej związanych ze swoją parafią, żyjących w wielkich miastach, chodzących do różnych kościołów. Oni bardziej cenią piękną i dobrze celebrowaną liturgię np. u dominikanów, potrafią odróżnić szczere kazania od pustosłowia. Często buntują się przeciw ciasnym i zachowawczym poglądom. Dla nich też jest miejsce w Kościele.

Są też młodzi księża, którzy myślą tak samo jak owi studenci. Jeśli się spotykają w wirtualnym świecie, to mogą się także spotkać na liturgii przeżywanej we wspólnocie. Myślę, że tak jest w wielu przypadkach.

Era transmisji otworzyła przed nimi swoisty wolny rynek, mamy większe możliwości wyboru. Kiedyś sprawdzałem oglądalność poszczególnych transmisji ze znanych miejsc, słynnych sanktuariów. Okazało się, że była wielokrotnie mniejsza niż np. z ośrodków dominikańskich lub liturgii sprawowanej przez abp. Grzegorza Rysia. Myślę, że daje to wiele do myślenia i powinno być zachętą dla duszpasterzy do lepszego przygotowania i sprawowania liturgii. Niektórzy zwracają wielką uwagę na piękno. Liturgia to przecież pełna harmonii symfonia.

Myślisz pewnie o słynnym stwierdzeniu Dostojewskiego „Piękno zbawi świat"?

To stwierdzenie jest niezwykłe i zadziwiające. Brzmi jak paradoks i zagadka. Co ciekawe, dziś wszechobecne są w różnych mediach głosy o „ratowaniu planety", ale mało kto mówi o „zbawieniu świata". Poglądy Dostojewskiego są bardzo odległe od dominujących dziś idei. Ekologiczna idea ratowania planety zastąpiła religijną koncepcję zbawienia. Jednak Boże Narodzenie to święta naszego zbawienia – po to Jezus stał się człowiekiem i narodził się w ciele, by nas zbawić.

Piękno jest jedną z dróg poznania Boga, wcale nie gorszą od dobra i prawdy. Jeden z moich znajomych franciszkanów, który przez wiele lat był spowiednikiem w bazylice św. Piotra, opowiadał, że przyszedł kiedyś do niego do spowiedzi człowiek po 15 latach obojętności, a na pytanie, co skłoniło go do przystąpienia do sakramentu pojednania, odpowiedział, że piękno bazyliki.

Ja też miałem kiedyś penitenta, który po trzydziestu paru latach przyszedł pojednać się z Bogiem. Zadałem mu to samo pytanie. Odpowiedział: „Dopiero teraz zrozumiałem sens nawrócenia".

Każde piękno jest lekarstwem dla duszy wrażliwej – brzydota i kicz wprowadzają zamęt i chaos. Piękno jest wpisane w serce chrześcijaństwa. Miejscem, gdzie ono się objawia, jest liturgia, muzyka jej towarzysząca, sposób jej celebracji, wystrój wnętrz.

Wysoko podnosisz poprzeczkę...

Oddajemy Bogu cześć za pomocą słów, symbolicznych gestów, znaków sakramentalnych. Liturgia jest formą stawania w obliczu Boga. Przez to, że mamy ciało i odbieramy rzeczywistość poprzez zmysły, modlitwa nie powinna ograniczać się do samych słów. Liturgia zawiera bogactwo form modlitwy: jest śpiew i milczenie, są gesty i szaty, naczynia liturgiczne, wystrój wnętrz, architektura, jest zapach kadzidła, światło świec, symbolika znaków – wody, wina i chleba, ognia i oleju. Za pomocą poezji i muzyki, gestów i symboli docieramy głębiej niż do intelektu, docieramy do najskrytszych zakamarków naszego serca. Wszystkie te aspekty nabożeństwa są istotne, bo liturgia ma być modlitwą całego człowieka.

Tak powinno być, liturgia ma być piękna i mieć niepowtarzalny wdzięk. Nie zawsze jednak to jest możliwe, bo nie zawsze uda się nam znaleźć tak pięknie sprawowaną liturgię tuż obok nas. Wtedy idziemy do kościoła, który lubimy najbardziej, w którym dobrze się czujemy, bo jest w nim prawdziwa wspólnota. A ponadto wielu wiernych stoi z dala od ołtarza, nie widzą, nie słyszą, a nawet nie czują owego piękna. Gdy ktoś stoi w kruchcie lub na zewnątrz kościoła, to nie dostrzega piękna liturgii. W jakimś momencie życia musimy się nią zachwycić, aby wejść w jej głębię.

Święta Narodzenia Pańskiego to święta pokoju i bezpieczeństwa, nadziei, radości i optymizmu. Myślę, że w kontraście do świata obecnie kreowanego przez media ten ich szczególny rys będzie jeszcze bardziej widoczny i czytelny.

O tak, nawet bardzo. To są coraz bardziej odmienne i dalekie od siebie światy. A ostatnie wydarzenia w naszym kraju – mam na myśli fatalny obraz duchownych, na których wizerunek wpłynęli ci bracia, którzy swym życiem zaprzeczyli Ewangelii i wypaczyli kapłaństwo, a także wykrzyczany wulgaryzm, nienawiść do Kościoła – całe to zamieszanie i pomieszanie sprawia, że już teraz ci ludzie, którzy są wierni Chrystusowi i Jego Ewangelii, jeszcze bardziej przylgną do Trójjedynego.

Ale zdystansują się od niektórych duchownych.

No cóż, to jest nieuniknione.

Wróćmy jednak do Bożego Narodzenia. To przecież wyjątkowo radosne święta. Dlatego...

...dlatego życzę ci, Andrzeju, i wszystkim naszym Czytelnikom pogodnych, zdrowych, błogosławionych Świąt Narodzenia Pańskiego, abyśmy poczuli bliskość i miłość Nowonarodzonego i wszystkich tych, których kochamy. I wiary w to, że Pan Bóg czuwa nad nami.

Reklama | 8/1220/F

eprasa.pl df468be33c



Radosnych i zdrowych Świąt Bożego Narodzenia,
przepełnionych rodzinnym ciepłem i miłością,
a w Nowym Roku sukcesów zawodowych i spełnienia
marzeń wszystkim Czytelnikom życzą

Rada Nadzorcza, Zarząd Grupy LOTOS S.A.
oraz pracownicy Grupy Kapitałowej LOTOS

LOTOS

eprasa.pl df468be33c



Wiara w czasie zarazy

Nie ma takiej walki z hierarchią i instytucjami Kościoła rzymskiego, która jako efektu nie niosłaby upadku wiary i dechrystianizacji



JAN ROKITA

„Epidemia sprawiła, że chrześcijanie wracają do tego, co jest istotą ich wiary" – pisał nie tak dawno kard. Robert Sarah, ważny autorytet duchowy dla kręgów tzw. katolickich konserwatystów. W tonie całkowitej pewności afrykański hierarcha twierdzi, iż powrót wiary musi być nieuchronnym następstwem twardej lekcji znikomości i kruchości życia, danej nam powszechnie za sprawą zarazy w kończącym się roku 2020. Sarah jest pewien, że w ciągu owego roku zarazy nie mogliśmy nie pojąć, iż na dłuższą metę nie przetrwają społeczeństwa, które wspólnie nie odbudowują wciąż na nowo religijnej nadziei na zmartwychwstanie i życie wieczne. Czyli takie, w których wiara jest tylko sprywatyzowanym aktem pojedynczego człowieka, a nie jest niesiona przez kulturę, życie publiczne, sztukę i zbiorowe obyczaje. W konsekwencji musieliśmy też dostrzec z całą wyrazistością, jak bardzo „potrzebujemy kapłanów, którzy nauczą nas modlić się i mieć nadzieję".

Sam kard. Sarah jest z pewnością człowiekiem głębokiej wiary, nie dziw zatem, iż fakt globalnej zarazy czyta jako swego rodzaju znak, który niczym jakaś biblijna plaga ma moc skłonić nasz świat do powrotu do zerwanego przymierza z Bogiem.

Ale na szczytach hierarchii Kościoła rzymskiego pojawiły się także ostatnio diagnozy bardziej pragmatyczne, w których obraz chrześcijaństwa po zarazie jest dużo bardziej pesymistyczny. Na przykład inny wpływowy obecnie hierarcha, kard. Jean-Claude Hollerich stawia nawet bardzo ścisłą tezę, iż: „pandemia przyspieszyła proces dechrystianizacji Europy o dziesięć lat". Luksembursko-japoński jezuita, dwa lata temu wybrany na szefa biskupów całej Unii Europejskiej, taką prognozą dzieli się otwarcie na łamach „L'Osservatore Romano", co pozwala domniemywać, iż nie jest to pogląd odosobniony na watykańskich szczytach Kościoła. I trudno nie przyznać, że za ową pesymistyczną dla chrześcijan prognozą przemawiają rzeczowe i mocne argumenty.

W RELIGIJNEJ PRÓŻNI

Hollerich przewiduje trwały upadek praktyk religijnych w rezultacie lockdownów, zwłaszcza gdy idzie o „katolików kulturowych", czyli takich, którzy chodzili do kościoła z przy-

Fot. DyziO/Shutterstock.com

eprasa.pl df468be33c

zwyczajenia, tradycji, obyczaju. „Oni zorientowali się, że życie może być wygodniejsze, że można żyć całkiem nieźle bez powinności chodzenia do kościoła" – mówi kardynał. I dodaje: „To samo dotyczy komunii św., nauczania katechizmu; wszystko to będzie teraz upadać w kategoriach ilościowych, to prawie oczywiste".

Przyspieszenie kryzysu religijnego po zarazie Hollerich porównuje do panującej recesji ekonomicznej. „Cały Zachód – tak Ameryka, jak i Europa jest teraz słabszy niż przed zarazą" – konkluduje przewodniczący biskupów europejskich. I dlatego jesteśmy skazani na to, aby zarówno w polityce, jak i w Kościele porzucić eurocentryczny punkt widzenia, do którego tak jesteśmy przyzwyczajeni. Tak jak niektórzy ekonomiści pocieszający nas, iż każdy kryzys jest zalążkiem jakiegoś przyszłego rozwoju, również Hollerich próbuje pocieszyć się tym, iż teraz przy chrześcijaństwie pozostaną tylko ludzie naprawdę religijni. Nadzieja pogłębienia wiary nielicznych gra tu rolę pociechy wobec prognozy utraty dotychczasowych resztek wiary przez o wiele liczniejszych.

Tymczasem trudno nie dostrzec, że (jak przenikliwie zauważył na łamach „Rzeczpospolitej" prof. Marek Cichocki) „na razie to bezprecedensowe doświadczenie pandemii przebiega w Europie w zaskakującej religijnej próżni". Jak dotąd niestety Kościół i religia nie odegrały istotniejszej roli w interpretacji ani samej zarazy, ani jej konsekwencji, co jest faktem precedensowym w historii bodaj wszystkich trawiących Europę epidemii. W europejskiej kulturze szczególnie mocno odciśnięty został ślad potężnej duchowej roli, jaką w czasie mediolańskiej dżumy roku 1630 odegrał tamtejszy biskup, kard. Fryderyk Boromeusz, gdyż jego postać i aktywność w czasie zarazy stały się kanwą jednej z najlepszych włoskich powieści, „Narzeczonych" Manzoniego. Ale to przecież tylko jedna z wielu opowieści o sile oddziaływania religii i niepospolitych postaci Kościoła w czasach zarazy, tyle że utrwalona przez wybitną literaturę.

W dzisiejszej rzeczywistości biskupi skoncentrowali się na nawoływaniu do przestrzegania zmiennych i mało konsekwentnych restrykcji państwa w czasie lockdownów. Trudno nie zrozumieć logiki, jaka nimi kierowała: szło o to, by ograniczyć ekscesy religijnych fanatyków, czerpiących satysfakcję z teatralnego łamania państwowych nakazów sanitarnych i dających w ten sposób pretekst do kolejnych antyreligijnych kampanii. Nie zmienia to jednak tego, że w ten sposób duchowe przesłanie Kościoła w czasie zarazy musiało ulec pewnemu zeświecczeniu, by nie rzec nawet – polityzacji. I nie jest to bynajmniej jakąś polską specyfiką, całkiem podobnie działo się w innych krajach, może najwyraźniej właśnie we Włoszech. Do tego doszła długa przerwa w udzielaniu sakramentów oraz masowe doświadczenie braku zapotrzebowania na religię w chwili duchowego i politycznego rozchwiania.

Nawet w kraju takim jak Polska, gdzie jest jeszcze ciągle sporo duchownych wierzących w realne, a nie tylko teatralne, znaczenie mszy i sakramentów, tych spośród nich, którzy podejmowali odważne próby wyjścia na ulice z Sanctissimum, uznawano w najlepszym razie za śmiesznych dziwaków, w najgorszym zaś za fanatyków szukających sztuczek na obejście państwowych zakazów. W sytuacji gdy przez europejską politykę przetacza się właśnie wielki spór o kształt kultury i obyczajów, takie niereligijne doświadczenie kryzysu może faktycznie przyspieszyć dechrystianizację (jak wieszczy Hollerich), ale także może pogłębić na przyszłość polityczną defensywę katolików.

Tu i ówdzie w Europie zdarzały się jednak optymistyczne przykłady publicznego zamanifestowania wiary, w sposób wyzbyty fanatyzmu, a na dodatek (jak się miało okazać) politycznie efektywny. Warto zwrócić szczególną uwagę na zdarzenia we Francji, czyli kraju, który najgłębszy kryzys religii przeszedł już dawno, a od dłuższego czasu widać w nim oznaki nie tylko odrodzenia chrześcijaństwa, ale także umocnienia politycznej pewności siebie tamtejszych katolików (żeby przypomnieć choćby milionową paryską demonstrację w obronie rodziny sprzed siedmiu lat). Swoją drogą to właśnie we Francji państwowe zarządzenia o zamknięciu świątyń wszystkich wyznań najmocniej sprawiały wrażenie antyreligijnej szykany, wymierzonej zresztą w pierwszym rzędzie nie tyle przeciw katolikom, ile przeciw muzułmanom, których prezydent Macron wziął na celownik po kolejnych zamachach islamistów.

W sieci można było oglądać filmy pokazujące liczne niedzielne zgromadzenia modlitewne katolików pod

REKLAMA



44/1120/F

eprasa.pl df468be33c

zamkniętymi świątyniami, choćby w Bordeaux czy Nantes, odbywające się spontanicznie i z respektem dla wymogów sanitarnych (maski, dystans etc). Solidarność francuskich biskupów z postawą wiernych i skarga wniesiona do Rady Stanu przyniosły skutek i krok w tył ze strony władz. To jeden z nielicznych ostatnimi czasy w Europie przypadków mądrej i roztropnie prowadzonej wspólnej akcji wiernych i biskupów, z wykorzystaniem przestrzeni publicznej i instytucji świeckiego państwa.

UDERZENIE W KOŚCIÓŁ

W Polsce natomiast stało się tak, że ów zlaicyzowany i areligijny sposób przeżywania i rozumienia zarazy nałożył się czasowo na silny wzrost prądów otwarcie antyreligijnych. Jak dobrze wiemy, stało się tak na skutek fatalnego (gdy idzie o duchowy klimat) momentu wznowienia wielkiego sporu o aborcję, a także w efekcie nagłego przyspieszenia rozliczeń z duchownymi – libertynami, wspierającymi się wzajemnie ze względu na wspólnotę orientacji seksualnej.

W Polsce stało się tak, że ów zlaicyzowany i areligijny sposób przeżywania i rozumienia zarazy, obserwowany w Europie, nałożył się czasowo na silny wzrost prądów otwarcie antyreligijnych

Pierwszy z tych faktów wywołał precedensowe w warunkach polskich uczestnictwo tłumów młodzieży w antyreligijnych happeningach, odbywających się wbrew prawu epidemicznemu, co jeszcze podniosło ich emocjonalną temperaturę. Wpłynął także na przyspieszone okrzepnięcie w toku ulicznych zadym ruchu radykalnych feministek, który na dobrą sprawę nie stawia sobie na serio żadnych innych celów politycznych poza walką z polską religijnością. Z kolei przyspieszenie rozliczeń z duchownymi, które (jak wiemy) dotknęły czołowych polskich hierarchów, dało wyjątkowo dogodny pretekst dla niemal wszechogarniającej ostatnimi czasy fali słownej agresji wobec instytucji kościelnych i polskiego episkopatu katolickiego, wylewającej się z mediów tradycyjnych, elektronicznych i społecznościowych.

Na dobrą sprawę gdyby latem tego roku w Polsce wylądowali kosmici niemający żadnej wiedzy o naszych realiach, musieliby szybko nabrać pewności, iż nasz kraj jest rujnowany przez tylko jedną, lecz za to wszechpotężną strukturę mafijną o nazwie: Kościół Rzymsko-Katolicki. Przy czym absolutną nowością w polskich warunkach jest to, iż uderzenia owej fali idą z dwóch, ostro skonfliktowanych ideologicznie stron. Uderzenia te nie mogą w ogóle dziwić, jeśli nadchodzą od strony skrajnej lewicy albo ruchów feministycznych czy gejowskich. Są także zrozumiałe na gruncie polityki, jeśli pochodzą od liderów opozycji, którzy w manifestacyjnej apostazji (jak ostatnio syn Wałęsy) oraz antyreligijnych sloganach upatrują szansy (inna sprawa, czy słusznie?) na osłabienie tożsamości i rozbicie elektoratu PiS. Jednak signum temporis obecnej fali jest to, iż uderza ona z jednakim rozmachem również od strony katolickich fundamentalistów, a jej wiatr próbują brać w żagle nawet politycy rządzącej prawicy!

Można bez liku mnożyć świadectwa tego trendu z ostatniego czasu. Od bilbordów i masowo kolportowanych ulotek ruchu „Stop komunii świętej na rękę", oskarżających biskupów o przyzwolenie na profanację Ciała Chrystusa. Poprzez opiniotwórczą (zwłaszcza w kręgach fundamentalistów religijnych) publicystykę red. Terlikowskiego, regularnie wskazującego po nazwisku biskupów przeznaczonych do medialnego odstrzału. Aż po doradcę prezydenta i czołowego pisowskiego intelektualistę prof. Zybertowicza, publicznie oskarżającego bez dowodów kard. Dziwisza o „zdradę papieża".

Ten specyficznie polski i bardzo ostatnio ożywiony kierunek natarcia na hierarchię kościelną odbywa się pod hasłem „oczyszczenia Kościoła", czy to z naleciałości doktrynalnie liberalnych, czy też obyczajowo libertyńskich. Przypomina więc o prastarym kłopocie chrześcijan, którzy już w IV w. musieli się zmagać z żądaniem odsunięcia i ukarania tych, którzy nie są dostatecznie „czyści". Wtedy owo żądanie przybrało nawet kształt sławnej „schizmy donatystycznej" i doprowadziło do zagłady chrześcijańskiej Afryki. Warto przypominać tamte tak odległe w czasie fakty, bo unaoczniają one, iż nie ma takiej walki z hierarchią i instytucjami Kościoła rzymskiego, która jako efektu nie niosłaby upadku wiary i dechrystianizacji.

W żadnym normalnym społeczeństwie kampania propagandowa o tej skali nie może nie pozostawić trwałych śladów. Więc nie trzeba wielkiej przenikliwości, by zauważyć, iż skoro kard. Hollerich zakłada przyspieszenie dechrystianizacji Europy o 10 lat w rezultacie zarazy, to koincydencja powszechnych skutków zarazy z efektami zdarzeń specyficznie polskich nakazywałaby logicznie u nas podwyższyć ową liczbę 10 do – powiedzmy – co najmniej 20. Jeśli zatem podążać tropem pragmatycznej logiki przewodniczącego biskupów europejskich, to nie sposób zamknąć oczu na taką właśnie konkluzję przyspieszonej dechrystianizacji Polski jako efektu zdarzeń i trendów tak ostro rysujących się w ciągu ostatniego roku zarazy. Jest jednak jakaś duchowa alternatywa.

Zamiast za Hollerichem można pójść tropem wskazanym przez Saraha. I miast „socjologicznego" prognozowania na temat przyszłości chrześcijaństwa skoncentrować się na własnym świadectwie wiary, za którą idzie ufność wobec ustanowionego przez Zbawiciela Kościoła oraz życzliwość i wyrozumiałość dla naszych kapłanów. Skoro bowiem w czasie zarazy tak namacalnie dotknęliśmy tajemnicy kruchości naszego życia, to (jak nie bez racji pisze Sarah) tym bardziej ich potrzebujemy, „aby uczyli nas modlić się i mieć nadzieję".

Reklama | 16/1220/F

eprasa.pl df468be33c



Spokojnych **Świąt**

Bezpieczeństwa, zdrowia, pomyślności
na co dzień, od święta i przez cały Nowy Rok!

Życzy PZU

eprasa.pl df468be33c



Tęsknota za dobrem nie umarła

eprasa.pl/d/4C8be33c

Wielu Ojców i Doktorów Kościoła przestrzegało nas, że najwięcej grozi nam wówczas, gdy uznamy, że zło nie istnieje, że szatan czy piekło to tylko taka opowiastka. Nie, to jest rzeczywistość, zło ma swoją postać. Musimy myśleć tak, jak ks. Franciszek Blachnicki, który w 1982 r. miał odwagę powiedzieć: tak, system komunistyczny, marksizm, jest fizyczną obecnością szatana na ziemi. Poczuliśmy zapach siarki na ulicach Warszawy i musimy z tego wyciągnąć wnioski

Jacek Karnowski rozmawia z Janem Pospieszalskim, muzykiem, kompozytorem, publicystą

Za nami ciężkie miesiące. Nie tylko pandemia, ale także zdarzenia wyjątkowo bolesne dla wierzących: przerywanie mszy św., napaści na kościoły, bluźnierstwa, szyderstwa z wiary. Święta Bożego Narodzenia skłaniają do refleksji, ale w tym roku chyba trudno o optymizm?

Jan Pospieszalski: To wszystko, co się zdarzyło, mocno mnie poruszyło, także zasmuciło. Musimy widzieć jednak rzeczy we właściwej perspektywie. To są w sumie sprawy od zawsze wpisane w rzeczywistość chrześcijańską. Ktoś, kto żyje Słowem Bożym, nie powinien być zdumiony.

W jakim sensie?

To wszystko zostało przecież przepowiedziane. Wystarczy przywołać fragment z Kazania na Górze: „Błogosławieni jesteście, gdy ludzie wam urągają i prześladują was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was. Cieszcie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie. Tak bowiem prześladowali proroków, którzy byli przed wami". Chrześcijanie zmagali się z tego typu zjawiskami od zawsze. Chrześcijanin musi być zawsze przygotowany na takie czy inne prześladowania, na różnego rodzaju ciosy płynące ze świata.

Nihil novi sub sole?

Tak, nic nowego pod słońcem. Święta Bożego Narodzenia są wpisane w rok liturgiczny, i to już wiele tłumaczy. Zawsze czekamy. Zawsze musimy pamiętać, że to wszystko jest tymczasowe. Że świat ciągle się odradza na nowo. W tym ujęciu te straszne wydarzenia, które przetoczyły się przez ulice naszych miast, są rodzajem katechezy.

Co nam mówi ta konkretna katecheza?

Jednych smuci, innych przeraża, jeszcze innych skłoniła do chwycenia za różaniec i obrony kościołów. Ale uprawnia też do mówienia o porażce pedagogicznej nas wszystkich. Także nas jako liderów opinii, dziennikarzy, członków Kościoła. Bo nie potrafiliśmy dotrzeć do tej młodzieży z Dobrą Nowiną i ona wyszła z wulgarnymi hasłami na ustach, zakłócała msze św., bazgrała okropieństwa na kościelnych murach. I jest w tym zapewne dużo racji. Z drugiej strony sam sobie stawiam pytanie: jakie są realne proporcje tego wszystkiego? Co my właściwie widzimy?

Jest nadzieja, że to tylko wycinek rzeczywistości, że nie cała młodzież jest stracona?

Zło wylało jak szambo. To był gejzer zła, bardzo spektakularny, efektowny. Ale przecież to nie jest obraz całego społeczeństwa! Miliony ludzi przygotowują się, także duchowo, do świąt Bożego Narodzenia. Miliony ludzi cieszą się, że nadchodzi ten cudowny czas. Tęsknota za dobrem, za wspólnotą, nie umarła, nie zniknęła. Ci, co szaleli na ulicach, to jednak jest mniejszość, nie tak znowu liczna, choć zgoda, że głośna.

To, gdzie jesteśmy, zobaczymy dopiero po ustąpieniu pandemii i powrocie normalności?

Pandemia z pewnością miała duże znaczenie. Nie żyjemy normalnym życiem, zablokowanych zostało mnóstwo zwykłych aktywności. Młodzi ludzie, i nie tylko młodzi, nie mogą pójść do kina, nie mogą potańczyć, wyjechać, spotkać się z przyjaciółmi. Wszędzie napotykają na zakazy, restrykcje, ograniczenia. Są zablokowani. Taki uliczny event był okazją do odreagowania. Nam z kolei te dni przypomniały, że zło istnieje. To zło wyraża się nienawiścią do życia, do wartości, do Kościoła, który staje się największym wrogiem. Ale powtarzam: ta niechęć do chrześcijan jako do ludzi niosących Dobrą Nowinę jest obecna na świecie od samego początku. Przybiera formy wielkich prześladowań, obscenicznych, bluźnierczych demonstracji, ale także drobnych upokorzeń. Np. moja córka opowiadała mi, że w czasie nocnej adoracji Najświętszego Sakramentu do kościoła w Warszawie weszła pani z psem, po czym obeszła całą świątynię niczym jakiś skwerek. Oczywiście nawet nie przyklęknęła. To incydent, który nigdzie nie został odnotowany, a przecież to jest forma nękania.

Można powiedzieć, że długo żyliśmy w Polsce w „duchowym luksusie", ale nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

To możliwe. Co więcej, wielu Ojców i Doktorów Kościoła przestrzegało nas, że najwięcej grozi nam wówczas, gdy uznamy, że zło nie istnieje, że szatan czy piekło to tylko taka opowiastka. Nie, to jest rzeczywistość, zło ma swoją postać. Musimy myśleć tak, jak ks. Franciszek Blachnicki, który w 1982 r. miał odwagę powiedzieć: tak, system komunistyczny, marksizm, jest fizyczną obecnością szatana na ziemi. Poczuliśmy zapach siarki na ulicach Warszawy i musimy z tego wyciągnąć wnioski.

Jest pan osobą, która bardzo dużą część swojej aktywności dziennikarskiej i społecznej poświęciła obronie życia dzieci nienarodzonych. Dlaczego tak wielu ludzi akceptuje coś tak strasznego? Dlaczego przechodzi obojętnie wobec losu bezbronnych ludzi, mordowanych szczypcami, duszonych, skazywanych na śmierć?

To jest rzeczywiście dramat współczesnego świata. Jednak pamiętajmy, że wielu ludzi na to się nie godzi, wielu

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df468be33c

broni życia. Na pewno fakt, że przez kilka pokoleń była to swego rodzaju „norma", w pełni legalna, sprawił, że tak, a nie inaczej uformowały się sumienia. Prawo ma silną funkcję normotwórczą. Gdybyśmy na początku lat 90. zrobili badania opinii publicznej w sprawie ochrony życia, to nie wiem, jakie byłyby wyniki.

Zapewne znacznie gorsze niż teraz.

To bardzo możliwe. Dobrze pamiętam tamten czas, nastroje w tej sprawie były niemal równie gorące jak obecnie. Teraz cała masa dzieciaków dała sobie wmówić, że aborcja jest jakąś błahostką, sprawą bez konsekwencji. Wielu z nich pewnie nie wie, jak to wygląda technicznie, to odsysanie, kawałkowanie i wyciąganie szczypcami. To jest rzeczywistość, którą ludzie wypierają. Tym łatwiej wypierają, że z mediów lewicowo-liberalnych cały czas płynie propaganda w tej sprawie, promująca również aborcję farmakologiczną, w istocie równie zbrodniczą jak aborcja „zwykła". Do tego dochodzi spór polityczny.

Który uniemożliwia racjonalną rozmowę?

Jeśli toczy się spór polityczny, to on przesłania niemal wszystko. Sprawia, że trudno się przebić np. z informacją, że tu chodzi nie o tę czy inną partię, ale o życie dzieci, które rozpoczęło się w łonie matki. No i jeszcze jeden element, czyli zmiana technologiczna, cywilizacyjna, pojawienie się mediów społecznościowych. Ludzie pozamykali się w swoich kohortach, w swoich balonach środowiskowych, facebookowych.

Nie dociera do nich nic, co by rozbijało raz przyjęty obraz świata?

Więcej: to zamknięcie sprawia, że ludzie bardzo łatwo się nakręcają. Zwłaszcza ludzie młodzi. Oni funkcjonują w cywilizacji przeżycia, w cywilizacji permanentnej euforii. A więc w świecie, który nie sprzyja poważniejszej refleksji, zastanowieniu się nad istotą sprawy, dostrzeżeniu, że to nienarodzone dziecko ma swoją godność, którą trzeba uszanować, że nie jest przedmiotem.

Może to był moment zaczadzenia? Może ci ludzie, część z nich przynajmniej, dojrzeje, przejrzy na oczy? Może kiedyś będą się wstydzili udziału w czymś, co często zbliżało się wręcz do celebrowania aborcji. Czy do ludzi dotrze, że to były jednak protesty pełne chamstwa, prymitywizmu, wulgarności, okrucieństwa?



Cały czas apeluję o dostrzeganie proporcji. Nie cała Polska w tym uczestniczyła, nie cała młodzież...

To na pewno, ale skoro demonstrowały niemal całe licea w dużych miastach, to trudno mieć wątpliwości, że to wpłynie na życie społeczne.

Te zdarzenia wciąż czekają na porządny opis socjologiczny, zarówno jakościowy, jak i ilościowy. To, co zobaczyliśmy w mediach społecznościowych, w mediach tradycyjnych, pokazało nam, że to były jednak tysiące, może dziesiątki tysięcy, a nie miliony, jednak głównie w kilku dużych miastach. Oczywiście to będzie miało swoje echa, to zapewne wzmocni skrajnie lewicowe postawy na uniwersytetach. Osobiście wciąż wierzę w ewangelizację. Wierzę, że i hierarchia kościelna, i my, zwykli katolicy, będziemy w stanie na to odpowiedzieć, zareagować, wyciągnąć wnioski.

Nie jest za późno?

Nie, nigdy nie jest za późno. Musimy pytać, czy naprawdę nie można lepiej prowadzić katechezy w szkołach podstawowych, średnich, w parafiach? Musimy mieć ludzi, którzy w takiej kryzysowej sytuacji staną przed zrewoltowaną klasą na pierwszej linii frontu, odpowiedzą na trudne pytania i opowiedzą tym dzieciakom o miłości Jezusa Chrystusa do każdego z nich. I o tym, co się dzieje w momencie, gdy zaprosisz Jezusa do swojego życia. Jeśli Dobra Nowina przekazana jest autentycznie, z wielką miłością do człowieka, i jeśli wyrasta z własnego doświadczenia, z przylgnięcia do Słowa Bożego, musi odnieść skutek.

Trudno zbudować taki system na masową skalę. To mogą być co najwyżej jakieś jednostkowe sytuacje.

Nie zgodzę się. Dużo można zrobić. Oczywiście zapewne wcześniej Kościół musi pokonać swoje problemy, musi wyjść na prostą. Tak, musi się także oczyścić, wyjść z pewnych uwikłań, często wstrząsających, które dziś ciągną go w dół, które wywołują zgorszenie, które dają paliwo antyklerykalnej histerii na ulicach. Jeśli w tej sferze nie będzie zmiany, coraz trudniej będzie bronić Kościoła.

Kościół zawsze miał swoje grzechy, zawsze miał stronę ludzką. Jednak kiedyś polska młodzież strajkowała w obronie krzyży w szkołach, a dziś okazuje się, że organizatorem homoseksualnej orgii w Brukseli jest młody Polak z Wadowic. Dwa pokolenia i inna rzeczywistość. Co poszło nie tak?

To są atrakcyjne publicystycznie zestawienia, ale przestrzegam przed nimi. Ludzie z Włoszczowy i z Miętnego, którzy w 1984 r. walczyli o krzyże w szkołach i którzy tę walkę wygrali, pozostają wierni. Co więcej, ich dzieci

eprasa.pl df468be33c

są wierzące, modlą się na różańcu, one nie chodziły z błyskawicami. Z tego środowiska wyszły także powołania kapłańskie. I dobrze, że padły te nazwy: Włoszczowa, Miętne. To dzieci z wiejskich prostych środowisk. Z okolic Garwolina, Łaskarzewa, Koniecpola upomniały się o miejsce Boga w książce, w pracy, w szkole. Do Betlejem do Jezusa w stajence jako pierwsi przyszli prości pastuszkowie. Ta prawda jest w jakiś sposób zakryta przed możnymi tego świata, ale jest dostępna dla maluczkich. I dlatego to Polska, poza wielkimi miastami, ciągle jeszcze przechowuje dziedzictwo chrześcijańskie.

Ona wciąż jest wierna? Słychać, że i na Podhalu już różnie bywa.

Jasne, że bywa różnie, ale zawsze bywało różnie. Przeglądam śpiewnik kolęd z 1843 r. W przedmowie ks. Mioduszewski pisze o „duchu religijnym, który coraz bardziej słabnie" i o „coraz większej zmianie obyczajów", ubolewając nad upadkiem wiary i religijności, nad zanikiem zwyczaju śpiewania kolęd. I tak to pewnie wyglądało. Ale chwilę później przyszli tacy ludzie, jak Edmund Bojanowski, Ewa z Sułkowskich Potocka, Honorat Koźmiński, Zygmunt Szczęsny Feliński, Marcelina Darowska, Zygmunt Gorazdowski, Rafał Kalinowski, Albert Chmielowski, Michał Sopoćko, Urszula Ledóchowska i wielu innych. Dwa pokolenia, kilkudziesięciu świętych kapłanów i świeckich, często najpierw powstańców, którzy później uznali, że zmartwychwstanie Polski może przyjść tylko przez zmartwychwstanie ducha, przez odrodzenie religijne. My także mieliśmy wśród nas wielkich świętych ludzi – Jana Pawła II, prymasa Stefana Wyszyńskiego, ks. Jerzego Popiełuszkę, ks. Franciszka Blachnickiego. Ich dziedzictwo to wielki kapitał, rezerwuar duszpasterskich pomysłów, sił, energii w walce o ewangelizację tych pogubionych dzieciaków. Ale warunkiem jest nasza odnowa. Parafie nie mogą być tylko ośrodkami administracyjnymi świadczenia usług religijnych. Muszą skuteczniej ukazywać światu piękno i wielkość Tajemnicy Kościoła. Muszą stawać się wspólnotami ożywianymi sakramentami, Słowem Bożym i odwagą świadectwa.

Jak będą wyglądały tegoroczne święta w rodzinie Pospieszalskich?

Zazwyczaj świętujemy w bardzo licznym gronie, minimum 28–30 osób. Czterech braci z żonami, siostra, dzieci i wnuki, trzy pokolenia razem. Każdego roku więcej, bo te rodziny – Mateusza, Marcina, Karola i moja – ciągle się powiększają, na świat się pcha trzecie pokolenie, co dla nas jest wielką radością i dumą. Teraz to będzie wyglądało nieco skromniej. Złożymy sobie życzenia przez telefon, zaśpiewamy kolędy w „nuklearnym" gronie. Z jednej strony żałuję, ale z drugiej może to jest także szansa?

Parafie nie mogą być tylko ośrodkami administracyjnymi świadczenia usług religijnych. Muszą skuteczniej ukazywać światu piękno i wielkość Tajemnicy Kościoła. Muszą stawać się wspólnotami ożywianymi sakramentami, Słowem Bożym i odwagą świadectwa

Szansa na co?

Na jakąś ważną refleksję? Na to, byśmy przeżyli ten czas w sposób szczególnie duchowy? Bo przecież każdy z nas wpada w różne pułapki. Ubieramy Dobrą Nowinę o nadejściu Jezuska w szatki folkloru, cieszymy się pastuszkami w kożuszkach i kapelusikach. Albo też infantylizujemy. A przecież to poważna sprawa: Tajemnica Wcielenia. Bóg stał się człowiekiem za sprawą najwspanialszej kobiety, jaką jest Najświętsza Matka, Maryja. To ona powiedziała „tak", to ona przyjęła tę niesamowitą Tajemnicę.

W sumie Jan Pospieszalski mówi nam, byśmy wracali do źródeł?

Tak. Poczujmy tę wielką radość, że jesteśmy depozytariuszami wspaniałej pięknej Nowiny. To do nas przychodzi Jezus Chrystus w postaci małego bezbronnego dziecka. Wybrał ubóstwo, wybrał upokorzenie, przyjął nasze ciało. Przyszedł, aby nas wyzwalać z naszych ograniczeń, zniewoleń, lęków, upadków. Jeśli zgłębimy tę prawdę, jeśli przyjmiemy ją w modlitwie, to uzyskamy potężną siłę. I nie będzie nam straszne wspomnienie tych okropnych strajków kobiet, nie będziemy się bali, będziemy wolni. Bo tak naprawdę nie czekamy na żłóbek, na święta; czekamy na przyjście Jezusa Chrystusa w chwale. Dla pierwszych chrześcijan wiara w ponowne przyjście Pana Jezusa była czymś oczywistym. Czymś, czego oczekiwało się każdego dnia.

Świat się zestarzał, stał się w pewien sposób cyniczny. Trudno dziś o taką postawę.

Po to są te święta: żebyśmy też nauczyli się tak żyć, żebyśmy mieli w sobie gotowość spotkania. Nie w tym sensie, że jutro możemy umrzeć, ale w tym sensie, że staniemy twarzą w twarz z Panem Jezusem, który może tu do nas przyjść. Nie metaforycznie, nie rytualnie, ale bardzo konkretnie. Śp. ks. Pawlukiewicz często pytał: co byś zrobił, gdybyś się dowiedział, że Jezus jest już u sąsiadów, właśnie wszedł do tych z drugiego piętra... i zaraz tu będzie? Uciekałbyś? Ryglował drzwi? Czy byłbyś gotowy?

Pytanie, które trzeba sobie stawiać codziennie.

Róbmy to. Nie pudrujmy świata, nie udawajmy, że nie ma problemów, ale patrzmy na nie we właściwych proporcjach. A przede wszystkim uznajmy, że to Jezus Chrystus jest Panem Historii. Nas, katolików w Polsce, nie musi być 38 milionów, nikt tego nigdy nie powiedział. Ważne, byśmy na co dzień żyli Duchem Bożym, by nasze chrześcijaństwo nie było bezobjawowe.

eprasa.pl df468be33c

Nie bójmy się szczepić

Zawarty w szczepionce na COVID-19 mRNA wnika do komórki człowieka, ale nie wnika do jądra komórkowego, gdzie jest przechowywane nasze DNA, czyli materiał genetyczny. Obawy, że może dojść do jakiejś modyfikacji genomu osoby, która została zaszczepiona, są bezpodstawne

Z prof. Iwoną Paradowską-Stankiewicz, krajową konsultant w dziedzinie epidemiologii, rozmawia Aleksandra Jakubowska

GOŚĆ JAKUBOWSKIEJ

Z kilku badań opinii publicznej wynika, że niespełna 40 proc. Polaków deklaruje chęć zaszczepienia się. Bardziej boimy się szczepionki niż zakażenia koronawirusem?

Iwona Paradowska-Stankiewicz: Myślę, że tak, bo to jest całkiem nowa szczepionka. Niewiele o niej wiemy jako społeczeństwo, ten strach to taka typowa reakcja na nową sytuację. Na liście różnych stresorów, które działają na ludzi, strach spowodowany nową sytuacją zajmuje dosyć wysoką pozycję. W związku z tym bardzo ważne jest przeprowadzenie dobrej kampanii edukacyjno-informacyjnej, która pozwoli przybliżyć zagadnienia związane z samą szczepionką i ze szczepieniem. Miejmy nadzieję, że to doprowadzi do zmiany nastawienia.



Słyszałam, że to ma być kampania „emocjonalna". Paul Ekman, psycholog, sklasyfikował sześć głównych emocji: radość, smutek, wstręt, strach, zaskoczenie i złość. Będziemy straszyć społeczeństwo? Jakie emocje musimy wzbudzić w ludziach, żeby uwierzyli w szczepionkę?

O wiele lepszy efekt przynoszą pozytywne emocje, oparte na rzetelnych informacjach i podane w zrozumiały sposób. Straszenie raczej nie, bo przecież bierzemy pod uwagę, że są to szczepienia dobrowolne i bezpłatne, więc już to jest ogromną zachętą. Inną zachętą będzie także to, że osoby zaszczepione nie będą musiały przebywać w kwarantannie w sytuacji, kiedy dojdzie do kontaktu z zakażonym. Możliwość swobodnego przemieszczania się nie tylko na terenie kraju, ale i poza jego granicami to też pozytywny przekaz zachęcający do szczepień.

Czy to znaczy, że zaszczepimy się i natychmiast nie obowiązuje nas kwarantanna?

Szczepionki dopuszczone do stosowania na terenie krajów Unii Europejskiej to preparaty, których maksymalna skuteczność uzyskiwana jest po dwóch dawkach. Z badań wynika, że drugą dawkę należy przyjąć po 21 lub po 28 dniach (zależnie od preparatu) od podania pierwszej i dopiero po siedmiu dniach od jej podania można powiedzieć, że organizm wytworzył taki poziom przeciwciał, który gwarantuje, iż po zetknięciu się z wirusem nie zachorujemy. Skuteczność szczepionek jest wysoka, na poziomie 95 proc., czyli u zdecydowanej większość osób, którym zostanie zaaplikowana, wytworzą się przeciwciała. Oczywiście to także zależy od stanu zdrowia organizmu człowieka. Są wśród nas osoby, które generalnie nie odpowiadają na szczepionki, na szczęście jest to niewielki odsetek, ok. 5 proc.

Czy osoby, które chorowały na COVID-19, nie są już uodpornione? Powinny się mimo to zaszczepić?

Przechorowanie nie jest przeciwwskazaniem do zaszczepienia, zwłaszcza że oprócz osób, które chorowały w sposób objawowy, są takie, które miały lekkie objawy albo chorowały bezobjawowo. W tych wszystkich przypadkach nie ma przeciwwskazań do podania szczepionki.

Bo nie ma gwarancji, że ponownie nie zachorują?

No właśnie, to jest ta dziura informacyjna, która jeszcze nie została załatana. Mimo że zmagamy się z koronawirusem już od roku i jest mnóstwo badań, to kwestia obecności poziomu przeciwciał, które po przechorowaniu gwarantują brak możliwości powtórnego zachorowania, jest wiedzą cały czas uzupełnianą. Obecnie przyjmujemy, że odporność po przechorowaniu utrzymuje się trzy miesiące, choć są wstępne doniesienia naukowe bardziej optymistyczne, mówiące o pięciu–siedmiu miesiącach. Jednak mamy na świecie przypadki osób, które powtórnie zachorowały.

eprasa.pl df468be33c



W przypadku każdego medykamentu chcemy, żeby był skuteczny i bezpieczny. Nasze obawy, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo tej szczepionki, biorą się również z tempa jej wyprodukowania. Na szczepionkę przeciwko wirusowi powodującemu raka szyjki macicy czekaliśmy 16 lat, a na HIV, zbierający ponure żniwo od ponad 30 lat do dzisiaj, nie ma szczepionki. Nawet zapewnienia, że korzystano z doświadczeń z lat 2002–2003, kiedy szalały wirusy SARS i MERS, że już wtedy zaczęto pracować nad szczepionką i powrócono do tych badań, jakoś naszego niepokoju nie zmniejszają.

To akurat jest jeden z elementów, które nie powinny budzić niepokoju, tylko należy spokojnie i racjonalnie do tego podejść. Każda szczepionka wprowadzana na rynek po raz pierwszy podlega nieprawdopodobnym restrykcjom i kontrolom podczas procesu wytworzenia danego preparatu, który zaczyna się na etapie prac laboratoryjnych, a potem w trakcie prowadzenia poszczególnych faz badań klinicznych. I tutaj nie ma odstępstwa, że np. jakaś faza zostanie pominięta. Europejska Agencja Leków (EMA), która jest instytucją europejską nadrzędną i decydującą o dopuszczeniu medykamentów na europejski rynek, sprawdza, jak przebiegały poszczególne etapy, analitycznie podchodzi do wszystkich dokumentów, które firma produkująca szczepionki jest zobowiązana dostarczyć. To wszystko, w tym rodzaj dokumentów, jest ściśle określone, natomiast tempo... Są pewne etapy, które mogą być połączone i skrócone, np. pewne procedury biurokratyczne, natomiast badania wykonano według obowiązujących najwyższych standardów bezpieczeństwa, tak samo jak w przypadku innych szczepionek. W Wielkiej Brytanii niezależny organ, który dopuszcza szczepionki, dokonał już tej analizy, zatwierdził szczepionkę i dlatego rozpoczęto jej podawanie.

Czekamy na decyzję Europejskiej Agencji Leków o dopuszczeniu szczepionki na rynek, tymczasem Szwajcaria na razie nie wyraziła takiej zgody. SwissMedic w Bernie stwierdził, że nie ma dowodów m.in. na skuteczność tych szczepionek, brakuje danych dotyczących bezpieczeństwa. I tutaj jest problem. A co będzie, jeżeli EMA uzna, że jednak tych szczepionek nie można dopuścić do obrotu? Zakłada w ogóle pani taką możliwość?

Prawdę mówiąc, nie zakładam, ale oczywiście życie pisze różne scenariusze. Na obecnym etapie jest to bardzo mało prawdopodobne. Preparatów, które są badane, jest wiele, natomiast takich, których badania są na etapie zaawansowanym, jest kilkanaście. Więc nawet gdyby miał się ziścić jakiś najczarniejszy scenariusz, to wtedy trzeba będzie czekać na kolejne szczepionki, które również mają się pojawić.

Dwie z trzech szczepionek, które mają być dopuszczone na europejski rynek, zawierają sekwencję genetyczną. To budzi kolejny niepokój, że może to być ingerencja, która wpłynie na zmianę naszego DNA.

To są tzw. szczepionki mRNA, zawierające w swoim składzie sekwencję genetyczną, która koduje białka patogenu, czyli wirusa SARS-CoV-2, ale tylko te białka, które są odpowiedzialne za wywołanie odpowiedzi immunologicznej. Zawarty w szczepionce mRNA wnika do komórki człowieka, ale nie wnika do jądra komórkowego, gdzie jest przechowywane nasze DNA, czyli materiał genetyczny. Obawy, że może dojść do jakiejś modyfikacji genomu osoby, która została zaszczepiona, są bezpodstawne. Powtarzam, mRNA nie dociera do materiału genetycznego naszej komórki, czyli do jądra, i w związku z tym nie może wpływać na geny osoby zaszczepionej. W odpowiedzi na tę szczepionkę nasz układ immunologiczny wytwarza przeciwciała, które uniemożliwiają namnażanie się wirusa i tym samym chronią przed chorobą. Ważne jest to, że szczepionka mRNA nie zawiera żywego wirusa, w związku z tym nie może wywołać choroby, a jedną z jej zalet jest to, że wywołuje odporność bez powstawania charakterystycznej cechy, jaką jest tolerancja immunologiczna, a to oznacza, że są skuteczne przez dłuższy czas. Jeżeli chodzi o działania niepożądane wywoływane przez szczepionki, to w tym przypadku dotyczą one reakcji miejscowej, a więc może się pojawić zaczerwienienie, ból, obrzęk ramienia, rejestrowano również inne objawy: zmęczenie czy bóle głowy, a w mniejszym stopniu bóle mięśniowo-stawowe i dreszcze w przebiegu gorączki.

Na polski rynek mają być dopuszczone trzy szczepionki firm Pfizer/BioNTech, Astra Zeneca i Moderna. Czym one się różnią i czy pacjenci będą mieli możliwość wyboru szczepionki?

Trzeba wziąć pod uwagę, że to jest moment, kiedy zaczynają się masowe szczepienia na całym świecie i że nie będzie tylu dawek jednej szczepionki na początku akcji dla poszczególnych krajów, żeby zapewnić zaszczepienie całej populacji, oczywiście tej zainteresowanej. Trzeba się liczyć z tym, że wielkość dostaw będzie zależała od tego, jak szybko będą firmy produkować i dostarczać szczepionki. A istotnym elementem w organizacji tego przedsięwzięcia, czyli strategii szczepień, jest to, żeby jak najwięcej osób mogło być zaszczepionych w jak najkrótszym czasie. Takie działanie ma przede wszystkim, zapewnić odporność indywidualną i budować odporność zbiorowiskową, populacyjną, po to by przerwać jak najszybciej łańcuch zakażeń i zachorowań w społeczeństwie. Ponieważ zakładamy, że szczepienia rozpoczną się w styczniu, bardzo dużym wyzwaniem jest, żeby odbywały się płynnie. Myślę zatem, że po prostu będziemy szczepić taką szczepionką, jaka będzie dostępna, zgodnie z podpisanymi przez rząd umowami z różnymi producentami. Raczej nie będzie wyboru pomiędzy preparatami. Warto podkreślić, że mechanizm działania tych szczepionek może się różnić: dwie z nich zawierają mRNA,

Fot. Mateusz Grochok/East News

eprasa.pl df468be33c

jedna jest szczepionką wektorową, jednak efekt jest taki sam, czyli indukowanie odpowiedzi immunologicznej, takiej, która chroni przed zachorowaniem.

Wspomniała pani, że Brytyjczycy rozpoczęli szczepienie swoich obywateli głównie szczepionką Pfizera. W brytyjskiej ulotce dołączonej do tej szczepionki są takie zastrzeżenia: nie można jej podawać młodzieży do 16. roku życia, nie zbadano interakcji z innymi lekami, nie zbadano wpływu na kobiety w ciąży i karmiące piersią. To jest grupa populacyjna, której tej szczepionki nie powinno się podawać. W Polsce zatem ok. pół miliona kobiet (biorąc pod uwagę aktualne dane) byłoby wyłączonych, a licząc razem z dziećmi i młodzieżą do 16. roku życia, to kilka milionów obywateli. Nie uda nam się więc zaszczepić całej populacji, zakładając nawet niemożliwe, że wszyscy wyraziliby taką chęć.

Bardzo dobrze, że mamy takie informacje, one należą do kluczowych, jeśli chodzi o realizację strategii szczepień. Producent jest zobowiązany do informowania, kto nie powinien być szczepiony i dlaczego. Przeciwwskazania do podawania szczepionki przeciw COVID-19 kobietom ciężarnym i karmiącym piersią wynikają z tego, że nie były prowadzone w tej grupie osób badania. Zresztą trudno sobie wyobrazić testowanie nowego zupełnie preparatu wśród ciężarnych czy karmiących kobiet, trzeba patrzeć na aspekt etyczny. W związku z tym, że takich badań nie przeprowadzono, nie można powiedzieć, że szczepionki są dla tej grupy bezpieczne, więc słusznie z góry są wyłączone z tego procesu. Zaleca się nawet, by kobiety w wieku rozrodczym, które zaszczepiły się przeciw COVID-19, nie planowały ciąży przez dwa miesiące po szczepieniu. Natomiast jeżeli chodzi o młodzież do 16. roku życia, to w badaniach skupiono się na dorosłych i populacji osób starszych, bo w tych grupach ryzyko zakażenia i ciężkiego przebiegu choroby oraz zgonu wzrasta z wiekiem. Wiemy natomiast, że u dzieci to zakażenie przebiega w trochę inny sposób, łagodny, dlatego skupiono się na tych najważniejszych, najistotniejszych grupach ryzyka. Warto dodać, że wśród przeciwwskazań do szczepień znajdują się: reakcja anafilaktyczna po szczepionce, ciężka reakcja alergiczna na składnik szczepionki, zaburzenia krzepliwości krwi, ostre choroby przebiegające z lub bez wysokiej gorączki. Mimo że kobiety ciężarne i karmiące oraz dzieci do 16. roku życia zostaną wyłączone ze szczepień, tym bardziej warto podjąć decyzję o zaszczepieniu się przez osoby, które są wymienione w strategii szczepień, a więc właściwie wszyscy dorośli. W pierwszej kolejności starsze i obciążone chorobami przewlekłymi, bo dzięki takiemu odpowiedzialnemu podejściu mamy szansę zbudowania odporności populacyjnej, która będzie chronić osoby, które nie mogą być zaszczepione, a więc m.in. wymienione wcześniej kobiety ciężarne.

> Przeciwwskazania do podawania szczepionki przeciw COVID-19 kobietom ciężarnym i karmiącym piersią, a także dzieciom do 16. roku życia wynikają z tego, że nie były prowadzone badania w tej grupie osób



W przypadku zakażenia koronawirusem informowano nas, że przy chorobach współistniejących jest ryzyko, iż COVID-19 będzie miał cięższy przebieg, może nawet zakończyć się śmiercią. A jak jest ze szczepionką? Czy choroby współistniejące, np. układu krążenia, nowotwory czy cukrzyca, wykluczają jej przyjęcie? Osoby z tej grupy powinny się szczepić?

Właśnie te osoby, cierpiące na choroby przewlekłe, znajdują się w grupie podwyższonego ryzyka i to one powinny się zaszczepić. Osoby z chorobami onkologicznymi również mogą poddać się szczepieniu. W tym wypadku pojawia się obawa, że szczepionka może nie wykazać całej swojej skuteczności, czyli efekt może być słabszy niż w przypadku innych chorób przewlekłych, ale to nie jest przeciwwskazanie. Choroby układu krążenia, cukrzyca, choroby metaboliczne – w tych przypadkach jest wskazane przyjęcie szczepionki. Jednak pamiętajmy, że zasadnicze znaczenie przed podjęciem decyzji o szczepieniu odgrywa kwalifikacja lekarska.

W przypadku grypy, zanim lekarz wystawi nam receptę na szczepionkę, powinniśmy być zbadani. A jak będzie w tym przypadku? Przy tej skali planowanych szczepień jest na to szansa?

W strategii szczepień jest to dokładnie opisane i nie ma żadnych wątpliwości, że szczepienia odbędą się po kwalifikacji wykonanej przez lekarza. Oczywiście nie odbywa się to w taki sposób, że chętny do szczepienia musi prowadzić jakieś dodatkowe badania, przekazać wyniki badań oceniających stan zdrowia. Lekarz stwierdza, czy pacjent w tej chwili jest zdrowy, np. czy nie ma zaostrzenia choroby głównej, czy nie ma wysokiej gorączki, czy nie ma przeciwwskazań do szczepienia, o których rozmawiałyśmy wcześniej. Jest to klasyczna kwalifikacja do szczepienia, która na co dzień odbywa się w gabinecie lekarskim, np. przy szczepieniach przeciw grypie.

Gdyby dwoma lub trzema zdaniami miała pani przekonać mnie, żebym się zaszczepiła na COVID-19, jak by one brzmiały?

Wirus wciąż znajduje się w naszym otoczeniu. Codziennie występują liczne zachorowania, jest dużo zgonów. Każdy z nas ma kogoś w rodzinie czy wśród znajomych, kto albo chorował, albo niestety odszedł od nas. Teraz mamy możliwość ochrony przed zachorowaniem i jego złymi skutkami. Zaszczepmy się w naszych rodzinach, bądźmy zdrowi, bądźmy bezpieczni. Wówczas wrócimy do w miarę normalnego życia, za którym wszyscy tęsknimy.

Reklama | 12/1220/F

eprasa.pl df468be33c



BĄDŹMY ODPOWIEDZIALNI. BĄDŹMY SOBIE DALEJ BLISCY.

W PKO Banku Polskim łączymy wygodę z odpowiedzialnością.
Dzięki naszej technologii najważniejsze sprawy załatwisz online.
U nas bezpiecznie:

- zlecisz przelewy głosowo w aplikacji IKO,
- skorzystasz z serwisu internetowego iPKO,
- porozmawiasz z doradcą przez wideo.

Jeśli jednak zdecydujesz się odwiedzić nasz oddział,
prosimy o wyrozumiałość i noszenie maseczki.

Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju;
w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

eprasa.pl df468be33c



STANISŁAW JANECKI

Opcja niemiecka

Bliskie stosunki z Niemcami oparte na równości i traktowaniu Polski nie jak kolonii, a Polaków nie jak dzikich – tak. Nowy kolonializm – nie

Jaka ma być Polska? Najkrócej: taka jak współczesne Niemcy. Musimy się oprzeć na Niemczech, bez tego jako kraj sobie bowiem nie poradzimy. Niemcy powinny być dla Polski wzorem, przewodnikiem, oparciem, gwarantem i punktem odniesienia. Wbrew historii, a nawet właśnie dlatego, że Niemcy nas tak bardzo 80 lat temu skrzywdzili. Ale zrozumieli swoje winy, Polacy zaś wciąż bezsensownie rozdrapują rany. I zagrażają naszym wzorcowym relacjom z Niemcami, domagając się np. reparacji. Przeszłość powinna zostać zamknięta. Liczy się tylko przyszłość. Wspólna: Niemiec i Polski w federalnej Europie.

Choć to wygląda jak prymitywna agitka, dobrze oddaje sposób myślenia tzw. opcji niemieckiej, przedstawianej jako opcja europejska. Nie ma w niej oczywiście miejsca na niemiecki nowy kolonializm, na hegemonię i Drang nach Osten, na nową Kulturkampf. Nie ma niemieckich interesów narodowych, choćby wybitny niemiecki historyk prof. Heinrich Winkler twierdził, że po 1990 r. realizowana jest druga wersja niemieckiego państwa narodowego (po wersji Bismarcka), które nie zrezygnowało z narodowych celów tego pierwszego. Niemcy są tylko po to, żeby zbawić Europę, a przy okazji Polskę. Niemcy są bezinteresowne i altruistyczne, a tylko poczucie winy za zbrodnie nazistów (okupujących Niemcy) przeszkadza im być wystarczająco asertywnymi, żeby przewodzić Europie i ją uratować. I żeby pomóc Polsce w dojściu do niemieckiego poziomu dobrobytu oraz osiągnięciu niemieckiej jakości demokracji. Dlatego jest wręcz patriotycznym obowiązkiem bycie w Polsce opcją niemiecką.

HOŁD BERLIŃSKI

„Jestem zupełnie otwartą opcją niemiecką" – dumnie obwieścił 9 grudnia 2020 r. na łamach „Gazety Wyborczej" prof. Maciej Janowski, dyrektor Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. I wytłumaczył, że jeśli ktoś nie jest opcją niemiecką, stawia się w kontrze do „wpływu cywilizacyjnego" Niemiec, który był „jednym z najbardziej dobroczynnych zjawisk w naszych dziejach". Dlatego „nie wolno być niewolnikiem przeszłości". Zatem „ponurym fatalistycznym absurdem" jest myślenie, że „zbrodnie sprzed 80 lat mogą dziś wpływać na nasz stosunek do współczesnych Niemców". Zapewne prof. Janowski uważa, że współcześni Niemcy na tych zbrodniach nic nie skorzystali, przede wszystkim materialnie, a głęboko się myli niemiecki historyk Götz Aly, twierdzący w „Państwie Hitlera", że praktycznie każda niemiecka rodzina do dziś korzysta na grabieży, m.in. Polski, oraz na pracy przymusowej. Ale przecież „sprawcy tych zbrodni dawno nie żyją". W efekcie „ciągłe kłucie w oczy polskimi cierpieniami wojennymi – prawdziwymi cierpieniami – jest fałszowaniem historii". W dodatku „od 2015 r. polski rząd zajmuje się wywoływaniem demonów" bazujących na tym, że „w jakiejś części społeczeństwa polskiego istnieje uprzedzenie antyniemieckie".



Ale „obowiązkiem inteligencji wobec ludu" jest „działać na rzecz redukcji tego uprzedzenia". Lekarstwem na wszystko są „jak najbliższe stosunki Polski z Niemcami", będące „obecnie i na przyszłość warunkiem pomyślnego rozwoju naszego kraju". Bliskie stosunki oparte na równości i traktowaniu Polski nie jak kolonii, a Polaków nie jak dzikich – owszem. I bez żadnej obowiązkowej amnezji historycznej.

Prof. Janowski nie jest pierwszym dumnym z bycia opcją niemiecką. Długo przed nim, 28 listopada 2011 r., dumny był ówczesny szef MSZ Radosław Sikorski. Wygłosił on wtedy w Berlinie przemówienie będące apologią opcji niemieckiej. Mówił m.in.: „Z racji rozmiarów i historii waszego kraju ponosicie specjalną odpowiedzialność, aby chronić pokój i demokrację na naszym kontynencie". I stwierdził, że „zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski" mówiącym: „mniej zaczynam się obawiać się niemieckiej potęgi

eprasa.pl df468be33c

niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa". Ówczesny szef niemieckiej dyplomacji Guido Westerwelle powiedział, że cieszy go, iż „polski minister nie obawia się mocnej roli Niemiec w Europie, lecz wręcz jej oczekuje". W Polsce Aleksander Smolar, wtedy prezes Fundacji Batorego, zauważył, iż „przemówienie Radosława Sikorskiego w Berlinie było najważniejszym polskim głosem podczas sprawowania przez nasz kraj prezydencji w UE". A ponieważ „z pewnością było konsultowane z premierem Tuskiem, a także z prezydentem Komorowskim", było głosem Polski. I ten głos „w sporze o kształt Unii" dowiódł, że „Polska jest po stronie Niemiec". Dlatego „wezwał Wielką Brytanię, by nie przeszkadzała w procesie federalizacji Europy".

HAŃBA I NADUŻYCIE

13 grudnia 2011 r. entuzjastyczne zaangażowanie elit wtedy rządzących Polską w opcję niemiecką podsumował lider PiS Jarosław Kaczyński: „Trudno sobie wyobrazić sytuację groźniejszą niż wtedy, gdy przedstawiciele władz demokratycznego państwa zaczynają składać hołdy innym państwom". Z perspektywy suwerenności „hołd berliński" to „hańba, nadużycie i złamanie konstytucji". Tym bardziej że głos Sikorskiego wsparł potem premier Donald Tusk, który „zdecydował się na to, by polską suwerenność ograniczyć". Ograniczenie dotyczyło tego, „co nasze własne i co odnosi się do interesów narodu". Dlatego „to jest godzenie w nasz status suwerennego państwa". I Jarosław Kaczyński przyrzekł, że „PiS stanie na czele walki o Polskę suwerenną, która decyduje sama". W opcji niemieckiej nie ma na to miejsca.

Ta opcja kształtowała się od początku istnienia III RP, a jej najgorliwszym reprezentantem był w polskiej polityce Kongres Liberalno-Demokratyczny. 28 kwietnia 2014 r. na antenie TVN24 Paweł Piskorski, były polityk KLD i PO, stwierdził, że Kongres Liberalno-Demokratyczny „przyjmował pomoc finansową od niemieckich chadeków". „To prawdziwa informacja" – zarzekał się Piskorski. Poprzestał na tym, że „była pomoc ze strony CDU dla KLD. Ale znacznie więcej do powiedzenia mają na ten temat [Donald] Tusk i [Jan Krzysztof] Bielecki". Pytany o niemieckie pieniądze Andrzej Olechowski, jeden z założycieli PO, stwierdził: „Pieniądze mogły być, bo wtedy pieniędzy zagranicznych było w Polsce dużo. Zachód wspierał polską demokrację". Sprawę skomentował też (dla wPolityce.pl 8 marca 2016 r.) Krzysztof Wyszkowski, na początku lat 90. należący do KLD: „Jeśli Piskorski, o którym wiadomo, że był człowiekiem ze środka Kongresu, mówi, że brali pieniądze też od CDU, to są to dowody źródłowe. W każdym sądzie oświadczenie takiego świadka, gdy nie natrafia na zaprzeczenie, tylko zostaje poparte słowami np. Andrzeja Olechowskiego, który współtworzył PO, jest poważne".

> „Jestem zupełnie otwartą opcją niemiecką" – obwieścił w ubiegłym tygodniu prof. Janowski, dyrektor Instytutu Historii PAN. I mówił, że „wpływ cywilizacyjny" Niemiec był „jednym z najbardziej dobroczynnych zjawisk w naszych dziejach"

Opcja niemiecka była ważnym elementem polityki Unii Wolności, a ponownie odżyła w czasach rządów PO i przywództwa Tuska. Z mniejszym zaangażowaniem, ale jednak kontynuowała ją Grzegorz Schetyna. Bardzo znaczące było pod tym względem spotkanie 6 lutego 2017 r. Schetyny i szefa koalicyjnego PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza w niemieckiej ambasadzie w Warszawie z przebywającą w Polsce kanclerz Niemiec Angelą Merkel. Proponowano inne miejsca spotkania, żeby uniknąć zarzutów wasalnej zależności, ale zostały odrzucone.

Opcja niemiecka odżyła w związku z atakami na Polskę poprzez instytucje unijne. Opozycja wyraźnie chce, by Niemcy byli gwarancją tego, że Polska będzie dobrze postrzegana w UE. Pod warunkiem że będzie z Niemcami wszystko uzgadniać i uznawać niemiecki prymat. Opcja niemiecka ma wielkie wsparcie w postaci obecnych w Polsce niemieckich fundacji: Konrada Adenauera, im. Friedricha Eberta, im. Friedricha Naumanna – Fundacja na rzecz Wolności, im. Heinricha Böllа, im. Róży Luksemburg, Alexandra von Humboldta, im. Roberta Boscha. Do tego dochodzą niemieckie instytucje naukowe w Polsce (12), przedstawicielstwa targów niemieckich (8), niemieckie instytucje wspierające relacje gospodarcze z Polską (12), niemieckie instytucje działające w dziedzinie kultury i oświaty (19). Opcja niemiecka to dziesiątki tysięcy osób, które przeszły przez niemieckie programy naukowe, kulturalne, dotyczące NGO, staże, stypendia, wykłady, wystawy etc. Istnieje też w Polsce bezpośrednia opcja niemiecka w postaci Ruchu Autonomii Śląska oraz różnych organizacji i stowarzyszeń działających na terenach przed wojną należących do Niemiec. Istnieje opcja niemiecka w postaci zwolenników kontynuowania proniemieckiej orientacji z czasów II RP, najczęściej odwołująca się do takich postaci jak Władysław Studnicki. Istnieje wreszcie bardzo silna opcja niemiecka w mediach w Polsce. Kolportowane jest naiwne i szkodliwe przekonanie, że współczesne Niemcy to państwo postnarodowe, które nie dąży do realizacji niemieckich celów narodowych. A ono dąży do nich jak najbardziej i konsekwentnie. Dlatego opcja niemiecka w Polsce pełni podobną funkcję jak w XVIII w. opcja rosyjska. Co tym trudniej zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę brzemię niemieckich zbrodni na Polakach.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl df468be3



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl/...468be33c

Prawda ekranu Szymona

Teoretycznie powinni się go obawiać wszyscy, bo według badań zabiera elektorat każdej ze „starych" partii. Praktycznie nie ma żadnego wpływu na polską rzeczywistość, a walczy o tlen – czyli rozgłos i pieniądze. Bo nie wiadomo, co zostanie z jego planów, gdy o wyborach zaczniemy mówić na poważnie



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Ani się obejrzeliśmy, a minął rok od przebranżowienia się celebryty TVN w polityka. 8 grudnia Szymon Hołownia napisał na Twitterze: „Rok temu, ogłaszając w Gdańsku decyzję o starcie w wyborach prezydenckich, stałem sam. Miałem tylko plan i nadzieję. Dziś są nas tysiące i już teraz realnie zmieniamy Polskę".

Jak widać, pozostało w nim sporo z telewizyjnego czarodzieja, który święcie wierzy w „prawdę ekranu". Wszak Hołownia nie zmienia Polski, bo nie ma żadnego wpływu na rzeczywistość. Na razie pozostają mu wpisy w mediach społecznościowych. I coś, czego nigdy mu nie brakowało – mania wielkości. W polityce ta cecha bywa przydatna, ale szybko może się okazać balastem, który uniemożliwi osiąganie celów.

HERBATKA U AMBASADORA

Na razie dobry humor i przekonanie o swojej pozycji nie opuszczają byłego gospodarza talent show. „Biskupi od lat nie potrafią rozliczyć Rydzyka z niszczenia Kościoła, dlatego jako obywatel i lider ruchu politycznego zapowiadam: jeśli obywatele powierzą nam odpowiedzialność za państwo, stanowczo i konsekwentnie rozliczymy Rydzyka z niszczenia Rzeczpospolitej" – oznajmił przed tygodniem. To dosyć zabawne, bo w przewidywalnym horyzoncie czasowym Hołowni nie grozi przejęcie odpowiedzialności za państwo, ale każda okazja jest dlań dobra, by przypomnieć, że jest „liderem ruchu politycznego".

Czy ma podstawy do samodzielnego umieszczenia się w politycznej ekstraklasie? Jeśli patrzeć na sondaże (o nich za chwilę) – tak, ale na tym sukcesy się kończą. W wyborach prezydenckich Hołownia miał być czarnym koniem, a nie wszedł do drugiej tury. W Sejmie reprezentuje go jedna osoba – przejęta ze skrajnie lewicowej Wiosny posłanka Hanna Gill-Piątek. I to ona musi panu Szymonowi załatwiać przepustkę, by w ogóle mógł przekroczyć próg parlamentarnych budynków.

Tyle w realu, a jak jest w sieci, którą Hołownia bez wątpienia w sporym stopniu podbił? Tam jest jedynym mędrcem, który uzdrowi każdą dziedzinę życia w Polsce. Pozuje też na niemalże lidera całej polskiej opozycji. To wrażenie pomagają nieco zbudować kontakty jego przybocznego, Michała Koboski. Zapewne dzięki nim Hołownia mógł się spotkać z ambasadorem Niemiec. Arndt Freytag von Loringhoven nie może widocznie narzekać na nadmiar obowiązków, skoro znalazł czas na kurtuazyjną rozmowę z człowiekiem z marginesu

eprasa.pl df468be33c

polskiej polityki. A ten odwdzięczył się należycie. „Rozmawialiśmy o ewolucji polskiej sceny politycznej, kwestiach przyszłości budżetu UE oraz o wolności słowa i niezależności mediów" – zrelacjonował spotkanie Hołownia.

Przekaz idealnie łączący interesy zarówno Hołowni, jak i rządu w Berlinie. Niestety nie dowiedzieliśmy się niczego więcej o tym spotkaniu. Lider ruchu Polska 2050 ani rozmowy nie zapowiedział, ani nie skomentował w żadnym ze swoich codziennych półgodzinnych występów internetowych. Przed wizytą w niemieckiej ambasadzie mówił do swoich fanów tak: „Dziś powinniśmy mieć państwo ratownika, opiekuna i mądrego przewodnika, czułego narratora, który przeprowadza nas przez te zakręty, tak jak robi to prezydent Francji, tak jak robi to kanclerz Niemiec, tak jak robią to inni, którzy mają odpowiedzialność za swój kraj głęboko wyrytą w sercu, a nie liczą tylko: »matko, co zrobić, żeby Ziobro nas nie wykiwał, bo musimy się utrzymać przy korycie jeszcze chwilę«".

Można więc przypuszczać, że kurtuazyjnie rozpływał się nad czułością Merkel i nie szczędził krytyki Kaczyńskiemu z Morawieckim. Lecz cóż to za formuła, w której człowiek chcący odmienić polską scenę polityczną, dopiero rozpoczynający swój marsz ku władzy, o polskich sprawach rozmawia z niemieckim ambasadorem? To pytanie warte postawienia też w drugą stronę – jaki mandat do rozmów z opozycją na temat polskiej sceny politycznej ma ambasador Niemiec? Bo to, że rozmowa na takie tematy się odbyła, potwierdził sam von Loringhoven, podając dalej tweeta Hołowni. Czy ambasador też liczy na „ewolucję polskiej sceny politycznej", i to szybką?

DŁUGI MARSZ

Jeżeli komukolwiek dzisiaj w Polsce może zależeć na jak najszybszych wyborach, to niewątpliwie jest w tej grupie Szymon Hołownia. Sam często o tym mówi, używając patetycznego i jednocześnie grafomańskiego języka rodem z powieści Paula Coelha. Nie inaczej zabrzmiało rozdzierające serce i uszy wystąpienie jego sejmowej „jedynaczki" podczas debaty nad wotum nieufności wobec wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego.

„Dzisiaj w imieniu 80 proc. Polek i Polaków błagam, niech pan zejdzie ze sceny, póki może pan jeszcze zrobić to z godnością" – mówiła Hanna Gill-Piątek. „Nie ma pan prawa ciągnąć nas ze sobą do piekła. Polska nie zasługuje na los, który chce nam pan zgotować. Zasługuje na lepszy rząd i lepszy parlament. Jedyną szansą na uratowanie Polski jest teraz przyjęcie uchwały o skróceniu kadencji Sejmu i jak najszybsze rozpisanie nowych wyborów. (...) Niech pan ma tę przyzwoitość i skróci nam cierpienia".

Kaczyński dosyć szybko rozwiał te nadzieje. „Kiedy będą wybory? To wy lubicie się odwoływać do konstytucji, a o tym decyduje właśnie konstytucja. W 2023 r.".

Ta jedna wypowiedź musiała trafić Hołownię w samo serce, bo tak odległa data zmienia w zasadzie wszystko w realiach jego politycznego bytu. Co więc powinien zrobić, by jednak, jak zapowiada, zostać premierem? – Trzeba zacząć się modlić o cud – mówi nam półżartem prof. Rafał Chwedoruk. Na poważnie przypomina natomiast, że żaden z polityków, którzy błysnęli na scenie politycznej, czy to po udanych wyborach parlamentarnych, czy jako „nowa jakość", nie wytrzymał dłużej w konkurencji, która nazywa się „budowanie struktur". Ryszard Petru, Janusz Palikot, Paweł Kukiz – wszyscy byli zmuszeni wpasować się w jakiś istniejący układ.

> Jeżeli komukolwiek dzisiaj w Polsce może zależeć na jak najszybszych wyborach, to niewątpliwie jest w tej grupie Hołownia. Sam często o tym mówi, używając patetycznego i jednocześnie grafomańskiego języka rodem z powieści Paula Coelha

Nie oznacza to jednak, że projekt „Polska 2050" należy zupełnie przekreślić. Są badania, które powinny dodać mu wiatru w żagle. W sondażu Ipsos dla OKO.press czytamy, że „aż 62 proc. badanych uważa, że w razie przejęcia władzy od PiS opozycja nie jest gotowa, by dobrze rządzić". Ale mowa tutaj o partiach, które znamy z Sejmu. Z podsumowania dowiadujemy się, że wyborcy bardziej byliby skłonni poprzeć jakiś nowy ruch lub partię. Potwierdza to analiza dr. hab. Bartłomieja Biskupa z UW: – Długi czas do wyborów nie jest jego sprzymierzeńcem, bo będzie musiał ciągle czymś wzbudzać zainteresowanie. Szansą jest natomiast to, że szczególnie ostatnio zwiększyła się grupa wyborców, u których widzimy nieufność do klasy politycznej jako całości. Oni albo nie pójdą do wyborów, albo skusi ich taka partia jak Hołowni. Dopóki nie ma go w parlamencie, jest w miarę niezużyty i może mówić o „nowej jakości". Pytanie, jak świeże to warzywo będzie za trzy lata – mówi politolog.

Hołownia ma tego świadomość, konsekwentnie odnotowuje kolejne sondaże na Facebooku. Przedstawia grafiki, które mają obrazować rosnącą popularność ugrupowania. Bardzo ciekawy jest rozkład miejsc w Sejmie prognozowany na podstawie badania Kantar z początku listopada. Ale nie tylko to, że Hołownia zdobyłby 70 mandatów, lecz miejsce, w którym chciałby się widzieć na politycznej mapie. Na prawo od Koalicji Obywatelskiej, ale na lewo od PSL. To centralne położenie miałoby mu dać możliwość rozmowy ze wszystkimi, którzy chcą odsunięcia PiS od władzy. Zrozumiałe, ale dlaczego wśród tych formacji widzi Porozumienie? Na początku grudnia lider formacji Polska 2050 mówił o „otwarciu rozmów" z takimi politykami, jak Jarosław Gowin i „przeciągnięciu ich na swoją stronę". W rozmowie z TVN24 zapewniał

eprasa.pl df468be33c

wówczas, że większość sejmowa „wisi na 6–7 posłach" i on ma plan, jak ich do siebie przeciągnąć. Nie wyszło, pozostał z jedną posłanką, oświadczył więc, że „zeszło mu ciśnienie" na budowę własnego koła.

– W realiach, które mamy dzisiaj, czyli wyborów za trzy lata, nie jest to kusząca propozycja dla kogokolwiek. Gdyby wybory miały być za pół roku, to niejeden by się pewnie zastanowił i transfery byłyby prawdopodobne. Każdy by sobie policzył: no tak, mają 15 proc., jeśli dostanę jedynkę, to pewnie zdobędę mandat. Teraz to nie ma sensu – ocenia dr Biskup.

WYPŁYNĄ HAKI?

Odległa perspektywa wyborów powoduje, że dla partii o ugruntowanej przeszłości Hołownia jest zagrożeniem tylko teoretycznym. Im bliżej rozstrzygnięć, walka się zaostrzy, a może nawet, jak twierdzą nasi rozmówcy, stanie się bezwzględna i brutalna. – Na razie pozwalają mu hasać, bo nie jest realnym zagrożeniem. W wyborach parlamentarnych był jednym z faworytów, ale ostatecznie i tak traktowano go jako swój zasób, który zasili kandydata anty-PiS w drugiej turze. W wyborach parlamentarnych będzie inaczej, podliczamy głosy, dzielimy mandaty i nie ma żadnych przepływów. Może się więc okazać, że im bliżej będzie elekcji do Sejmu, tym więcej ewentualnych „trudnych spraw" z przeszłości Hołowni może wychodzić na światło dzienne. I spodziewam się, że może to być motywowane przez różne konkurujące z nim partie – analizuje jeden z polityków prawicy, z którym rozmawiamy.

Rzeczywiście, nakręcające Hołownię sondaże mogą sprawić, że Platforma Obywatelska się w końcu ocknie i będzie musiała wykonać jakiś ruch, by całkiem nie oddać pola nowej sile. Tym bardziej że Rafał Trzaskowski, traktowany jak kontynuacja PO pod innym szyldem, nie chce się wziąć do pracy, a Polska 2050 coś nieustannie robi. Z jednej strony konsekwentnie krytykuje Zjednoczoną Prawicę, ale nie wpisuje się w działania obecnej opozycji parlamentarnej. Dużo za to opowiada, a to o rozmowach z Gowinem, a to o flircie z PSL. Do ulicznej rewolty Strajku Kobiet też próbował się zbliżyć, ale zaloty odrzucono dosyć brutalnie. „Czy ktoś mógłby od nas powiedzieć panu Hołowni, żeby wypier...ał? Bo my robimy rewolucję i nie mamy czasu zajmować się każdym politycznym palantem chętnym do powiezienia się na nas" – czytamy na oficjalnym koncie Strajku Kobiet na Twitterze.

– Nie powinien iść na „hurra" do przodu i włączać się w jakieś rewolucje, tylko spokojnie budować struktury i od czasu do czasu wypowiadać się w sprawach ważnych. Wtedy powinien utrzymać dzisiejsze poparcie, bo nie zakładam, by na scenie politycznej wydarzyło się coś, co kompletnie ją przebuduje. Nie sądzę też, by liderzy partyjni nagle odzyskali masowe poparcie społeczne, myślę tutaj o całej klasie partyjnej. Miejsce więc będzie – ocenia dr Bartłomiej Biskup.

I taki taniec na linie rozciągniętej między prawicą a lewicą Szymon Hołownia stara się wykonywać. Czasem wychodzi mu to lepiej, czasem gorzej. „Opozycja powinna natychmiast przestać udawać padlinę, żeby przeżyć i czekać na to, aż się PiS wywróci o własne nogi. Powinna zorganizować się i powiedzieć jasno: przedterminowe wybory" – stwierdził lider Polski 2050 na antenie TVN24. Niby można zrozumieć, że próbuje się budować na krytyce wszystkich, ale mocne słowa w kierunku polityków, z którymi łączy go jednak wspólny wróg, świadczą chyba o braku instynktu samozachowawczego. Być może po kilku udanych sondażach poczuł się zbyt pewnie. Przez taką brawurę może stracić bezpieczną przystań w salonowych mediach. – W dobie popkultury, globalizacji itd. wszystko bardzo szybko przemija, także pamięć o politykach. Część liberalnych środowisk opiniotwórczych na razie go hołubi, pomaga w podgrzewaniu zainteresowania, ale nikt nie da mu gwarancji, że tak będzie zawsze – przestrzega prof. Chwedoruk.

> Aby stać się istotnym graczem, Hołownia musi przyciągać ważnych polityków, przejmować struktury innych partii. Ani teraźniejszość, ani przeszłość nie wskazują, by ten plan mógł się powieść

Aby stać się istotnym graczem, Hołownia musi przyciągać ważnych polityków, przejmować struktury innych partii. Ani teraźniejszość, ani przeszłość nie wskazują, by ten plan mógł się powieść. Palikot próbował kiedyś skraść kawałek SLD, zderzył się ze ścianą, Nowoczesna Ryszarda Petru nie zjadła Platformy, która najpierw pozbyła się krewkiego lidera, a potem wchłonęła resztki. Nawet osłabione PSL nie dało będącemu na fali Kukizowi zachwiać swoją pozycją i gdy miało dojść do podziału kasy z subwencji, po prostu się go pozbyło. Dlaczego Hołowni miałoby się udać? Czy ktoś da się skusić na jego niewątpliwą popularność, która wywodzi się jeszcze z udziału w programach rozrywkowych w TVN? Czy gdy Szymon Hołownia powie: ja daję twarz, wy dajcie mi struktury, powstanie coś, co wytrwa dłużej niż sejmowa czterolatka?

Na razie lider w to wierzy. I wierzą w niego jego sympatycy. Na Polskę 2050 wpłacili już ponad 2 mln zł. Ale Szymon wie, że nawet tak duża kwota nie wystarczy na długi marsz. Bo sama kampania wyborcza pochłonie co najmniej kilkanaście milionów, a wcześniej trzeba dużo zainwestować w budowanie zaplecza w całym kraju. Możni sponsorzy, którzy wspierają go po cichu, nie muszą chcieć dotować politycznego żółtodzioba latami. Dlatego Szymon przy każdej okazji błaga: „Proszę, wpłacajcie na nasz ruch. Dziesiątki, piątki, dwudziestki – nieważne, ważne, że jest wsparcie. Tak się cieszę, że jesteście z nami".

Tylko czekać, aż Hołownia poszerzy grono wielbicieli po tym, jak rozliczy się z tych „piątek i dziesiątek" przekazanych na jego polityczną karierę. Na razie, po roku, jeszcze do tego etapu nie doszedł.

eprasa.pl df468be33c

Zawołajmy ich

Z prof. Magdaleną Gawin, wiceministerem kultury i dziedzictwa narodowego, rozmawia Marcin Wikło

„Zawołani po imieniu" to nazwa programu Instytutu Pileckiego odwołująca się do wiersza Zbigniewa Herberta „Pan Cogito". Chodzi o przywołanie osób, które zginęły, ratując Żydów. Skąd wzięła się motywacja do takiego działania?

Magdalena Gawin: Ten program zrodził się z niezgody na to, co dzieje się w Polsce, czyli na dyskusję o ratowaniu Żydów bez rodzin, które straciły bliskich za pomoc. Głos potomków tych, którzy się narażali i zginęli, był pomijany. Wokół Treblinki Niemcy na ogół oszczędzali dzieci poniżej 18. roku życia, lecz przesłuchiwali i mordowali rodziców na ich oczach. My jako pierwsi oddaliśmy im głos.

Mamy oto pewien paradoks – ci, którzy angażowali się w pomoc Żydom i przeżyli, bywali upamiętniani choćby tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, a ci, którzy zginęli, znaleźli się poza marginesem zainteresowania opinii publicznej. Skąd to wykluczenie?

Śmierć nie przekreśla wysiłku, odwagi ani bohaterstwa, i to nie tylko ich, ale całych rodzin. Naszym zadaniem jest nadać temu z pozoru przegranemu działaniu sens. I jest to rzeczywiście bardzo trudne. Żadna śmierć za drugiego człowieka nie jest daremna. Takie jest nasze stanowisko, jeśli ktoś ma inne, trudno.

I kolejny paradoks – rodziny, zamiast być dumne ze swojego ojca czy brata, który zginął za pomoc Żydom, musiały często tę prawdę ukrywać.

Historie, które od usłyszeliśmy od dzieci ofiar są wstrząsające. Konsekwencje tego, że ich rodzice chcieli pomagać, ciągnęły się za nimi przez całe dekady. Niektóre rodziny pomagały również jeńcom sowieckim, których przecież nie kochano. Widok wynędzniałych, błagających o pomoc ludzi spotykał się z odzewem. Pomagali ludziom.

Z tych opowieści wypływa mocne oskarżenie totalitaryzmów, okupacji zarówno niemieckiej, jak i sowieckiej. Są jakieś wątki wspólne w tych wspomnieniach?

Każdą z tych relacji przeżywa się odrębnie. U państwa Krysiewiczów z Waniewa na Podlasiu było pięcioro dzieci. Po śmierci rodziców wszystkie zostały oddane do różnych domów dziecka i rodzin zastępczych. W latach 60. najstarsza siostra pozbierała je wszystkie, a potem opowiedziała im historię rodziców i zdradziła, za co zginęli. Narracja historyków kończyła się na chwili śmierci matki lub ojca, my pytamy się, co było dalej...

W jaki sposób Niemcy odnajdywali tych, którzy pomagali Żydom? Ile prawdy jest w tym, że to Polacy donosili na tych, którzy chcieli pomagać?

Donosy, pech i prowokacje Gestapo. Przeszliśmy przez historie komunizmu, wiemy, że totalitaryzmy karmią się donosami. Zależy nam jednak, żeby odwrócić fałszywą narrację, że za indywidualny donos odpowiedzialna była cała społeczność wsi czy miasteczka. Odpowiedzialność zbiorowa była praktyką okupacyjnej władzy niemieckiej. Tak być nie może. Nie chcą też tego rodziny ofiar. To dlatego nasze uroczystości odbywają się tam, gdzie doszło do tragedii, żeby lokalna społeczność mogła jednoznacznie opowiedzieć się po stronie ofiar. Właśnie dlatego te spotkania wcale nie są smutne. To jest rytuał przejścia – przyjęcia do wspólnoty, akceptacji, zrozumienia.

Patrząc na realia okupacji niemieckiej w Polsce, można dojść do wniosku, że naprawdę nie trzeba było wiele, by stracić życie.

Śmierć za chleb, za słomę do bunkra, za odzież. Za jakąkolwiek pomoc Żydom. Holendrzy albo Francuzi płacili karę administracyjną albo szli do więzienia... A Polaków mordowano. Z czego wynikała ta różnica? Tego pytania nigdy nie postawiliśmy dość mocno. Bo nasze życie dla Niemców było niewiele warte. Nasz status jako ludzi był dużo niższy niż Belga, Holendra czy Francuza. Polaka wolno było zabijać. Bez sądu, prokuratora.

Program „Zawołani po imieniu" ma za zadanie odwrócić pewną wieloletnią niesprawiedliwość. Czy to jest w ogóle możliwe?

Nie zmienimy biegu historii, ale mamy wpływ na przyszłość. Satysfakcja przychodzi, gdy widzimy reakcje tych rodzin podczas uroczystości. Widział pan kiedyś ludzi krztuszących się wspomnieniami? Nie potrafiących mówić? Ja tak. A dzięki naszej pracy uczą się o tym mówić. Córka państwa Skłodowskich udzielała wywiadów podczas otwarcia wystawy „Zawołani po imieniu", wcześniej nie było to możliwe. Praca nad drugim i trzecim pokoleniem jest wyzwaniem, ale ma ogromną wartość. Oni powinni mówić o swoich przodkach głośno, bez wstydu, bo tak mówi się o bohaterach.



Minister Magdalena Gawin z przedstawicielami rodziny „Zawołanych po imieniu"

Fot. Instytut Pileckiego

f468be33c

Wyrwani z niepamięci

Projekt Instytutu Pileckiego „Zawołani po imieniu”



GRZEGORZ GÓRNY

Zostali skazani dwa razy. Pierwszy raz w czasie wojny: na śmierć. Drugi raz po wojnie: na zapomnienie. Dwa razy z tego samego powodu: za pomoc Żydom. Niemcy uważali to za zbrodnię zasługującą na najwyższy wymiar kary, władze komunistyczne – za coś nieistotnego, co nie wymaga upamiętnienia. Zginąć z bronią w ręku oznaczało bohaterstwo, zginąć za ratowanie Żydów uważano za przypadkową śmierć.

Nawet Państwo Izrael w pierwszych latach swego istnienia nie traktowało pamięci o Holokauście jako czegoś istotnego. Zmieniło się to dopiero po procesie Eichmanna, gdy w 1963 r. zaczęto przyznawać medale Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Do dziś wyróżnionych tym odznaczeniem zostało ok. 7 tys. Polaków. Ratujących było jednak znacznie więcej. Duża część z nich nigdy nie zostanie uhonorowana. Wielu świadków tamtych wydarzeń zmarło bowiem po wojnie. Wielu relacji nigdy nie spisano. Wielu wolało się nie ujawniać. Mówili, że nie ratowali dla nagrody, lecz dlatego, że uważali to za swój zwykły ludzki obowiązek. Jeszcze inni nie chcieli ściągać na siebie kłopotów, ponieważ pomoc Żydom często była związana z udziałem w akowskiej konspiracji. Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej po 1967 r., gdy władze PRL zerwały stosunki dyplomatyczne z Izraelem.

Wielu Polaków zabitych za pomaganie Żydom nie doczeka się statusu Sprawiedliwych, ponieważ Izrael nie uznaje dokumentacji wytworzonej przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich. Wymagane jest zeznanie naocznego świadka żydowskiego, a w wielu przypadkach, gdy Niemcy mordowali zarówno ukrywających się, jak i ukrywanych, jest to po prostu niemożliwe. Miał więc rację Norman Davies, gdy pisał, że istnieją dwie grupy Sprawiedliwych: nieliczna, znana Instytutowi Yad Vashem, i znacznie liczniejsza, znana tylko Bogu.

Część z nich wpadła w czarną dziurę niepamięci. Nie są dziś zaliczani ani do Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, ani do Ofiar Holokaustu. Nie mają nawet własnej nazwy, pod którą mogliby zostać upamiętnieni. A przecież w Polsce żyją tysiące członków ich rodzin, którzy czekają na oddanie sprawiedliwości swym przodkom. To właśnie z myślą o nich Instytut Pileckiego zainicjował projekt „Zawołani po imieniu”.

Zaniedbania pod tym względem były ogromne. Dość powiedzieć, że dopiero Lech Kaczyński jako prezydent RP zapoczątkował honorowanie Polaków ratujących Żydów wysokimi odznaczeniami państwowymi. Instytut Pileckiego kontynuuje i rozwija tę misję. Akcja „Zawołani po imieniu” ma przywrócić lokalnym społecznościom, a także całemu krajowi pamięć o osobach, które oddały życie, próbując ratować od zagłady bliźnich.

Inicjatywa trwa już drugi rok i rozwija się, mimo utrudnień związanych z pandemią. W tym roku udało się zorganizować sześć kolejnych upamiętnień, podczas których uhonorowano 25 osób. W warszawskim domu Bez Kantów otwarto też specjalną wystawę poświęconą „Zawołanym po imieniu”. W jej otwarciu uczestniczył m.in. ambasador Niemiec Arndt Freytag von Loringhoven, który powiedział: „Niemiecka odpowiedzialność za barbarzyństwo narodowego socjalizmu nigdy nie przeminie. Niemcy przyznają się do swojej odpowiedzialności i nazywamy sprawców po imieniu”. Dodał, że powinna trwać pamięć zarówno o ofiarach, jak i „pamięć o odważnych, którzy przeciwstawili się nieludzkiemu barbarzyństwu”.

Dziś skazani na zapomnienie bohaterowie upamiętniani są przez Instytut Pileckiego kamiennymi obeliskami z tablicami informującymi o ich czynach. Odsłonięciu pomników towarzyszą uroczystości gromadzące miejscową społeczność. To wielkie przeżycie zwłaszcza dla osieroconych rodzin, które przez dziesięciolecia jako jedyne – w samotności, cierpieniu i niezrozumieniu – przechowywały pamięć o heroizmie swych matek, ojców, braci, sióstr czy dziadków. To zarazem punkt odniesienia i drogowskaz moralny dla lokalnych wspólnot, które w ten sposób zyskują szansę na zintegrowanie się wokół postaci odkrytych na nowo bohaterów oraz ich wartości. Jak mówi wiceminister kultury Magdalena Gawin, nie możemy dopuścić, by stali się popiołem historii.

Tekst powstał we współpracy z Instytutem Pileckiego | 43/1120/F

eprasa.pl df468be33c



Fidesz pod presją skandalu obyczajowego

Autopromocja

Grudzień pełen atrakcji
z tygodnikiem SIECI

15.12 WTOREK	16.12 ŚRODA	17.12 CZWARTEK
Kupić prezenty	1 tydzień do świąt!	Kupić w SIECI HISTORII w kiosku





eprasa.pl df468be33c

To był prezent dla politycznych przeciwników Viktora Orbána, o którym mogli tylko marzyć. Jeden z najbliższych współpracowników Orbána, człowiek, z którym założył partię Fidesz, ten sam, który pomógł mu w opracowaniu poprawek do konstytucji z 2011 r., dzięki którym Węgry ochroniły tradycyjną rodzinę, został złapany na gejowskiej orgii w Brukseli



Fot. Alexandros Michailidis / Shutterstock



GORAN ANDRIJANIĆ

Poseł József Szájer próbował uciec przez okno, a następnie zejść po rynnie, ale policja zdołała go zatrzymać, a do tego znalazła w jego plecaku narkotyki. Węgier twierdził później, że zostały mu podrzucone.

Policja przybyła do mieszkania po tym, jak sąsiad skarżył się, że dochodzą z niego dziwne dźwięki. Większość złapanych na orgii została ukarana za zgromadzenie zabronione z powodu pandemii. Część z nich uniknęła aresztu ze względu na immunitet dyplomatyczny. Jedynym z wymienionym w mediach był Szájer.

Nalot policji na mieszkanie, w którym odbywała się orgia, zdarzył się w piątek 27 listopada. Belgijskie media podały wiadomość o homoseksualnej orgii kilka dni później, dopiero we wtorek, informując, że wśród obecnych na niej było również kilku posłów do Parlamentu Europejskiego. Jedynym do tej pory, którego nazwisko zostało ujawnione, jest polityk Fideszu. Tego samego dnia ogłoszono, że Szájer zrezygnował już ze stanowiska posła, ale także z członkostwa w Fideszu. Pojawiło się również jego oświadczenie, w którym przeprosił swoją rodzinę i wyborców oraz poprosił ich, aby nie osądzali go za błąd, który popełnił, ale za 30 lat jego pracy na rzecz Węgier.

Viktor Orbán również szybko zareagował. Już następnego dnia złożył oświadczenie, w którym wyraźnie zdystansował się od swojego współpracownika.

„To, co zrobił nasz przedstawiciel József Szájer, nie mieści się w systemie wartości naszej wspólnoty partyjnej. Nie zapomnimy o 30 latach jego pracy i nie wyprzemy się jej, ale jego czyn jest nie do przyjęcia i nie do obrony" – powiedział, dodając, że Szájer podjął słuszną decyzję o rezygnacji z członkostwa w Fideszu.

NATARCIE LEWICOWYCH MEDIÓW

A potem nastąpił atak ze strony wszystkich możliwych lewicowo-liberalnych mediów w Europie, które po prostu skorzystały z nadarzającej się okazji. Skandal obyczajowy jednego węgierskiego europosła przedstawiano jako „ostateczny koniec Fideszu" albo jako przykład „dezintegracji moralnej" i utraty jakiejkolwiek wiarygodności tego ugrupowania. Podkreślano, że partia, która od dawna mówi o wadze wartości chrześcijańskich, która broni tradycyjnej rodziny i walczy z ideologią LGBT, ma w swoich szeregach, nawet w swoim przywództwie, homoseksualistę uczestniczącego w orgiach. To najwyższa polityczna hipokryzja – pisali lewicowi komentatorzy, którzy bardzo szybko przeszli ze swoich skrajnie liberalnych stanowisk do moralizowania. Takie komentarze można było przeczytać także w Polsce.

Ich polityczny cel był jasny. Wykorzystać moralny problem jednostki, aby skompromitować całą jego partię, a także idee, które ona reprezentuje. Cała sytuacja przypomniała trochę

18.12 PIĄTEK	19.12 SOBOTA	20.12 NIEDZIELA	21.12 PONIEDZIAŁEK	22.12 WTOREK	23.12 ŚRODA	24.12 CZWARTEK	25.12 PIĄTEK	26.12 SOBOTA	27.12 NIEDZIELA	28.12 PONIEDZIAŁEK
SIECI + HISTORII + wPolityce.pl Zamówić e-prenumeratę – tylko 89,99 zł za rok! www.SiecPrzyjaciol.pl	Ubrać choinkę	Założyć konto na wPolityce.pl W poniedziałek do pobrania bezpłatne świąteczne e-wydanie EXTRA SIECI	Wejść na wPolityce.pl i pobrać bezpłatne świąteczne e-wydanie EXTRA SIECI	Ostatnie świąteczne zakupy	Przygotowania do wigilii	Wigilia Bożego Narodzenia	Boże Narodzenie	Boże Narodzenie	Poczytać w spokoju świąteczne SIECI i e-wydanie EXTRA SIECI	Kupić noworoczne wydanie SIECI w kiosku

Wydanie świąteczne SIECI w kioskach od 14 do 27 grudnia

eprasa.pl df468be33c

zapomniany polityczny mit o „obłudnych" konserwatystach, którzy co innego głoszą, a co innego robią.

KARIERA U BOKU ORBÁNA

Oczywiście nie ma wątpliwości, że Fidesz mocno odczuje na własnej skórze ten epizod. József Szájer nie jest jakimś drobnym partyjnym urzędnikiem, ale osobą, która jest związana z Orbánem od początku jego kariery i towarzyszyła mu przez lata w jego politycznej podróży. Co więcej, łączy ich przyjaźń.

Po ukończeniu studiów prawniczych w Budapeszcie Szájer miał przed sobą wielką karierę. Był stypendystą Oxfordu, z dobrą znajomością języków obcych i zainteresowaniem teorią prawa. Jednak porzucił bezpieczną karierę naukową dla polityki. W Fideszu był od początku partii, czyli od 1988 r. Aktywnie uczestniczył w politycznych procesach transformacji węgierskiego komunizmu w demokrację. Był też z Orbánem, kiedy Fidesz z początkowej orientacji liberalnej zaczął się stawać partią konserwatywną z ideami chadeckimi.

Jak wyjaśnił niegdyś Grzegorz Górny, u podstaw tego przełomu leżał konflikt Orbána i jego środowiska z innymi partyjnymi liberałami, którzy chcieli postępowej zmiany w węgierskim społeczeństwie, wykorzenienia tradycyjnych wartości i w takim celu współpracowali z postkomunistami. W 1993 r. Szájer poszedł za Orbánem, czego jego „liberalni" przyjaciele, którzy opuścili Fidesz, mu nie wybaczyli. Dlatego jego upadek w Brukseli przyjęli ze złośliwą radością, o czym świadczyły ich komentarze w zachodnich mediach.

Szájer był posłem do węgierskiego parlamentu przez prawie 15 lat, po czym trafił do Parlamentu Europejskiego, gdzie jego kariera polityczna nabrała nowego rozmachu. Wielokrotnie zajmował wysokie stanowiska w Europejskiej Partii Ludowej i stał się aktywnym graczem w polityce europejskiej. Był najważniejszym człowiekiem Orbána w relacjach Budapesztu z EPL. Stosunki te są już od dawna bardzo napięte, niektórzy politycy grożą nawet wyrzuceniem Fideszu z EPL. Tak więc węgierskiemu premierowi będzie zapewne bardzo brakowało Szájera w łagodzeniu tych konfliktów. Elokwentny i kompetentny, zawsze bronił stanowiska Budapesztu przed kolegami z EPL i ostrzegał przed podwójnymi standardami w stosunku do państw członkowskich. I tak zyskał wielu wrogów także w Brukseli.

„Powszechnie wiadomo, że stosowanie podwójnych standardów jest największym wrogiem praworządności, współpracy i równości. To jest toksyczne. Podważa zaufanie państw członkowskich i obywateli do Unii Europejskiej" – pisał w jednej ze swoich ostatnich analiz prawnych funkcjonowania Unii.

Jako znakomity ekspert prawny był głównym kreatorem projektu nowej konstytucji Węgier, przyjętej w 2011 r.

Teraz, z powodu brukselskiego skandalu obyczajowego, został wyrzucony z polityki na długi czas, prawdopodobnie na zawsze.

KILKA PYTAŃ

Zoltán Kottász, publicysta dziennika „Magyar Nemzet", ocenia, że cała ta afera obecnie Fideszowi na pewno zaszkodzi, ale w dłuższej perspektywie nie będzie miała większego znaczenia.

„W ciągu tych kilku dni na Węgrzech dużo się o tym pisze, a lewicowe media wykorzystują wszystko, by kontynuować opowieść o utracie wiarygodności Fideszu. Ale partia bardzo szybko zareagowała na skandal, Szájer także szybko zrezygnował ze wszystkich funkcji, co jest bardzo ważne. Fidesz wyraźnie się od tego zdystansował. Następne wybory mają się odbyć na wiosnę 2022 r. i nie sądzę, aby przyniosły zbyt duże szkody. Chodzi o jednego człowieka. Nie sądzę, aby wyborcy Fideszu poświęcili temu zbyt wiele uwagi. Partia prawdopodobnie przez jakiś czas będzie unikała kwestii światopoglądowych, ale na pewno nie na długo" – mówi Kottász.

Chociaż zachodnia prasa pisze, że na Węgrzech nie można usłyszeć, co faktycznie się stało w Brukseli, Kottász twierdzi, że jest zupełnie odwrotnie. Media lewicowo-liberalne codziennie poruszają ten temat.

Natomiast media bliskie Orbánowi zadają pytania o podejrzany kontekst całego wydarzenia i widzą w nich prowokację wymierzoną przeciwko Węgrom. „Na razie nie ma na to dowodów, ale warto też zadać kilka pytań" – dodaje Kottász.

Pierwsze pytanie dotyczy „organizatora" orgii, niejakiego Davida Manzheleya z Polski, poszukiwanego przez polską policję za oszustwo. Media w Polsce przytaczały jego wypowiedzi na temat pojawiania się na organizowanych przez niego orgiach europosłów z Polski i Węgier. Oczywiście Manzheley nie przedstawił żadnych dowodów na poparcie swoich twierdzeń, ale jego wypowiedzi już wyrządziły szkody i wywołały presję na konserwatywnych posłów z Polski i Węgier.

Kolejne ważne pytanie brzmi: dlaczego tylko nazwisko Szájera wyciekło do opinii publicznej, mimo że media początkowo pisały, że na orgii byli także inni politycy i dyplomaci? Żadne inne nazwiska nie padły, więc tylko on ponosi polityczne konsekwencje swojego błędu. Czy został wystawiony? Z pewnością należy pamiętać, że Szájer jest bliskim współpracownikiem Orbána, a uderzenie w niego jest pośrednio atakiem na premiera Węgier.

I oczywiście cała ta historia dzieje się dokładnie w czasie, gdy Polska i Węgry walczą przeciw mechanizmowi praworządności i powiązania go z wykorzystaniem unijnych funduszy.

„Te wszystkie pytania zadają konserwatywne media. Podkreślają, że zachowanie Szájera jest całkowicie niedopuszczalne, ale potem stawiają te, moim zdaniem, całkowicie uzasadnione pytania" – mówi węgierski dziennikarz.

Wiarygodność Fideszu w związku z tym skandalem mogła zostać nieco nadszarpnięta, ale partia ten kryzys na pewno przezwycięży. Nasi rozmówcy, dobrze zaznajomieni z węgierską sceną polityczną, mówią, że większość członków Fideszu rozumie wartości chrześcijańskie jako kulturowo-polityczny paradygmat, który dobrze służy wspólnocie, choć nie zawsze jako przewodnik po życiu osobistym. I to jest od dawna znane. Jednak rdzeń tej partii, w tym Orbán i jego środowisko, jak twierdzą nasi rozmówcy, nie tylko wierzy w te wartości, lecz także nimi żyje.

Innymi słowy, Szájer skompromitował tylko siebie, a nie wartości, których bronił.

eprasa.pl df468be33c

SIECI

Pod choinkę

Jak Dyzma pokonał system s. 80

Życzenia od wroga na Boże Narodzenie s. 76

Pora na serial z Osiecką s. 91

Przepisy na pyszną Wigilię s. 95

Mamy cztery zadania dla Bonda s. 56



Fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33e

Nie czas na Bonda... w kinach

To zabrzmiało jak chichot filmowej historii. Niepokonany, zawsze pewny siebie, twardy choć uroczy, wsparty niewyczerpaną liczbą gadżetów Bond, James Bond... Ucieleśnienie męskich marzeń i obiekt damskich westchnień... Superagent Jej Królewskiej Mości z licencją na zabijanie i potwierdzoną w 24 kinowych produkcjach skutecznością, został uziemiony. Zatrzymany w biegu do kolejnego spektakularnego sukcesu. W następnej widowiskowej akcji ratowania świata przed zakusami piekielnie zwichrowanych, w swoim pragnieniu władzy, czarnych charakterów. Uległ. I to niewidocznemu przeciwnikowi. Z miesiąca na miesiąc, wraz z powtarzającymi się decyzjami o przesunięciu najnowszej premiery jego przygód, oddawał mu pole.

Jubileuszowy „Nie czas umierać" miał być – liczonym w tłumach pędzących na pokazy – potwierdzeniem superpozycji, jaką 007 od lat zajmuje w popkulturze i filmowym megabiznesie. W 25. filmie o przygodach agenta JKM szykowano fanom spektakularne pożegnanie z Danielem Craigiem, który w Bonda wcielił się już piąty raz. I choć trwają spory, czy udało mu się przebić pierwszego filmowego agenta, pożegnanego niedawno sir Seana Connery'ego, to z pewnością filmy z jego udziałem, w porównaniu z tymi kręconymi w latach 60. i 70 ubiegłego wieku, to już maksymalnie podniesiony kinowy level. Zupełnie odrębna stawka wykładana na stół przez producentów, realizatorów, speców od efektów specjalnych... całej machiny zaangażowanej w podtrzymywanie pozycji ekranowego Bonda. Dziś ten bondowskofilmowy przemysł pikuje, notując gigantyczne straty z tytułu opóźnienia premiery.

Znamienne, że w roku, w którym świat został zmuszony do zmiany życiowej optyki, spotkali się w medialnej przestrzeni dwaj najgłośniejsi odtwórcy roli Bonda. Żegnając Seana Connery'ego, przypomniano początki ekranowego 007. I nawet jeśli – patrząc z perspektywy współczesnego widza, są one mocno siermiężne – to jednak były milowe dla budowania pozycji filmowego agenta JKM.

Trudno wyobrazić sobie Bonda bez Connery'ego i Craiga, ale też Rogera Moore'a i Pierce'a Brosnana. Najmniej seria straciłaby chyba bez udziału George'a Lazenby'ego (drugi w kolejności odtwórca Bonda) i Timothy'ego Daltona (czwarty).

Od 1962 r., gdy zaczął rozdawać na ekranie karty (w „Doktorze No"), 007 ucieleśniał męskie marzenia o sprawności, skuteczności, adrenalinie, przerysowanej komiksowo przygodzie i gadżetach, po które chętnie sięgnąłby niejeden wyrośnięty chłopiec. To, że sytuacje i działania 007 nijak się miały do realnego życia, było – i nadal jest – bez znaczenia. Nawet w czasie, który tak zweryfikował sytuację ekranowego Bonda.

Zadziwiające, że nie stłamsił go Blofeld – geniusz zła, który pojawił się w sumie w sześciu filmach o 007 (długo jego „wizytówką" były dłonie głaszczące białego kota; twarz pokazał dopiero w części, z której pochodzi zdanie: „Panie Bond, żyje się tylko dwa razy"). Nieskuteczny okazał się ekscentryczny miliarder Auric Goldfinger – planujący okradzenie Fort Knox; Kananga – właściciel wyspy Voo-Doo („Żyj i pozwól umrzeć"); Scaramanga z pistoletem ze złota; Carl Stromberg ze „Szpiega, który mnie kochał" czy Hugo Drax, właściciel zakładu produkującego wahadłowce „Moonraker".

Nie miał z Bondem szans Kamal Kahn – milioner i pomocnik „Ośmiorniczki", podobnie jak pragnący zniszczyć Dolinę Krzemową Max Zorin czy bezwzględny handlarz narkotyków Franz Sanchez („Licencja na zabijanie"). Przegrali z 007 metaloręki Doktor No i uśmiechający się pancerną szczęką „Buźka" („Szpieg, który mnie kochał" i „Moonraker").

W „Casino Royale" nie zniszczył Bonda Le Chiffre, w „Skyfall" na nic się zdały działania blondwłosego czarnego charakteru Silvy, a w „Spectre" wspomnianego wcześniej Blofelda. Wygląda jednak na to, że od wszystkich tych, nawet wziętych razem, złoczyńców silniejszy okazał się wirus. Fanom 007 pozostaje ufać, że w kwietniu 2021 r., dokładnie rok po planowanej premierze, zakrzykną radośnie w kinach: „Nie czas umierać"! Oczekiwanie na ten moment pomoże im złagodzić dostęp do wcześniejszych filmów z Bondem na platformie HBO GO.

A skoro nie będzie grudniowej premiery Bonda w kinach, zapraszamy do przygody z agentem 007 na naszych łamach.

(JGZ)



Fot. Courtesy Everett Collection, materiały prasowe

Reklama | 17.1220/F



Zdrowych i spokojnych Świąt Bożego Narodzenia,
pachnących choinką, przy dźwiękach ulubionych kolęd
oraz wszelkiej pomyślności w Nowym Roku

życzy

Energa

GRUPA ORLEN

eprasa.pl df468be33c



Kryptonim Budapeszt–Warszawa

Choć wciąż odkładana jest (z powodu pandemii) premiera 25. części perypetii agenta Jamesa Bonda „Nie czas umierać", istnieje już pierwsza wersja scenariusza następnej. Ma ona wyjątkowo intrygujący, zwłaszcza dla odbiorców polskiego i węgierskiego, tytuł: „Kryptonim Budapeszt–Warszawa". Udało mi się dotrzeć do tego materiału



STANISŁAW JANECKI

Gdy już myśleliśmy, że po odkryciu, iż organizacja Quantum jest tylko częścią wielkiej, globalnej przestępczej sieci SPECTRE (Special Executive for Counter-Intelligence, Terrorism, Revenge and Extortion), okazuje się, że to nie najwyższe piętra tej struktury. A ci, którzy wydawali się najważniejsi w hierarchii, wcale nimi nie są.

TAJEMNICA VESPER LYND

„Kryptonim Budapeszt–Warszawa" rozpoczyna się od tego, że James Bond, mimo upływu lat, nie zapomniał o swojej wielkiej miłości Vesper Lynd. Vesper, urodzona 9 marca 1981 r., była agentką Specjalnej Grupy ds. Przeciwdziałania Praniu Pieniędzy brytyjskiego ministerstwa skarbu. Poznała Bonda w pociągu jadącym do Czarnogóry. Bond konfrontował się tam z gangsterem i bankierem w jednej osobie – Le Chiffre'em, m.in. grając z nim w pokera. Vesper uratowała Jamesowi życie, gdy ten został otruty. Gdy James wygrał z Le Chiffre'em duże pieniądze w pokera, ten porwał Vesper. Jamesa i Vesper uratował pan White, który zastrzelił Le Chiffre'a.

Dochodząc do siebie, Vesper i James odkrywają, że łączy ich namiętne uczucie. Do tego stopnia, że Bond chciał się ożenić i porzucić służbę. Para spędza romantyczne chwile w Wenecji, jednak za Vesper podążają szantażyści z organizacji

eprasa.pl df468be33c



Quantum, którzy zmusili ją do współpracy, porywając jej narzeczonego Yusefa Kabirę. James dowiaduje się o zdradzie Vesper, jednak uczucie jest silniejsze i za wszelką cenę chce ją ratować, gdy ta topi się w zalewanej wodą windzie. Vesper nie udało się ocalić, ale to dzięki jej umowie z przestępcami James zachował życie.

Przy okazji wyszło na jaw, że Quantum to globalna mafia, która ma wtyczki w świecie polityki i biznesu, także w brytyjskim rządzie. A porwanie Jusefa to fikcja. Był on człowiekiem Quantum, który zbliżał się do kobiet pracujących dla różnych rządów, żeby po rzekomym jego porwaniu ujawniały one tajemnice i współpracowały z przestępcami. Mimo różnych deklaracji James Bond nie porzucił myśli o zemście za śmierć Vesper.

Po latach Bondowi udaje się dowiedzieć, kim naprawdę była Vesper Lynd. A była ona córką Polki, Krystyny Szembek. W czasie stanu wojennego Krystyna wyjechała z trzyletnim dzieckiem (wtedy Weroniką) do Wielkiej Brytanii. Po latach i odpowiednim szkoleniu Krystyna, już jako Christine Lanville, została oficerem Secret Intelligence Service (brytyjskiego wywiadu, znanego także jako MI6) i potem, już po tzw. transformacji, działała m.in. na Węgrzech oraz w Austrii. Okazało się, że przełożeni Jamesa od początku o tym wiedzieli, lecz nie chcieli przekazać mu tych informacji. Dlaczego? Bo wtedy dowiedziałby się, że Krystyna Szembek została zamordowana w niewyjaśnionych okolicznościach właśnie podczas służby w Budapeszcie. Vesper (Weronika) miała wtedy 16 lat.

W aktach Christine znalazł sugestie, że jej morderca mógł należeć do organizacji SPECTRE, której Quantum była tylko częścią. A SPECTRE chciała ustanowić nowy porządek na świecie. Było to możliwe, bo jej

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33c

ludzie rekrutowali się z najbogatszych na świecie szefów globalnych firm technologicznych, polityków, ludzi mediów, a także bardzo wysokich rangą funkcjonariuszy agencji wywiadowczych i innych tajnych służb. SPECTRE mogło wywoływać przewroty w państwach, ustawiać wybory, kreować nowych przywódców, stwarzać albo rozwiązywać kryzysy walutowe o dowolnej skali, regulować podaż i popyt surowców strategicznych. Mogło prawie wszystko.

Do pełnej władzy organizacja potrzebowała takiego narzędzia, jak była Komisja Dziewięciorga Oczu, czyli połączenie sił wszelkich tajnych służb z dziewięciu najważniejszych strategicznie mocarstw. Wtedy tylko pozornie dane trafiałyby do służb i przywódców państw. Faktycznie przejmowałoby je SPECTRE, co umożliwiłoby organizacji już bez ograniczeń rządzenie światem.

James Bond przypuszczał, że podczas służby w Budapeszcie Krystyna Szembek dowiedziała się takich rzeczy o SPECTRE, że musiała zginąć. A śmierć jej córki Vesper mogła być konsekwencją tamtego morderstwa. Tym bardziej że rzekomy morderca Krystyny został błyskawicznie osądzony, po czym powiesił się w celi monitorowanej 24 godziny na dobę.

NUMER ZERO

Wszystko wskazywało na to, że szefem organizacji SPECTRE jest Ernst Stavro Blofeld, urodzony w Austrii jako Franz Oberhauser. To Blofeld stał za śmiercią osób bliskich Bondowi, a przede wszystkim Vesper Lynd. To on chciał zniszczyć związek Jamesa z Madeleine Swann, córką pana White'a. I okazało się, że Blofeld nie jest wcale Bondowi obcy. Franz Oberhauser był synem austriackiego instruktora wspinaczki i narciarstwa Hannesa Oberhausera. W 1983 r. Hannes został tymczasowym opiekunem 12-letniego brytyjskiego sieroty – Jamesa Bonda. Rodzice Jamesa zginęli podczas wspinaczki. Hannes uczył Jamesa jazdy na nartach, wspinaczki i polowania. Franz obserwował, jak bardzo przybrany syn James stał się ojcu bliski, co wzbudzało w nim zazdrość, a potem chęć zemsty. I w końcu Franz zamordował ojca – podczas zejścia lawiny w Kitzbühel.

Potem Franz wyjechał i od tamtej pory występował pod panieńskim nazwiskiem matki – Blofeld. Okazało się, że Blofeld miał wpływ na wiele wydarzeń w życiu Bonda, obserwował go, a także usuwał z tego świata osoby bliskie Jamesowi. To Blofeld miał stać za serią zamachów terrorystycznych organizowanych po to, by wymusić zgodę na powstanie Komisji Dziewięciorga Oczu. Bond dowiedział się, kto jest numerem jeden SPECTRE, gdy udało mu się dostać na spotkanie organizacji w Palazzo Cardenza. W swojej bazie na pustyni Blofeld pokazał Bondowi, jak wiele wie o jego życiu i jak wielki miał na nie wpływ. W końcu próbował Bonda torturować, wwiercając się w jego czaszkę. Mimo że baza wyleciała w końcu w powietrze, Blofeld przeżył. A potem jeszcze w Londynie próbował zabić Madeleine.

Blofeld wydawał się numerem jeden SPECTRE, gdyż był okrutny, bezwzględny, nieprzewidywalny, niebezpieczny i inteligentny. Miał nieograniczony wręcz dostęp do najnowszych broni i technologii. Kiedy trzeba, był psychopatą albo socjopatą, by zaraz płynnie grać stoika. Prowadził wyrafinowane gry psychologiczne ze swoimi ofiarami, a kiedy to nie dawało rezultatu, zamieniał się w zwykłego sadystę. Na przykład wtedy, gdy dręczył Bonda informacjami o jego rodzicach i o Vesper.

W „Kryptonimie Budapeszt–Warszawa" James Bond odkrywa, że szefem SPECTRE wcale nie był Franz Oberhauser (później Ernst Stavro Blofeld). W organizacji istniał bowiem jeszcze numer zero. Zakonspirowany i legendowany tak, że nawet najbliżsi nie mieli pojęcia, jaką faktycznie odgrywa rolę. Tym człowiekiem był George Salas. To miliarder, który zaczynał od kupowania tzw. akcji śmieciowych, a potem skoncentrował się na operacjach walutowych na wielką skalę. Rzucając na rynek miliardy, potrafił wpływać nawet na kursy światowych walut, zarabiając na tym kolejne miliardy. I powodując ruinę wielu firm, gospodarstw domowych, a nawet całych państw. Tym się jednak nie przejmował, gdyż znalazł sposób na przekupywanie mediów i opinii publicznej.

W czasie gdy był najbardziej krwiożerczym z finansowych rekinów, zaczął zakrojoną na wielką skalę działalność charytatywną. Nagle stał się sponsorem licznych uczelni, stowarzyszeń, fundacji, organizacji pozarządowych. Sponsorował plany przebudowy całych gospodarek, wysyłał ekspertów, finansował szkolenia. Tysiące ludzi z jego stajni w różnych częściach świata stawało się ministrami, prezesami, dyrektorami, awansowało na uczelniach, by potem nimi kierować. Jego ludzie opanowywali instytucje kultury i media. Wszystko to dla ostatecznego zwycięstwa w świecie liberalnej demokracji. Tak liberalnej, że po liberalizmie spod znaku Hobbesa, Locke'a, Monteskiusza, Madisona, Smitha czy Milla nie został kamień na kamieniu.

George Salas właściwie wychował Franza Oberhausera, a miał na niego wpływ, znał bowiem większość jego tajemnic. A to dlatego, że znał Hannesa Oberhausera i będąc w Austrii na nartach, obserwował zarówno jego syna, jak i Jamesa Bonda. Salas odszukał Franza (Ernsta), gdy ten wyjechał z Austrii po zabójstwie ojca. I zapewnił mu dobre wykształcenie w USA oraz Wielkiej Brytanii.

DALEJ NIŻ SPECTRE

George Salas mógł liczyć na Ernsta Stavro Blofelda i SPECTRE, które na początku finansował – jako narzędzie globalnego terroru i siłę zdolną kształtować porządek na świecie. Ale musiał mieć przykrywkę dla tego, co robiła organizacja. Tak, żeby to, co SPECTRE wymuszało działaniami bandyckimi, wielkimi zmowami, szantażami, operacjami tajnych służb, prowokacjami, przekupstwami, spiskami, a nawet wojnami wyglądało na demokratyczne przemiany. Do tego była mu potrzebna sieć uczelni, fundacji, stowarzyszeń, organizacji pozarządowych, stypendiów, programów czy projektów badawczych.

Z powodu swoich korzeni szczególnie wiele chciał zmienić na Węgrzech, ale też w całej Europie Środkowej. Dlatego w tym rejonie rozbudował sieć swoich organizacji. I tu chciał mieć największy wpływ na to, co robi SPECTRE. Na tym terenie Blofeld miał z nim konsultować wszystkie swoje działania. Polska interesowała go jako największe

eprasa.pl df468be33c

i najważniejsze państwo w regionie. Podobnie jak Ukraina na terenie postsowieckim. Po prostu chciał mieć własne „prywatne" państwa, w których mógłby realizować swoje modele „demokracji". Czyniąc je potem jednocześnie główną i właściwie legalną bazą SPECTRE.

James Bond przyleciał do Budapesztu prywatnie. I zaczął podążać śladami Christine Lanville (Krystyny Szembek). Wszystkie oficjalne dokumenty dotyczące jej pobytu i śmierci wydawały się nie zawierać żadnych zagadek. Dopiero po kilku tygodniach Bond odkrył, że na dwa miesiące przed śmiercią Christine często kontaktowała się z niejaką Judit Benkő. Okazało się, że Benkő była gospodynią i opiekunką Nóry Esterházy de Galánthy, żony hrabiego Antona Esterházyego de Galánthy. Nóra była córką bogatego przedsiębiorcy żydowskiego pochodzenia Istvána Szarvasa. Gdy w 1944 r. deportowano węgierskich Żydów do obozów koncentracyjnych i zagłady, udało jej się ukryć w dobrach kuzyna męża. Po wojnie rodzina Esterházych została przez komunistów ograbiona, ale Nóra i Anton zachowali część majątku, gdyż mieli pieniądze, akcje, obligacje i biżuterię bezpiecznie ulokowane w banku w Genewie. Gdy Judit Benkő opiekowała się hrabiną, ta od dawna była wdową. Nie miała dzieci. Miała natomiast w mieszkaniu dużo cennych obrazów, mebli i biżuterii.

Nóra została zamordowana, a mieszkanie splądrowano i ograbiono. Działo się to na długo, zanim Christine Lanville zaczęła pracę w Budapeszcie. Ale sprawa była wciąż głośna, gdyż nie znaleziono sprawcy, a ofiara była bardzo znana. Gdy Bond zreferował swoje ustalenia przełożonym w MI6, jego pobyt stał się oficjalną misją. Głównie dlatego, że rodzina Esterházych miała liczne przyjazne związki z brytyjską rodziną królewską. Od Benkő Bond dowiedział się, że Christine Lanville prowadziła własne śledztwo w sprawie śmierci Nóry Esterházy de Galánthy. A to dlatego, że jej dziadek, Jakub Szembek, przyjaźnił się z Nórą i jej mężem.

MORDERCA ZOSTAWIA ŚLAD

James Bond ustalił, że Christine Lanville zginęła tuż po tym, jak Judit Benkő przekazała jej znalezioną w mieszkaniu hrabiny Nóry, tuż po morderstwie, zapalniczkę. Ani Nóra, ani Judit nie paliły, więc w mieszkaniu żadnych zapalniczek nie było. Nie mogli też zostawić jej milicjanci, bo dopiero mieli przybyć na miejsce zbrodni. Judit zapomniała im zapalniczkę oddać. Przypomniała sobie o niej, gdy rekonstruowała wydarzenia w obecności Christine. Zapalniczka miała wygrawerowane „Dla GW" i datę. W rzeczach Christine, po zabójstwie, zapalniczki nie znaleziono. Wszystko wskazywało na to, że Krystyna Szembek (Christine Lanville) była blisko znalezienia mordercy, ale albo nie zostawiła żadnych informacji, albo ktoś je skradł. Judit Benkő przypomniała sobie tylko, że jej chlebodawczyni wspominała o młodzieńcu, który dawno temu bardzo chciał, żeby mu pomogła w wyjeździe za granicę na studia i stworzyła dla niego coś w rodzaju prywatnego stypendium. Bardzo się też interesował jej obrazami i starodrukami. Gdy sprawa obu morderstw wydawała się beznadziejna, z Judith Benkő skontaktował się pułkownik polskiej Agencji Wywiadu Jarosław Zaczyński. Ten telefon sprawił, że James Bond poleciał do Warszawy.

Krystyna Szembek poznała Zaczyńskiego na kursie dla służb wywiadowczych NATO. Gdy Bond spotkał się z Zaczyńskim, ten pokazał mu pliki przesłane przez Krystynę kilka dni przed śmiercią. Były po węgiersku i angielsku. Zaczyński przeczytał te po angielsku, ale niewiele z tego zrozumiał. Dopiero niedawno znalazł wśród zapisków kilkanaście zdań po polsku i numer telefonu. Do Judit Benkő. Dlatego zadzwonił do Judit. Było to akurat wtedy, gdy kontaktowała się ona z Bondem. Wspólnie z Zaczyńskim Bond ustalił, że Krystyna miała dowody, iż młodzieńcem, który kiedyś chciał, żeby hrabina Esterházy pomogła mu wyjechać za granicę na studia, był niejaki György Weiss, urodzony w Budapeszcie. I wszystko wskazywało na to, że to Weiss hrabinę zamordował oraz ograbił jej mieszkanie.

Krystyna Szembek ustaliła, że niektóre skradzione obrazy pojawiły się potem na rynku i zostały sprzedane za wysokie sumy, ale oferent był zwykle podstawionym słupem. Wtedy nikt tych obrazów na aukcjach nie szukał. Może dlatego, że publicznie mało o nich wiedziano. Obrazy, starodruki i kosztowności pochodzące z rabunku wystarczyłyby na rozkręcenie nawet dużego interesu. Warte były bowiem miliony. Ale ten, kto zamordował i okradł hrabinę Esterházy musiał stworzyć legendę. Kogoś, kto się dorobił, zaczynając od zera. Bondowi i Zaczyńskiemu wszystko zaczęło się układać. Już wkrótce ustalili, kim stał się György Weiss. Ale potrzeba było jeszcze dużo pracy, żeby powiązać George'a Salasa ze SPECTRE i Ernstem Stavro Blofeldem.

BYE, BYE, BOND

James Bond wykorzystał pychę i megalomanię Blofelda, żeby go napuścić na Salasa. Sfabrykował też dowody, że Blofeld chce zabić Salasa i pozbyć się jego nadbudówki nad SPECTRE. Tę nadbudówkę Salas nazywał OPEN. A ponieważ w legalnej działalności Salas musiał stwarzać różne pozory, OPEN zaczęło krępować SPECTRE. Bond przy pomocy Zaczyńskiego zaaranżował konfrontację między Blofeldem i Salasem. Tak, żeby byli przekonani, że jeden chce drugiego zgładzić. Wiadomo było, że obaj skorzystają ze swego zaplecza, przede wszystkim w rządach i tajnych służbach. Chodziło o to, żeby politycy i służby się sklinczowały i zablokowały, co pozwoliłoby przejąć inicjatywę przez jakiegoś samotnego wilka na usługach jednej i drugiej strony. Bond nawet przypuszczał, kto nim może być po każdej ze stron. Nie roniłby łez, gdyby samotnym wilkom się udało, gdyż w oficjalną sprawiedliwość już dawno przestał wierzyć. Okazało się, że rządy i służby są już tylko zakładnikami jednego albo drugiego szefa.

Do ostatecznego starcia nie doszło, mimo że wielkie machiny wojenne zostały uruchomione. Zbyt wielu miało za dużo do stracenia. Samotnym wilkom też się nie udało, gdyż ochrona była zbyt szczelna. James Bond został zwolniony ze służby. Natomiast płk Jarosław Zaczyński awansował na stopień generalski oraz szefa Służby Wywiadu. Bonda uczynił swoim doradcą. A George Salas przystąpił do kolejnego etapu wdrażania swego modelu demokracji, przerabiania państw i Unii Europejskiej.

eprasa.pl df468be33c



eprasa.pl d1468be33c

Nie czas umierać na COVID-19

Miejsce: skalista planeta, trzecia pod względem odległości od środka układu planetarnego, krążąca wokół gwiazdy w galaktyce Drogi Mlecznej. Czas: ok. 13 799 mld lat po powstaniu Wszechświata



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Laboratoria wielu państw pracują nad stworzeniem szczepionki przeciwko zabójczej chorobie zagrażającej ludzkości. W tle pojawiają się egzotyczne azjatyckie targi, śmiertelny wirus o odzwierzęcym pochodzeniu, odważny lekarz, który oddaje życie, dążąc do ujawnienia prawdy, teorie spiskowe do wyjaśnienia. To nie opis zbliżającej się premiery najnowszego filmu o Jamesie Bondzie, lecz być może następnej, jeszcze nienakręconej części. Jej scenariusz już powstaje – wokół nas.

Na trzeciej planecie Układu Słonecznego w galaktyce Drogi Mlecznej

Białko organicznych istot licznie zamieszkujących planetę zaczyna być atakowane przez białko innych, pasożytniczych organizmów. Zaatakowany gatunek, choć wyżej zorganizowany niż pasożyt, nie potrafi się obronić przed inwazją. Zdominowane bezbronne formy stają się gospodarzami wrogiego białka, które doprowadza do ich wyniszczenia i śmierci.





Jedyna nadzieja dla podbitego gatunku to inteligencja, w którą w wyniku ewolucji gatunek ten, w odróżnieniu od agresora, został wyposażony. Pasożyt niestety również posiada pewien ewolucyjny atut: brutalną prostotę.

Zaczyna się wyścig z czasem. Bardziej zaawansowane ewolucyjnie białka, zwane ludźmi, próbują odeprzeć napór organizmów zwanych wirusami SARS-CoV-2.

Choć wydaje się to nieprawdopodobne, wirus – aby się rozprzestrzeniać, zagnieżdżać w kolejnych ludzkich organizmach oraz reprodukować – jest w stanie skłonić gospodarza do najdziwniejszych zachowań: wywołuje nagłe skurcze organów, którymi inteligentna forma pobiera z atmosfery niezbędne do życia pierwiastki. Poprzez to przymusza organizm do nagłego wyrzucenia z siebie dużej ilości mieszaniny gazów i niewielkiej ilości cieczy, wraz z którymi do środowiska uwalniane są zreprodukowane klony wirusa.

Atmosfera ziemska, do niedawna służąca człowiekowi do przeprowadzania życiodajnej wymiany gazowej, staje się zainfekowana. Istnienie form zwanych ludźmi zdaje się w tym wymiarze czasoprzestrzennym dobiegać końca. Ci jednak się nie poddają. Dramatyczna obrona musi się oprzeć na przebiegłej strategii. Jedyne we wszechświecie inteligentne organizmy opracowują plan. Gatunek w obliczu zagrożenia częściowo

Fot. Shutterstock

się zjednoczył. Ludzkość stworzyła kilka frontów tej wojny. Najważniejszy to poszukiwanie preparatu biologicznego, zawierającego antygen mający uodpornić populację na działania wroga. Kolejny polega na izolowaniu miliardów osobników, aby utrudnić najeźdźcy transmisję. Poza tym stworzono miliony hektolitrów ciekłej substancji o wzorze C_2H_5OH, która aplikowana na zewnętrzną tkankę łączną ludzi oraz obiekty w ich otoczeniu, ma moc zabijania wirusa. Niebagatelnym pomysłem ludzkości jest zasłanianie narządów układu wymiany gazowej, zwanych drogami oddechowymi, co skutkuje ograniczeniem mobilności wirusa.

Gatunek *Homo sapiens* na przestrzeni tysiącleci wykształcił różnorodne społeczeństwa – niektóre wykorzystują sytuację do siania zamętu wśród pozostałych grup. Generowanie dezinformacji na temat wirusa, zastraszanie i wprowadzanie w błąd ma na celu destabilizację oraz osłabienie, aby ostatecznie narzucić innym swój dyktat. Wirus jest szczególnie pomocny w tej dawno rozpoczętej wojnie pomiędzy zwaśnionymi grupami. Równolegle do walki z wirusem ludzie muszą więc tworzyć specjalne agendy, które rozpracowują i zapobiegają dezinformacji.

Tak zarysowana akcja wymaga specjalnego bohatera, który wkroczyłby na arenę wydarzeń i rozwiązał światowy kryzys. Bohater taki się pojawił, lecz jego historia potoczyła się inaczej niż w filmach o brytyjskim agencie.

DOKTOR LI

Pierwszym, który się zorientował, że ludzkość stała się celem brutalnej inwazji, był Li Wenliang. Przedstawiciel półtoramiliardowego społeczeństwa, zajmującego dużą część największego kontynentu planety, zauważył niepokojące objawy wśród swoich rodaków. To w Chinach wirus powstał i tam rozpoczął atak.

Odzwierzęce pochodzenie wirusa jest prawie pewne. Wszystko zaczęło się od pewnego targu w mieście Wuhan. Targi całego świata można podzielić na te, które sprzedają tekstylia i różne pakowane produkty, oraz te, które handlują świeżymi produktami, takimi jak zwierzęta, w tym ryby. Ten drugi typ to tzw. targi mokre, których nazwa pochodzi od mokrych podłóg. Przyczyną jest topiący się pod rybami lód i zraszanie świeżych warzyw wodą. Są to jedne z ciekawszych przyrodniczo zakątków w miastach. W Chinach mokre targi to wyjątkowo spektakularne miejsca, czasem ciekawsze niż ogrody zoologiczne.

Nie inaczej było w Wuhan. Na jednym z kramów leżał wystawiony na sprzedaż łuskowiec. Dla przebywających tam ludzi był produktem spożywczym, dla wirusa był organizmem gospodarzem. Wirusowi udało się przemieścić ze zwierzęcia na przebywającego na bazarze mężczyznę. Ta brawurowa akcja otworzyła przed agresorem ocean możliwości. Nowy gospodarz zainfekował kilka osób wokół siebie. Od tego momentu wydarzenia miały następować lawinowo.

34-letni Li Wenliang był niezwykle spostrzegawczy. Cechowała go przenikliwość umysłu, zdolność łączenia faktów, ale także odwaga. Do Szpitala Centralnego w Wuhanie, w którym od sześciu lat pracował jako okulista, zaczęło się zgłaszać coraz więcej osób z objawami grypy. Wszystkie związane były z miejskim targowiskiem. Li obserwował to z rosnącą uwagą. Momentem przełomowym było spotkanie pacjenta z ostrą niewydolnością oddechową. Lekarz zrozumiał, że ma do czynienia z czymś naprawdę groźnym. Nie mógł jednak wtedy wiedzieć, kim jest wróg. Podejrzewał, że ma do czynienia z wirusem SARS.

Na świecie najpopularniejszym komunikatorem nie jest wbrew pozorom WhatsApp, lecz chiński WeChat. To za jego pośrednictwem, u zarania pandemii, Li Wenliang wysłał wiadomość do znajomych o tym, że dzieje się coś złego. Udostępnił zebrane materiały, w tym zdjęcia zapisu tomograficznego. Rozpoczął kampanię na rzecz poinformowania świata o nowym zagrożeniu. Prawda napotkała na przeszkody.

NIERÓWNA WALKA

Działania lekarza nie spodobały się jego przełożonym. Przeprowadzono z nim rozmowę ostrzegawczą, nakazując milczenie. Wkrótce wokół niego zaczęli kręcić się przedstawiciele służb specjalnych. Li został wezwany na przesłuchanie do Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Zarzucano mu kłamstwa oraz sianie paniki, straszono oskarżeniem o popełnienie przestępstwa. Wyniki swojego dochodzenia oraz pismo z upomnieniem otrzymane od władz lekarz opublikował w internecie.

Władze sanitarne regionu Hubei, którego Wuhan jest stolicą, bagatelizowały ostrzeżenia, raporty oraz analizę oczywistych faktów skrzętnie zamiatały pod dywan.

Kilka dni później okulista rutynowo badał cierpiącego na jaskrę pacjenta. Ten był zainfekowany. Wirus wykorzystał okazję i zaatakował swojego największego wówczas wroga, który mógłby stanąć mu na drodze do podboju świata. Niszczenie jedynego mogącego powstrzymać pandemię człowieka odbywało się więc dwukierunkowo: od zewnątrz – ze strony władz, służb i w końcu mediów, oraz od wewnątrz – przez reprodukującego się w jego ciele wirusa. Półtora miliona ludzi uniknęłoby śmierci, gdyby ten chiński lekarz, działający w służbie prawdy bezkompromisowo niczym agent specjalny, został ocalony.

Tak się nie stało. Rozwinęły się u niego wszystkie symptomy choroby wywołanej przez nowego wirusa, nazwanej COVID-19. Opanowały go gorączka i kaszel, dusił się, jego organy były niedotlenione. Miesiąc po wniknięciu do jego ciała organizmów zwanych SARS-CoV-2 okulista Li Wenliang umiera.

WIRUS ZDOBYWA KOLEJNE PRZYCZÓŁKI

W szybkim tempie agresywny białkowy wróg opanowuje Chiny. Nikt już nie walczy z oczywistym faktem, promowanym wcześniej przez okulistę, że na świecie zaczyna się epidemia. Gdyby postawa taka doczekała się afirmacji dwa miesiące wcześniej, światowy kryzys byłby do uniknięcia. Przez Pacyfik wirus dokonuje desantu na USA. Do Europy dociera przez Półwysep Apeniński. Największe zniszczenie sieje w organizmach starych i schorowanych. Jest podstępny. Nosiciele często nie wiedzą, że są dla niego gospodarzami. W ten sposób potajemnie przenosi się z człowieka na człowieka.

Równolegle z wirusem po świecie rozprzestrzenia się dezinformacja. Generują ją głównie kraje zainteresowane sianiem zamętu oraz całe rzesze

eprasa.pl df468be33c



James Bond (na zdj.) istniał naprawdę. Jego pasją była ornitologia

pożytecznych idiotów. Pandemia miałaby więc być efektem badań nad bronią biologiczną. Broń ta, przypadkowo lub nie (w zależności od teorii), miała opuścić mury chińskiego lub amerykańskiego laboratorium. Epidemia i dezinformacja to w ogóle bardzo dobrana para. „Ubi tu, ibi ego" (gdzie ty, tam ja) – mogłaby wyrzec każda z jej stron. Nie dziwi taka korelacja w dawnych wiekach, kiedy nie znano istoty zakażenia. Każda zaraza wywoływała mechanizm szukania winnych, tworzenia hipotez o jej powstaniu i przywoływania magicznych formuł, aby się jej pozbyć. Trwały mechanizm: w latach 80. XX w. radzieccy agenci dezinformacji zalewali świat propagandą na temat HIV, głosząc, że to amerykańska broń biologiczna.

Mimo że ludzie nawet z poziomu swojej sofy dysponują wglądem niemal we wszystkie badania naukowe, wciąż wierzą w szalone nieracjonalne teorie. Algorytm rozprzestrzeniania się pandemii jest taki sam, jak algorytm rozprzestrzeniania się dezinformacji. Podczas gdy Li Wenliang walczył o prawdę na temat wirusa, na świecie powstaje wiele kłamstw na jej temat.

Kolejna teoria głosi, że wygenerowanie wirusa ma na celu „wszczepienie" świata inteligentną szczepionką, dzięki czemu wpływowa ponadnarodowa grupa mogłaby przejąć kontrolę nad ludzkością. Popularna jest koncepcja, że pandemia to wynik działania wywiadu Chin, mający na celu pogrążenie gospodarek innych państw, aby wzmocnić swoją. Najbardziej uważni obserwatorzy zauważyli również

> Nie czas umierać. Czas zacząć obserwować ptaki. Bond, aby uratować świat, powinien wrócić do swoich przyrodniczych korzeni. W końcu każda tajemnica i każdy spisek mają swój przyrodniczy wątek i podążając przyrodniczym tropem, można je rozwikłać

związki pomiędzy systemem 5G a pandemią. Tam, gdzie technologia jest wdrożona, wirus mutuje, mając się zmieniać w agresywne bakterie. Również szybkość rozprzestrzeniania się choroby ma związek z nową technologią, jest bowiem wzmagana przez emisję z przekaźników sieci 5G. Remedium? Należy chronić głowy przed promieniowaniem, owijając je folią aluminiową. Poza tym należy ssać cynk, pić ciepłą wodę i aplikować do nosa ocet... Zagrożony zdezorientowany gatunek rozpaczliwie potrzebuje kogoś, kto wyplącze go z pułapki. Tym bardziej że wirus drugą falą zalewa ludzkość. Poszukiwany jest superbohater.

LICENCJA NA OBSERWOWANIE

Taki człowiek, który uratowałby świat, mógłby się nazywać np. James Bond. Kompletnie nieromantycznie, anglosasko, męsko – i tak zwyczajnie, jak to tylko możliwe. W ten sposób uzasadnił swój wybór Ian Fleming.

Jakie cechy powinien mieć superbohater? Przede wszystkim powinien być ornitologiem. To oczywiste, ornitologiem był zarówno Fleming, twórca cyklu o agencie 007, jak i prawdziwy James Bond.

James Bond istniał bowiem naprawdę. Urodził się w 1900 r. w Filadelfii w Pensylwanii. Od najmłodszych lat interesował się przyrodą. Jego pasją stały się ptaki Karaibów. W 1936 r. opublikował znakomity przewodnik „Birds of West Indies" – „Ptaki Indii Zachodnich" (trzyma go w ręce Pierce Brosnan w „Śmierć nadejdzie jutro", rozmawiając z Halle Berry, mówi: „Jestem tu z powodu ptaków". I podnosząc lornetkę, przez którą wcześniej obserwował okolicę i dziewczynę, dodaje: „Ornitolog").

Fleming wykorzystał imię i nazwisko amerykańskiego badacza ptaków na użytek swojego bohatera. Sam też interesował się ptakami, poświęcając się ich obserwacjom na Jamajce, na której mieszkał pod koniec życia. Oczywiście przy rozpoznawaniu i oznaczaniu gatunków tego regionu posługiwał się atlasem Bonda. Jego imię i nazwisko wybrał w chwili olśnienia. Osobiście nie znał jeszcze wówczas amerykańskiego przyrodnika i nie pytał go o zgodę.

Spotkali się dopiero kilkanaście lat po literackich narodzinach słynnego agenta, w 1964 r., roku przedwczesnej śmierci Fleminga. Fleming podarował Bondowi swoją książkę „Żyje się tylko dwa razy" z dedykacją: „Prawdziwemu Jamesowi Bondowi od złodzieja jego tożsamości". Bond nie miał nic przeciwko wykorzystaniu jego imienia, rozbawiło go to. W ramach zadośćuczynienia Fleming zaoferował mu nieograniczoną możliwość wykorzystania swojego nazwiska – np. do nazwania jakiegoś wyjątkowo odstręczającego ptaka.

Nie czas umierać. Czas zacząć obserwować ptaki. Superbohater, aby uratować świat, powinien wrócić do swoich przyrodniczych korzeni. W końcu każda tajemnica i każdy spisek mają swój przyrodniczy wątek i podążając przyrodniczym tropem, można je rozwikłać.

Fot. Free Library of Philadelphia

eprasa.pl df468be33c

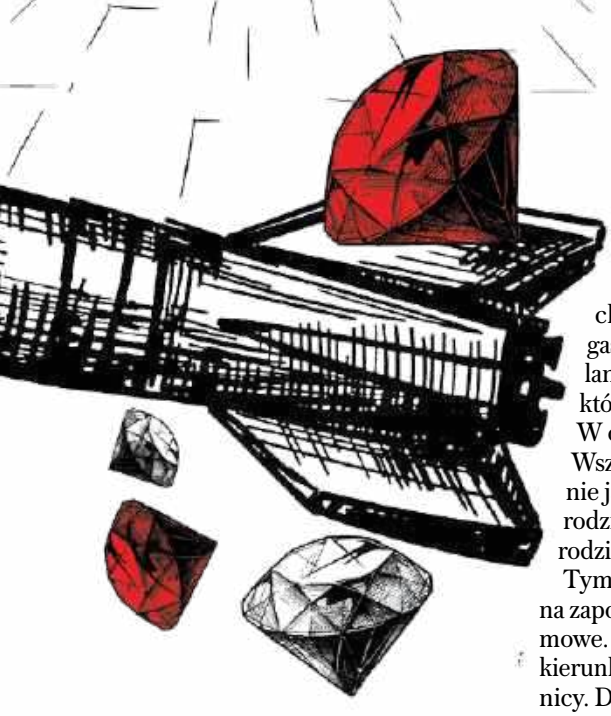
Diamenty nie zawsze się mienią



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gorący wieczór, gdzieś w Etiopii. W skromnym domu, w niewielkim mieście zagubionym na wschodnich obrzeżach wysuszonego afrykańskiego Sahelu, rodzina przygotowuje się do kolacji. Ojciec rozmawia ze swoimi dziećmi. To lekarz, przedstawiciel miejscowej elity, ubrany po europejsku, w dżinsy i koszulę. Przy laptopie tłumaczy maluchom, jak zmieni się okolica, w której mieszkają. Nowo otwarta elektrownia na pobliskiej zaporze na Nilu Błękitnym dostarczy nie tylko energię elektryczną, lecz przede wszystkim wodę. Ojciec pokazuje

eprasa.pl df468be33c



W tym scenariuszu James Bond będzie musiał się zmierzyć z prawdziwymi zagrożeniami: kryzysem energetycznym i paliwowym, konfliktami w Afryce uruchamiającymi kolejną wielką falę migracyjną do Europy oraz z wymyślonym na użytek filmu spiskiem miliarderów francuskiego i rosyjskiego, którzy przy pomocy dżihadystów będą chcieli zmienić świat. Pojawią się też tytułowe diamenty. Zupełnie jak w prawdziwym Bondzie



dzieciom na ekranie nowe uprawy, które wyżywią tutejszą ludność i pozwolą jej zarobić. „Woda to życie. Wreszcie nikt nie będzie musiał stąd uciekać w poszukiwaniu lepszej przyszłości" – mówi. „Wy również" – śmieje się do dzieci.

Nagle światło zaczyna migotać. Nikt się nie niepokoi, bo krótkie przerwy w zasilaniu są czymś, do czego miejscowi przywykli. Jednak po chwili światło całkiem gaśnie i pomieszczenie oświetlane jest tylko przez ekran laptopa, który przeszedł na zasilanie z baterii. W oddali rozlega się głuchy grzmot. Wszystko wokół zaczyna drżeć, zupełnie jak przy trzęsieniu ziemi. Twarze rodziny tężeją, dzieci przytulają się do rodziców.



Tymczasem w pobliskiej elektrowni na zaporze jak oszalałe wyją syreny alarmowe. Wybucha chaos. We wszystkich kierunkach biegają spanikowani pracownicy. Doszło do rozszczelnienia zapory, generatory przestały pracować, a woda coraz mocniej napiera na uszkodzoną tamę. Ekipom ratunkowym nie udaje się pokonać sił fizyki i spiętrzony nurt Nilu doprowadza do rozerwania tamy. Rzeka z hukiem przelewa się przez zaporę, całkowicie ją pochłaniając.

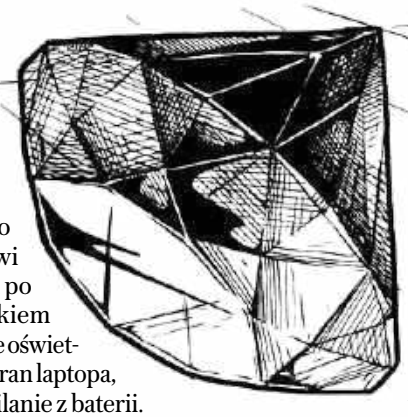
Niczym już niepowstrzymywana potężna fala brudnej spienionej wody rozlewa się na przestrzeni wielu kilometrów, dewastując wszystko, co napotka na swojej drodze. Żywioł pochłania całe miasto, a wraz z nim dom, w którym jeszcze przed chwilą młody lekarz opowiadał swoim dzieciom o czekającej je lepszej przyszłości.

DZIEWCZYNA MILIARDERA

Katastrofa afrykańskiej zapory uruchamia kostki domina. Pomimo międzynarodowej pomocy pojawia się głód i szerzą się choroby. Jednak przede wszystkim dochodzi do wybuchu wojny, bo miejscowe władze oskarżają sąsiednie państwa o dokonanie zamachu na tamę.

W Afryce, zwłaszcza w suchym paśmie Sahelu, rządzi bowiem ten, kto ma dostęp do wody i energii. Etiopia, dzięki zaporze zbudowanej na Nilu, przejęła monopol energetyczny w regionie. Co więcej, nowa tama zatrzymywała wodę, której z tego powodu zaczynało brakować w dolnym biegu rzeki, już poza granicami państwa. Sąsiednie kraje miały więc motyw, aby zniszczyć zaporę.

Walki zaczynają przybierać na sile. Wraz z nimi w stronę Morza Śródziemnego i Europy rusza wielka fala uchodźców. Media europejskie zwiastują kolejny kryzys migracyjny, a Unia Europejska pogrąża się w sporach na temat nadciągającego zagrożenia. W tym miejscu do akcji wkracza James Bond, który dostaje zlecenie od M, aby przyjrzeć się sytuacji z bliska. Z informacji brytyjskiego wywiadu bowiem wynika, że przyczyną rozerwania zapory był sabotaż. A więc zamachu dokonał ktoś z wewnątrz.



Bond pojawia się na miejscu kataklizmu. Dowiaduje się, że miejscowe władze współpracują już ze znaną francuską firmą, która dostarczyła generatory do zniszczonej elektrowni. Francuscy eksperci, na których czele stoi tajemnicza Marianne, próbują właśnie ustalić przyczyny katastrofy. Bond dość szybko dochodzi do wniosku, że w rzeczywistości chcą oni zatrzeć ślady. Musi się dowiedzieć dlaczego, więc zaprzyjaźnia się z Marianne.

Marianne jest wysłanniczką właściciela firmy produkującej generatory. Jest nim Charles Esterhazy, potomek znanego węgierskiego rodu, który niegdyś osiedlił się we Francji. Esterhazy to bardzo znana postać. Miliarder słynie z tego, że część zarobionych pieniędzy przeznacza na pomoc dla najuboższych państw świata. Jego pomoc przy budowie wielkiej zapory miała odmienić życie miejscowej ludności, od dziesiątek lat zagrożonej głodem, chorobami i wojnami. „To wielki człowiek" – opowiada Bondowi Marianne. „Chciał dać Afrykanom to, czym cieszymy się od dawna u nas w Europie".

Marianne przekazuje Bondowi zaproszenie do zamku nad Loarą, gdzie za dwa dni Esterhazy organizuje konferencję na temat zaostrzonej sytuacji w Afryce.



PRZESYŁKA OD YUSUFA

Konferencja odbywa się wieczorem, w pięknie oświetlonym średniowiecznym zamku nad Loarą. Liczni goście, w tym politycy i wielkie nazwiska świata nauki, ubrani jak na uroczysty raut, zjeżdżają się luksusowymi samochodami. Marianne wita Bonda na dziedzińcu i wprowadza go do zamku. Bond dostrzega na szyi

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33c

Marianne piękną diamentową kolię. „To diamenty ze środkowej Afryki" – komentuje ze znawstwem. „Musiały kosztować więcej niż ludzkie życie" – dodaje, ale Marianne jedynie uśmiecha się w odpowiedzi.

Esterhazy jest – jak przystało na miliardera – ekscentrykiem. W młodości walczył po stronie mudżahedinów w wojnie przeciwko Sowietom w Afganistanie. Wtedy stał się zapiekłym wrogiem komunistów. Przedstawia się jako konserwatywny liberał i zarazem wspiera umiarkowany islam, ostro przeciwstawiając się dżihadystom. W ten sposób łączy dwie – wydawałoby się niemożliwe do pogodzenia – sprzeczności: muzułmańską mniejszość i rodzimą, antyimigrancką prawicę. Z tego powodu coraz częściej jest też wskazywany jako potencjalny kandydat na prezydenta. Bardzo gorąco wspiera go spora część mediów, wielką popularnością cieszy się zwłaszcza w internecie. Pod jego patronatem utworzona została Partia Obywateli, której celem jest odbudowa silnej republiki.

W trakcie konferencji Bond zauważa atrakcyjną kobietę. To Rosa – znana dziennikarka śledcza i blogerka, od wielu lat działająca na własną rękę. Rosa zadaje pytania Esterhazyemu, snuje domniemania, że za atakiem na zaporę w Etiopii stali dżihadyści. Miliarder zbywa ją grzecznie.

Podczas wieczornego rautu Bond zakrada się na piętro i w jednym z korytarzy zamkowych dostrzega Rosę. Towarzyszy jej śniady mężczyzna, prawdopodobnie Arab. Oboje gwałtownie gestykulują, w pewnej chwili Arab wręcza Rosie przesyłkę. Gdy zauważają Bonda, natychmiast przerywają konwersację. Rosa uśmiecha się szeroko i przedstawia Bondowi swojego rozmówcę jako Yusufa – aktywistę z ruchu pomagającego uchodźcom. Całą scenę obserwuje z daleka Marianne. Bond zauważa Marianne, która szybko znika za rogiem. Wszystko wydaje mu się mocno intrygujące, dlatego zaczyna śledzić Rosę i Yusufa.

BRUDNY DIAMENT Z AFRYKI

Gdy Rosa i Yusuf wyjeżdżają z zamku, Bond wsiada do swojego astona martina, specjalnie wyposażonego w laboratorium Q, i namierza ich za pomocą zainstalowanego urządzenia GPS. W pewnej chwili samochód Rosy się zatrzymuje. Bond ostrożnie zbliża się do tego miejsca i wtedy nieoczekiwanie wpada mu przed maskę Rosa. Jest rozdygotana, w poszarpanym ubraniu. Krzyczy, że przed chwilą zostali napadnięci. Bond zabiera ją do auta i podjeżdża do miejsca, gdzie doszło do napadu. Samochód Rosy jest podziurawiony kulami, a obok leży zakrwawione ciało Yusufa.

Nagle pojawiają się napastnicy. Bond z piskiem opon zawraca i ostrzeliwany ucieka przez wąskie uliczki średniowiecznego francuskiego miasteczka. Gdy w końcu udaje mu się zmylić pościg, zatrzymuje się i pyta Rosę, co się wydarzyło. Rosa opowiada mu, że Yusuf był jej informatorem. Miał donieść, że Esterhazy, który oficjalnie przedstawia się światu jako filantrop o gołębim sercu, w rzeczywistości jest zbrodniarzem sprzedającym broń islamistom. Jako dowód wyciąga przesyłkę otrzymaną od Yusufa. Znajduje się w niej mały diament, taki sam, jak te, które na szyi nosiła Marianne. To takimi diamentami płacą dżihadyści Esterhazyemu.

Bond próbuje sobie wszystko poukładać w głowie. Dlaczego Esterhazy, uchodzący przecież za sojusznika umiarkowanego islamu, wspiera fundamentalistów? Otrzymany od Rosy diament oddaje do analizy w centrali MI6. Panna Moneypenny informuje go, że diament pochodzi z zagubionej w buszu kopalni w środkowej Afryce kontrolowanej przez rosyjskiego oligarchę Powarina. To barwna postać, blisko związana z Kremlem, zarabia pieniądze na surowcach. Zna wielu europejskich polityków i sporo też inwestuje, zwłaszcza w media. Posiada udziały w stacjach telewizyjnych i – przede wszystkim – w rozmaitych portalach internetowych. Mówi się, że dzięki swoim trollom kontroluje sporą część europejskiej opinii publicznej.

Bond postanawia bliżej przyjrzeć się kopalni Powarina. Wybiera się ponownie do Afryki, tym razem w towarzystwie Rosy. Oboje występują pod legendą: on jest handlarzem bronią, a ona jego asystentką.

Powarin, krępy jegomość, który zna samego Putina, przyjmuje Bonda i Rosę w swoim domku myśliwskim w buszu, pilnie strzeżonym przez rosyjskich najemników. Po krótkiej rozmowie, w trakcie której Powarin przechwala się trofeami z polowań na chronione okazy zwierząt („Tu wszystko można załatwić za odpowiednią sumę, nawet polowanie na białego nosorożca" – mówi), panowie przechodzą do rzeczy. Powarin zgadza się przedstawić Bonda swojemu najlepszemu klientowi. „On weźmie każdą broń i płaci za nią moimi diamentami" – mówi tajemniczo.

Wkrótce potem wszyscy odlatują prywatnym odrzutowcem Powarina na północ. Po kilku godzinach samolot ląduje na polowym lotnisku na północy Libii.

ŁADUNEK Z RAKIETAMI

Od chwili obalenia reżimu Muammara Kaddafiego i arabskiej wiosny w Libii trwa wojna domowa. Strony tej wojny są wspierane z zewnątrz przez różne państwa, krzyżują się tu wpływy m.in. Turcji, Francji i Rosji. Stawką jest dostęp do bogatych pól naftowych, lepsza pozycja strategiczna na Morzu Śródziemnym oraz kontrola nad przepływem uchodźców z głębi Afryki, którzy właśnie z Libii próbują dokonać skoku do Europy.

Samolot Powarina z Bondem i Rosą na pokładzie ląduje wieczorem w jednej z baz należących do antyrządowych rebeliantów. Na oświetlonej pomarańczowym światłem płycie lotniska buzuje życie: rozładowywane są samoloty transportowe, lądują helikoptery, dookoła krzątają się uzbrojeni żołnierze i obsługa techniczna.

Pod samolot Powarina podstawia się luksusowa, opancerzona limuzyna, która zawiezie Bonda z jego towarzyszką do twierdzy generała Idrisa. Obok do chronionej furgonetki ładowane są paczki z diamentami, które przyleciały wraz z nimi ze środkowej Afryki. Powarin płaci Idrisowi diamentami za dostęp do kontrolowanych przez niego pól naftowych, z kolei Idris wydaje diamenty na zakup broni.

eprasa.pl df468be33c

Bond dostrzega, że w magazynie obok lotniska wyładowywane są skrzynie z uzbrojeniem. Chce im się przyjrzeć z bliska i odchodzi pod szybko wymyślonym pretekstem na bok. Towarzyszy mu Rosa. Skradając się do baraku, dostrzegają Marianne wydającą polecenia rebelianckim żołnierzom przenoszącym ładunek. Nie mają już wątpliwości, że zamordowany Yusuf mówił prawdę. Esterhazy rzeczywiście dostarcza broń dżihadystom. I to nie byle jaką. W skrzyniach znajdują się bowiem zdemontowane rakiety o dużym zasięgu. Dołączona dokumentacja świadczy o tym, że zostały wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych. Rosa robi zdjęcia skrzyniom z rakietami i dokumentom trzymanym w ręku przez Bonda. Po co taka broń rebeliantom w Libii? – zastanawia się Bond, gdy wracają do limuzyny.

MEDIALNA OFENSYWA

Samochód wiezie ich przez frontowe nadmorskie miasto. Zniszczona miejscowość przedstawia przygnębiający, niemalże apokaliptyczny widok. Z ciemności wyłaniają się koczujący wszędzie ciemnoskórzy uchodźcy z głębi Afryki, którzy czekają aż jedna z setek krążących przy nabrzeżu łodzi zabierze ich w końcu na pokład i wywiezie do Europy.

Bond przygląda się temu w milczeniu. W tym czasie Rosa sprawdza wiadomości. W internecie i w mediach roi się od spekulacji, że Amerykanie wespół z Anglikami dostarczają broń dżihadystom, aby przejąć kontrolę nad surowcami w północnej Afryce. Oskarża się ich również o zamach na zaporę w Etiopii, bo nie chcieli jakoby dopuścić, aby jakiekolwiek państwo wyrosło na niezależne, regionalne mocarstwo. Rozpętane konflikty wywołały z kolei najpoważniejszy od 2015 r. kryzys migracyjny w Europie. Organizacje pomagające uchodźcom raportują, że codziennie przechwytują na morzu dziesiątki przepełnionych kutrów z imigrantami.

Padają wezwania do powstrzymania katastrofy. Rosja gotowa jest mediować i korzystając ze swoich wpływów, wziąć na siebie część odpowiedzialności za zatrzymanie nielegalnej imigracji. Domaga się jednak w zamian wolnej ręki w Libii oraz ograniczenia amerykańskiej obecności w Europie i na świecie. Tę propozycję podchwytuje wielu europejskich polityków. Orędownikiem takiej strategii jest również coraz silniej zabiegający o władzę we Francji Esterhazy. „Nie lekceważyłbym stanowiska Rosji. Czas na fundamentalną zmianę. Jedynie wespół z Rosją możemy zapewnić bezpieczeństwo całej Europie" – mówi.

TO NIE KONIEC GRY

Generał Idris przyjmuje Bonda i Rosę w towarzystwie swoich uzbrojonych po zęby żołnierzy. Zapewnia, że gdy wkrótce zdobędzie kontrolę nad całym krajem, świat zostanie zbudowany od nowa. „Tymczasem na razie kontroluje pan przepływ uchodźców do Europy" – przerywa mu Bond. „Kontroluje, bo za to mu płacimy – w mroku rozlega się cudzy głos. Nieoczekiwanie do sali wchodzi Esterhazy w towarzystwie Powarina. „Od razu wiedzieliśmy, kim pan jest, panie Bond" – uśmiecha się Esterhazy. Znają się z Powarinem od czasów wojny afgańskiej. Esterhazy wpadł wtedy w ręce Rosjan. Powarin, wówczas oficer GRU, przewerbował Esterhazyego na stronę Moskwy i trzymał go w uśpieniu do czasu, gdy ten nie zacznie odgrywać dużej roli we Francji. Gdy Esterhazy stał się znany, media i internetowi trolle zaczęli promować go jako przyszłego prezydenta.

Esterhazy przyznaje, że on sam doprowadził do katastrofy na zaporze w Etiopii. Dzięki temu uruchomił reakcję łańcuchową: wybuch głodu i wojny oraz wielomilionową falę uchodźców, która zagroziła stabilności w Europie. Teraz ma nadzieję, że kryzys wyniesie go do władzy. „Polityka Francji i Europy bardzo się zmieni" – uśmiecha się znacząco do Powarina.

„Ale to jeszcze nie koniec gry" – mówi. Żołnierze Idrisa wnoszą do sali skrzynię. Esterhazy ją otwiera i pokazuje Bondowi niewielką głowicę atomową. W tej samej chwili chwyta Rosę i – pomimo jej krzyków – ciągnie ze sobą. Bond próbuje stanąć w jej obronie, ale uderzony w głowę kolbą karabinu, traci przytomność.

OCH, JAMES!

Bond budzi się w dziwnym ciemnym miejscu. Po chwili dostrzega, że to stanowisko rakietowe wykute w skale. Jest gorąco, mnóstwo pustynnego piasku i kurzu. Wokół rakiety chodzą zamaskowani ludzie. Najwyraźniej szykują ją do odpalenia. Bond wstaje i podchodzi do wyrzutni, ale nikt nie zwraca na niego uwagi. Nagle zapalają się światła, Bond odwraca się i zostaje oślepiony błyskiem flesza. Zdumiony widzi Rosę, która robi mu zdjęcia na tle rakiety i zamaskowanych drabów. Już rozumie, że Rosa była przynętą, a on sam jest zgubiony.

Po chwili wchodzi uśmiechnięty Esterhazy: „Witamy w Jemenie" – mówi. Tutaj również trwa wojna domowa. Jedną ze stron wspiera Arabia Saudyjska, a drugą Iran. „Dlaczego właśnie Jemen?" – pyta Bond. Esterhazy wyjaśnia zagadkę: „Ta rakieta spadnie na jedno z arabskich miast. Zostanie wystrzelona ze strefy kontrolowanej przez Irańczyków, więc czeka nas wielka wojna na Bliskim Wschodzie. Jak pan myśli, panie Bond, kto w tej sytuacji uratuje Europę przed kryzysem paliwowym?".

Układanka się domyka. Ceny energii i paliw poszybują w kosmos, a osłabiona kryzysem Europa zostanie całkowicie uzależniona od rosyjskich dostaw ropy i gazu z Syberii i Libii.

„A dzięki zdjęciom zrobionym panu przy rakietach przez Rosę, będzie pan dowodem, że za atak nuklearny i wywołany kryzys wspólnie odpowiadają Wielka Brytania i Stany Zjednoczone" – kończy Esterhazy i biorąc Rosę za rękę, wychodzą. Bond zostaje przywiązany do wyrzutni. Rozumie, że w chwili startu rakiety gorące gazy spalą go na popiół. Zamaskowani żołnierze wybiegają i po chwili zaczyna się odliczanie do startu.

Bond próbuje się uwolnić, ale nie może się poruszyć. Nieoczekiwanie obok niego pojawia się Marianne, która ratuje go z tarapatów. Pomaga mu z przyczyn osobistych. Nienawidzi Rosy.

A jak się kończy film? Oczywiście szczęśliwie. Bondowi udaje się obezwładnić obsługę wyrzutni i zatrzymać odpalenie rakiety. Zamiast niej w powietrze zostaje wystrzelony pocisk przeciwlotniczy, który strąca samolot Esterhazyego. Francuski miliarder i Rosa giną w szczątkach maszyny, która w promieniach zachodzącego słońca spada na jemeńską pustynię.

Bond zostaje sam na sam z Marianne, która – jak w dawnych odcinkach – wypowiada na koniec sakramentalne: „Och, James!".

eprasa.pl df468be33c

Sputnik VI i Siła Syberii, czyli James



MAREK BUDZISZ

Lecisz do Davos, tam Rosjanie organizują konferencję poświęconą zastosowaniu sztucznej inteligencji w medycynie, ale z naszych źródeł wiemy, że chodzi o coś zupełnie innego. Oficjalnie będziesz współpracownikiem i najbliższym doradcą Jacka Ma, twórcy Alibaby, chińskiego potentata w handlu internetowym, który po tym jak wystąpił w Soczi na posiedzeniu Klubu Wałdajskiego obok Putina, cieszy się wśród Rosjan wielką estymą. Jesteś naszym jedynym agentem, który może się wcielić w tę rolę.



Bond na Kremlu

Dobrze, że cię widzę, James – powiedziała szefowa, zauważając swojego ulubionego agenta 0070 próbującego niepostrzeżenie wślizgnąć się na spotkanie kierownictwa MI6, w którego trakcie trwała ożywiona dyskusja. A to zapowiadało zmianę kalendarza superszpiega. I to zasadniczą

Ying nie lubił, kiedy szefowa nazywała go jego angielskim imieniem James ani kiedy nawiązywała do jego wyglądu i pochodzenia. Czuł się w 100 proc. Brytyjczykiem, mimo że urodził się w Hongkongu w chińskiej rodzinie i dopiero w dzieciństwie wraz z wycofywanymi pracownikami brytyjskiej administracji przyjechał z rodzicami do Wielkiej Brytanii. Nie przepadał też za imieniem James, zwłaszcza w ustach szefowej, choć wiedział, że wszyscy agenci w komórce, w której pracuje, muszą się nazywać. Wolałaby, aby na jego miejscu był jej ulubiony agent 007, który kilka lat wcześniej odszedł na wcześniejszą, nie do końca dobrowolną emeryturę (zbyt duża liczba „wstrząśniętych, nie zmieszanych") i wydział stracił go z oczu.

– Gujana poczeka – dodała szefowa – nawiązując do zaplanowanej misji na francuskim poligonie rakietowym, w której 0070 miał uczestniczyć – nasi dyplomaci będą musieli użyć innych argumentów w czasie rozmów brexitowych z Francuzami, najwyżej będą przeciągać negocjacje tak długo, jak się da.

* * *

Davos w czasie szczytu światowego przypomina oblężoną twierdzę, ale hotel Seehof, położony nieco na uboczu, który Rosjanie przekształcili w swoją bazę, mógłby śmiało uchodzić za twierdzę w twierdzy. Wchodząc do hallu, Ying pomyślał, że o wyborze miejsca przesądziło nie położenie ani uchodząca za wyjątkową kuchnia hotelowa, ale wystrój wnętrza – ciężkie meble, kryształowe żyrandole, ściany i sufity wyłożone boazerią z alpejskiego drewna. Wszystko niezbyt gustowne, ale z pewnością niezwykle kosztowne.

Fot. Shutterstock

Konferencję organizował Nikołaj Mostin, prezes Wniesztorgbanku, za czasów sowieckich głównej instytucji finansowej zajmującej się obsługą handlu zagranicznego ZSRR. Bank miał wówczas, ma i obecnie, filie w głównych finansowych stolicach świata. Faktycznie był instytucją zajmującą się, oprócz aktywności biznesowej, również, jak wszystkie rosyjskie placówki na Zachodzie, szpiegostwem. Z tą wszakże różnicą, że do VTB, bo pod takim skrótem działał stary Wniesztorgbank po liftingu za czasów Jelcyna, trafiała elita rosyjskich kagebistów, crème de la crème służb specjalnych, dyskretnie nadzorowany przez sowiecką ambasadę, w której zakotwiczył na pewien czas Michaił Gorbaczow, zanim nie wypatrzył go tam Jurij Andropow, szef KGB. W Londynie swą karierę w świecie finansów zaczynał Mostin.

– Chciałbym przedstawić państwu możliwości programu Sputnik VI, przede wszystkim wykorzystanie sztucznej inteligencji w połączeniu ze sprawnością komputerów kwantowych – referował jeden z uczestników konferencji, kiedy na salę wszedł 0070. – Umożliwi to niemal natychmiastowe, w czasie rzeczywistym, opracowanie modelu genetycznego człowieka – tu prelegent na chwilę zawiesił głos – każdego indywidualnego człowieka. Nie muszę państwu mówić, jakie to daje możliwości – uśmiechnął się mówca do nielicznego grona mężczyzn w strojach wieczorowych. – Będziemy mogli niemal natychmiast przeprowadzić diagnozę stanu zdrowia każdego człowieka i opracować równie szybko indywidualne, tylko dla tej osoby przeznaczone lekarstwo, które w ramach komputerowo sterowanej syntezy chemicznej zostanie niemal natychmiast wyprodukowane. Ale pamiętajcie, że jeśli będziemy mogli w czasie rzeczywistym zdiagnozować stan zdrowia każdego człowieka i wyprodukować dla niego lekarstwo, co zajmie nam kilka sekund, to równie dobrze będziemy mogli stworzyć preparat, który nie leczy, ale przyspiesza chorobę, likwidując zainfekowany organizm w czasie co najwyżej kilku minut. I będą to specyfiki też indywidualnie tworzone, nieszkodzące nikomu innemu, przez co bezpieczne. Jakie to daje możliwości na innych polach, też chyba nie muszę państwu mówić.

0070 rozpoznał w referującym prof. Denisa Rebrikova, rosyjskiego naukowca, który niedawno zaszokował międzynarodową opinię publiczną, udzielając wywiadu tygodnikowi „Nature", w którym zapowiedział, że doprowadzi pod koniec 2020 r. w swoim instytucie do narodzin dzieci o sztucznie zmodyfikowanym kodzie genetycznym. MI6 udało się wówczas ustalić, że jest to jeden z elementów kremlowskiego planu polegającego na hodowli żołnierzy nowej generacji – ulepszonych genetycznie supermenów przyszłości, którzy mieliby dać przewagę Rosji, kiedy ropa naftowa i gaz ziemny nie będą się już liczyły tak jak obecnie. Ustalono również, że Rebrikov ma dla swych badań poparcie na najwyższym szczeblu, najprawdopodobniej w środowisku rosyjskich arcyjastrzębi z Rady Bezpieczeństwa.

Po wystąpieniu Rebrikova kilku mężczyzn, w tym 0070, przeszło do niewielkiej salki, aby przedyskutować „problemy techniczne". Z cygarem i szklaneczką whisky słuchali dalszej części wystąpienia Rebrikova.

– Jak być może panowie wiedzą, w przypadku wielkich serwerowni niezbędnych dla przetwarzania gigantycznej ilości danych największym problemem nie jest ich zbudowanie – argumentował Rebrikov – lecz chłodzenie całego systemu. I w tym wypadku moja ojczyzna Rosja może wykorzystać swoje wyjątkowe położenie geograficzne. Być może słyszeli panowie o tym, że zbudowaliśmy gazociąg Siła Syberii – uśmiechnął się Rebrikov. – Legiony analityków giełdowych na świecie zastanawiały się, jaki sens ma wydawanie miliardów dolarów na położenie rury, która tłoczy tak niewielką ilość błękitnego paliwa do Chin, podkreślając, że inwestycja najprawdopodobniej nigdy się nie zwróci. Ale nie znali oni rosyjskiego terminu – „maskirowka" i nie byli nigdy w Skoworodinie. Zapraszam panów na Syberię.

* * *

Prywatny odrzutowiec Rebrikova, którym lecieli na Syberię z krótkim przystankiem w Moskwie, lądował w Skoworodinie nocą, więc 0070 niewiele mógł zobaczyć. Nie ujrzał rozpadających się postsowieckich blokowisk ani też niewielkiego popiersia Lenina stojącego przed głównym budynkiem mieściny – dworcem kolejowym. W czasie lotu zorientował się, że jego współpasażerowie to przedstawiciele państw BRIKS, regionalnych mocarstw, które połączywszy siły, myślą o tym, jak rzucić wyzwanie potęgom starego świata. Nie mógł nie zauważyć również ognistej rudowłosej piękności serwującej posiłki i drinki w trakcie lotu. – Jestem Irina – przedstawiła się 0070 rudowłosa, trochę w stylu Anny Chapman, ale zdaniem Yinga o niebo atrakcyjniejsza, która, jak zauważył, zwraca na niego chyba większą uwagę niż na pozostałych współpasażerów.

– Jesteś naszą jedyną nadzieją – wyszeptała Irina zaskoczonemu Yingowi do ucha już po wylądowaniu w Skoworodinie. – Tu dzieje się coś strasznego, świat musi się o tym dowiedzieć albo to zatrzymać. 0070, w przeciwieństwie do swego sławnego poprzednika Jamesa Bonda, nie miał ani tak wielkiego doświadczenia z kobietami, ani nie był bohaterem plotek na ten temat. Panna Moneypenny też nie rumieniła się i nie traciła rezonu na jego widok. Robiąc doktorat z biologii molekularnej i zaawansowanych technik komputerowych, a także przechodząc wszystkie szczeble szkolenia SAS, nie miał w sprawach damsko-męskich wielkiego doświadczenia.

Irina w skrócie powiedziała mu, że będąc osobistą sekretarką Rebrikova, zorientowała się w prawdziwej naturze badań naukowca i teraz chce zaalarmować świat.

– Ze Skoworodina, gdzie przebiega Siła Syberii, do Jakucka na północy jest tysiąc km, ale to już dla nas żadna odległość – mówił Rebrikov, który czekał już na miejscu na swoich gości. – I połączymy te dwa miejsca – dodawał w czasie podróży – po co, zobaczą panowie na miejscu. Po kilku godzinach zaprowadzono ich do niewielkiego budynku, który mimo że wyglądał jak rozsypujący się baraczek, pod ziemią skrywał kilka kondygnacji.

– Znajdują się panowie – objaśniał Rebrokov – w pośrednim węźle łączności między serwerownią zlokalizowaną w starych instalacjach wojskowych w Jakucku a stacją pomp Siły Syberii w Skoworodinie. – Siła Syberii nie dlatego jest silna – zaśmiał się Rebrikov – że będzie tłoczyć gaz, to

eprasa.pl df468be33c

bajka dla naiwnych, ale dlatego, że razem z Chińczykami zbudowaliśmy pod osłoną gazociągu najnowocześniejszą światową magistralę światłowodową, dzięki której skomputeryzowane Chiny będą mogły przesyłać i gromadzić biliony terabajtów danych w bezpiecznych, chłodzonych wieczną zmarzliną, a przez to nieemitujących takiej ilości ciepła, więc trudnych do wykrycia z powietrza, serwerowniach zbudowanych przez nas w Jakucku. Witamy w nowym centrum świata – uśmiechnął się Rebrikov. – Zapraszamy rządy, które panowie reprezentują, i firmy z waszych krajów do współpracy. Serwery, światłowody, komputery to tylko narzędzia, którymi się posłużymy – dodał Rebrikov. – Aby dowiedzieć się, co zamierzamy zrobić, zapraszam panów do Pekinu.

* * *

– Testowany przez nas w czasie pierwszej fazy pandemii COVID-19 system rozliczeń – mówił zgromadzonym chudy Chińczyk, który przedstawił się jako Deng, główny doradca prezesa Banku Ludowego Chin – umożliwia nie tylko rozliczenie wszystkich transakcji natychmiast w czasie rzeczywistym, ale eliminuje z rynku banki. Kiedy już uruchomimy nowy system, nie będą potrzebne banki pośredniczące w transakcjach, nie będziemy musieli posiadać w nich rachunków ani zabiegać o kredyty. Wystarczą dwa szczeble tej drabiny – obywatele mający aplikacje rozliczeniowe w swoich telefonach i bank centralny dysponujący możliwościami obliczeniowymi, zdolnością do przesyłania i gromadzenia danych i odpowiednią liczbą podpiętych do nich klientów. Kapitał przestanie nami rządzić, zwłaszcza kapitał z Zachodu. Nie będziemy musieli obawiać się sankcji i odłączenia od światowych systemów rozliczeniowych. Londyn, Frankfurt i Nowy Jork przestaną być światowymi stolicami finansów – uśmiechnął się Chińczyk. – Staną się niepotrzebne. Nasz system będzie tańszy, bezpieczniejszy, wygodniejszy, ale też i znacznie bardziej dla wszystkich przyjazny. Nawet ludzie na Zachodzie będą chcieli pozbyć się rządzących nimi bankierów. Nasze platformy internetowe, takie jak Alibaba, staną się bardziej konkurencyjne i wygrają. Będziemy symbolem nie tylko nowoczesności, ale również świata bez wyzysku, bez dominacji kapitału, prostych uczciwych relacji, swobody wyboru w sieci, bez dominacji Ameryki – zakończył swe wystąpienie z błyskiem w oku chiński ekspert.

– Jest tylko jeden warunek sukcesu panowie – uzupełnił Rebrikov – oczywiście obok bezpieczeństwa przesyłu i gromadzenia danych, ale to gwarantuje nam Siła Syberii. Nowy system musi mieć odpowiednią liczbę klientów już na starcie. A to zapewnia nam udział w nim państw BRIKS, w których mieszka prawie połowa ludności świata i zaangażowanie największych chińskich platform e-komercyjnych.

0070, słuchając tych słów, ściskał w kieszeni pendrive'a, który rudowłosa Irina dyskretnie wcisnęła mu do ręki w czasie lotu, mówiąc, że udało jej się skopiować korespondencję Rebrikova na temat projektu Sputnik VI, i błagając go, aby zaalarmował świat.

* * *

– Jesteś James – odezwała się szefowa na widok agenta 0070 wchodzącego do jej gabinetu. – Świetna robota, dane i informacje, które przywiozłeś, otworzyły oczy wielu ludziom. Londyńskie City ma u ciebie dług nie do spłacenia – siadaj, zaraz zaczyna się transmisja ze Skoworodina.

Na jednym z kilku monitorów wiszących naprzeciw wielkiego biurka szefowej ukazał się dobrze znany 0070 obraz syberyjskiej mieściny, któremu w tle towarzyszyła rozemocjonowana opowieść rosyjskiego reportera relacjonującego wielką katastrofę, jaka zdarzyła się w jednej z przepompowni rosyjskiego gazociągu. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że nie zadziałały, z nieznanych na razie powodów, relacjonował dziennikarz, automatyczne systemy zabezpieczeń i gazociąg po prostu wybuchł razem z sąsiednimi stacjami pomp. Pożar dopełnił destrukcji. W sporej części Skoworodino przestało istnieć. – Obserwatorzy – dodawał reporter – mówią też o serii wybuchów na północy, w stronę Jakucka wzdłuż drogi A 360, co wydaje się o tyle dziwne, że tam przecież nie było żadnych instalacji przesyłowych, ale wiadomo, nieszczęścia chodzą parami – filozoficznie konkludował dziennikarz.

– Możesz sobie pogratulować James – powiedziała szefowa. – Kolejna misja zakończona sukcesem.

* * *

W tym samym czasie na piątym piętrze, w bocznym skrzydle kremlowskiej administracji, dało się słyszeć odgłos otwieranego szampana. Denis Rebrikov, z butelką taittingera w rękach, a tylko bliscy mu ludzie wiedzą, że wybrane roczniki tego trunku zachowywał na specjalne okazje, kierując się nie tylko smakiem, ale też jak lubił mówić, „przesłaniem" ideowym twórcy marki, który we Francji w czasie wojny kolaborował z okupantem, zwracał się do kilkuosobowej publiczności.

– Wszystko stało się tak, jak zaplanowałeś, James – zwracał się do siedzącego w fotelu mężczyzny ze szklaneczką w ręku, który z trudem próbował ukryć lekkie drżenie swej prawicy, będące skutkiem wielkiej liczby wypitych „wstrząśniętych, nie zmieszanych". – Siła Syberii, która nie miała szans nigdy stać się rentowna, w sporej części została zniszczona i po drobiazgowej analizie kosztów, zwłaszcza wobec rozwoju odnawialnych źródeł energii, Gazprom, oczywiście z bólem – zaśmiał się Rebrikov – podejmie decyzję o nieodbudowywaniu gazociągu. Będzie to tym łatwiejsze, że szkody pokryją zachodnie towarzystwa ubezpieczeniowe. A zrobią to tym chętniej, bo dostaną dyskretną zachętę zarówno od własnych rządów, jak i z sektora bankowego. Naszym interesom to i tak nie zaszkodzi, bo tylko naiwniak mógł przypuszczać, że położymy strategiczny światłowód obok gazociągu. Zresztą to, że 0070 miał zaburzone poczucie rzeczywistości, jest w dużej mierze twoją, Irina, zasługą – powiedział Rebrikov, zwracając się do rudowłosej piękności siedzącej za Bondem. Prezentacja w Chinach zrobiła na naszych kolegach z BRIKS wielkie wrażenie i już trwają rozmowy nad przyłączeniem ich krajów do systemu rozliczeniowego przyszłości. I jest tak jak mówiłeś, James – dotarli już do nas pierwsi emisariusze z City i Wall Street, którzy też chcieliby się znaleźć po stronie zwycięzców. Brawo, James, wznoszę toast za twoje zdrowie i za Sputnik VI.

eprasa.pl df468be33c



Najważniejsze, abyśmy nie tracili ducha

Jesteśmy narodem, gdzie święta stanowią silną tradycję spotkań, kolędowań, obdarowywań prezentami. Tego niepowtarzalnego klimatu nie tworzy choinka, prezenty czy kolędy w tle, ale bliscy, przyjaciele, rodzina. I tego na pewno będzie w tym roku brakować najbardziej

***Z Łukaszem i Pawłem Golcami** rozmawia Dorota Łosiewicz*

Czas pandemii dotknął artystów szczególnie mocno. Odwołane koncerty, widowiska, trasy. Niektórzy postanowili zmienić zawód, by mieć za co żyć. Jak pandemia zmieniła życie ludzi, którzy z wami współpracują, wasze życie?

Łukasz Golec: Czas pandemii jest dotkliwy nie tylko dla świata artystycznego, lecz również dla wielu innych gałęzi gospodarki. Oczywiście branża rozrywkowa jest na samym końcu tego „gospodarczego łańcuszka". Pierwsza została zamrożona i pewnie ostatnia zostanie odmrożona, co nie napawa nas optymizmem. Uwidacznia to kruchość naszego zawodu, niepewność i fakt, że sztuka czy rozrywka są dodatkowym „luksusem", bez którego można żyć.

Paweł Golec: To bardzo trudny czas, zwłaszcza dla naszych współpracowników – muzyków, aranżerów, realizatorów dźwięku, operatorów kamer i twórców wizualizacji, operatorów światła, kierowców, techników – czyli pracowników szeroko rozumianej scenotechniki. Większość z nich ma zaciągnięte kredyty, leasingi na sprzęt, ma na utrzymaniu pracowników i ro-

eprasa.pl df468be33c

dzinę. Nikt z nas jeszcze w lutym nie przypuszczał, że zostanie nam odwołanych ponad 80 zaplanowanych koncertów.

Ł.G.: W sezonie koncertów plenerowych, kiedy było poluzowanie obostrzeń, mieliśmy nadzieję, że uda się zagrać chociaż część z zaplanowanych koncertów. Niestety tak się nie stało, a zdarzało się nawet, że organizator odwoływał koncert dzień przed wydarzeniem. Dlatego trudno się zgodzić z zarzutem – dlaczego nasi pracownicy nie szukali pracy w innych branżach? Dlatego, że musieli być dostępni i gotowi na koncerty, które nie z naszej winy się nie odbyły.

Czy pandemia na trwałe zmieni sztukę?

Ł.G.: Jestem pewien, że tak. Zmieni się najpewniej podejście, kontekst, perspektywa i odczucia, a co za tym idzie – artystyczna ocena rzeczywistości. Świat już nie będzie taki sam. Mówi się, że będziemy teraz dzielić czas na ten przed pandemią i na ten po pandemii. Skutki ekonomiczne kryzysu pewnie jeszcze długo będziemy odczuwać jako społeczeństwo. Sztuka z pewnością na tym mocno ucierpi, gdyż w dużej mierze bez wsparcia finansowego trudno będzie o jej rozwój.

P.G.: Patrząc z perspektywy twórcy, trudno kreować sztukę, kiedy wokół tyle obaw, strachu, dramatów, cierpienia, agresji i frustracji. Dla artysty to czas, kiedy wielu z nich przebranżawia się, aby przeżyć, lub żyje z oszczędności. Zdajemy sobie sprawę, że nasz zawód w tym momencie jest zajęciem z góry skazanym na czasowy niebyt. To przecież naturalne, że przeciętny Kowalski skupia się na zapewnieniu sobie podstawowych potrzeb życiowych, a na samym końcu będzie myślał o przyjemnościach, jak wyjście do teatru, opery, na wystawę czy koncert.

Ł.G.: Ale zauważyliśmy też, jak bardzo ludzie są spragnieni rozrywki, wyjścia do kina, teatru czy na koncert, obcowania z czymś, co mogłoby ich oderwać od szarości i wszechobecnego lęku, co dałoby im możliwość spotkania się z inną rzeczywistością z drugim człowiekiem. I to właśnie jest rolą sztuki czy szeroko rozumianej rozrywki. Mamy nadzieję, że ten niełatwy czas nie wydrąży na stałe dziury w twórczej sferze, a będzie tylko pretekstem do kreowania nowych, ciekawych wizji artystycznych. Wierzymy, że kiedyś to się skończy i jeszcze będzie pięknie.

Zmieniło się życie zawodowe, a jak pandemia zmieniła życie waszej rodziny?

P.G.: Teoretycznie dom stał się teraz biurem, szkołą i miejscem, gdzie przebywamy z sobą cały czas. Musieliśmy się nauczyć nowej organizacji czasu i przestrzeni. Dzielę się z żoną Kasią opieką nad dwiema córkami. Młodsza, Ania, dzielnie znosi zdalne nauczanie, ale wiadomo, że dla siedmiolatki spędzanie czasu szkolnego przed ekranem jest nie lada wyzwaniem. Staram się jej pomagać w nauce, ale też zdaję sobie sprawę, że dziewczyny potrzebują odreagowania. Dlatego w tym roku dużo czasu spędzaliśmy na szlakach górskich w ukochanych Beskidach.

Ł.G.: Wydawałoby się, że skoro nie koncertujemy, to mamy więcej czasu dla rodziny. A ja mam wrażenie, że odkąd w marcu ogłoszono lockdown, u nas zajęć przybyło. Najpierw musieliśmy obrać strategię, jak ratować firmę, które projekty kończyć, w które wchodzić, a z których zrezygnować. Ale były i dobre strony zamknięcia. Takim efektem „ubocznym" było powstanie singla pt. „Przyjdzie czas", „Wszystko będzie dobrze", udział w kilku koncertach telewizyjnych czy zrealizowanie dwóch dużych projektów „Symphoethnic" i „Kolędowanie z Janem Pawłem II".

P.G.: Nasza czujność była i nadal jest w dużej mierze skierowana na mamę Irenę. Ponieważ jest w grupie ryzyka, ma 81 lat i choruje na cukrzycę, bardzo martwiliśmy się i nadal drżymy o jej zdrowie. Na szczęście jej góralski temperament i pozytywne nastawienie do świata dają nam nadzieję, że dzielnie zniesie wszelkie niedogodności.

> Zawsze przy stole wigilijnym w naszym domu rodzinnym tata podsumowywał rok – czy był rokiem urodzajnym, na którym z naszych poletek ziemia dobrze obrodziła, a gdzie w przyszłym roku będziemy sadzić i siać. Bo święta u nas w domu to czas podsumowań i snucia planów na przyszłość

Wspomnieliście kolędowanie z Janem Pawłem II. Dlaczego to na Ojca Świętego padł wybór?

Ł.G.: Projekt pt. „Kolędowanie z Janem Pawłem II" powstał z okazji jubileuszu 100-lecia jego urodzin. To dla nas wyjątkowy materiał, gdyż sam Ojciec Święty jest w naszym życiu ważną postacią. Jesteśmy pokoleniem JP2 i to jego słów słuchaliśmy podczas pielgrzymek do ojczyzny, to na spotkanie z nim podczas Dni Młodzieży w Częstochowie w 1992 r. szliśmy z Milówki z grupą ministrantów, to jego słowami, postawą, wiarą i przesłaniem inspirujemy się w swoim codziennym życiu. Tworząc ten projekt, chcieliśmy przybliżyć postać Jana Pawła II jako rodaka, który kochał śpiewać kolędy. W materiale, oprócz kolędowania, umieściliśmy krótkie rozważania Jana Pawła II na temat znaczenia kolęd w kulturze i tradycji polskiej.

P.G.: Od blisko dwóch lat zdobywaliśmy nagrania archiwalne z głosem śpiewającego kolędy Jana Pawła II. Dzięki zaangażowaniu zaprzyjaźnionego księdza Pawła Danka, uprzejmości kardynała Stanisława Dziwisza udało nam się zdobyć nagrania od

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df468be33c

siostry Tobiany (siostry zakonnej ze zgromadzenia Sercanek pracującej w Watykanie w czasie pontyfikatu Jana Pawła II). To zarejestrowane podczas wigilijnych i świątecznych kolędowań amatorskie nagrania z prywatnych spotkań z przyjaciółmi. Dzięki nowoczesnej technologii udało nam się „odrestaurować" materiał. Wykorzystaliśmy go w dziesięciu kolędach, do których powstały nowoczesne aranżacje. W każdej kolędzie solistą jest Ojciec Święty, a Golec uOrkiestra na przemian z nim koresponduje, tworząc unikatową formę kolęd.

Ł.G.: Zainspirowani tym eksperymentem zgodnie stwierdziliśmy, że do szczęścia brakuje nam tylko materiałów wizualnych. I ruszyła następna machina. Spod ziemi udało nam się wydobyć materiały wideo oraz wiele fotografii, nie tylko z prywatnych archiwów, lecz również z Telewizji RaiUno, z archiwum Telewizji Watykańskiej, z „ L'Osservatore Romano", Radia Watykańskiego, z Wydawnictwa Kruk, fotografie ze zbiorów Grzegorza Gałązki, Pawła Murzyna, Adama Bujaka czy materiały wideo z pielgrzymek Związku Podhalan. I tak powstała koncepcja koncertu telewizyjnego, który nagraliśmy w naszym rodzinnym kościółku parafialnym w Milówce. Podczas tego wydarzenia wystąpili z nami podopieczni Fundacji Braci Golec oraz nasze dzieci: Maja, Ania, Antosia, Bartek, Piotrek Golcowie. Emisja tego niecodziennego wydarzenia, na które już dziś zapraszamy, odbędzie się w Wigilię i Boże Narodzenie w Telewizji Polsat.

20 listopada premierę miało wasze dwupłytowe wydawnictwo CD/DVD pt. „Symphoethnic". Co to za projekt?

P.G.: To nowatorski projekt zrealizowany z orkiestrą symfoniczną przy udziale wybitnych wirtuozów gry na instrumentach etnicznych oraz czołowych artystów polskiej sceny muzycznej, takich jak Kuba Badach, Piotr Cugowski, Gromee, Bedoes, Andrzej Lampert i Krzysztof Trebunia-Tutka.

Czy łatwo było połączyć symfo z etno?

Ł.G.: To właśnie był najbardziej inspirujący, odkrywczy i ekscytujący moment w pracy nad tym projektem. Samo zderzenie rdzennych, urzekających swoją autentycznością unikatowych brzmień instrumentów etnicznych z subtelnym brzmieniem kwintetu smyczkowego czy potężnym brzmieniem instrumentów blaszanych zachwyca swoją zjawiskowością i nowoczesnością. Jednym słowem wywołuje dreszczyk emocji, a o to w muzyce chodzi.

> Jan Paweł II jest w naszym życiu ważną postacią. To jego słów słuchaliśmy podczas pielgrzymek do ojczyzny, to na spotkanie z nim podczas Dni Młodzieży w Częstochowie w 1992 r. szliśmy z Milówki, to jego postawą, wiarą i przesłaniem inspirujemy się w codziennym życiu

Jak długo powstawał ten projekt?

P.G.: Teoretycznie nad projektem pracowaliśmy sześć lat. W 2013 r. nasza piosenka „Młody maj" wygrała trzy główne nagrody podczas 50. jubileuszowego KFPP w Opolu, jedną z nagród było nagranie płyty z orkiestrą symfoniczną. To było impulsem do podjęcia tego trudnego wyzwania.

Ł.G.: Sami niejednokrotnie zasiadaliśmy za pulpitem w orkiestrze symfonicznej, znamy piękno i moc tej faktury, dlatego też dokładnie wiedzieliśmy, jak ten projekt ma wyglądać.

Skąd w ogóle taki pomysł?

P.G.: Lubimy eksperymentować, łączyć brzmienia, przekraczać granice w muzyce. Tworząc ten projekt, chcieliśmy przenieść słuchacza w inne muzyczne rejony po to, aby wzruszyć i ukazać szlachetność i bogactwo, jakim jest brzmienie orkiestry symfonicznej w połączeniu z najbardziej pierwotnymi dźwiękami dud, cymbałów, trombit, rogów, etnicznych piszczałek czy fujar, skrzypiec góralskich i białych głosów.

Ł.G.: W muzyce liczy się to, czy wywołuje w nas emocje, czy nas porusza. Bo tylko wtedy każdy z nas może odnaleźć w jej dźwiękach cząstkę siebie.

Który z utworów był najbardziej kłopotliwy, a który jest dla was symfoodkryciem?

Ł.G.: Wbrew pozorom najtrudniej było z naszymi największymi hitami. Zaaranżowanie „Ściernisca" tak, aby nie zatracić pierwotnej myśli i mocy, aby nie przytłoczyć ciężarem brzmienia, było nie lada wyzwaniem. Dlatego pomoc najlepszego polskiego producenta Gromee'ego była tutaj nieoceniona.

P.G.: Objawieniem z pewnością są aranżacje rodem z produkcji hollywoodzkich do piosenki „Słodycze", „Pędzą konie" czy „Tanga góralskiego".

Pracujecie wciąż razem. Nie macie siebie dość?

P.G.: Jak widać, po 22 latach działalności wciąż z sobą rozmawiamy.

Ł.G.: Jak w każdej relacji braterskiej są lepsze i gorsze dni, ale najważniejsze, że wciąż chcemy szukać kompromisów, że potrafimy się wzajemnie pozytywnie nakręcać.

Podobno relacja bliźniaków często bywa toksyczna.

Ł.G.: To chyba jesteśmy wyjątkiem od tej reguły.

Rozmawiamy przed świętami Bożego Narodzenia. Myślicie, że ze względu na pandemię będą znacząco inne?

P.G.: Jesteśmy narodem, gdzie święta stanowią silną tradycję spotkań, kolędowań, obdarowywań prezentami. Tego niepowtarzalnego klimatu nie tworzy choinka, prezenty czy kolędy w tle, ale bliscy, przyjaciele, rodzina.

eprasa.pl df468be33c



Koncert „Kolędowanie z Janem Pawłem II”

I tego na pewno będzie w tym roku brakować najbardziej.

Ł.G.: Pewnie wiele osób spędzi święta samotnie. A to czas, w którym radość powinna przepełniać nasze serca, bo przecież narodził się Ten, który obdarza nas nadzieją.

Z czym kojarzą wam się święta Bożego Narodzenia? Bez czego nie można się obejść?

Ł.G.: Dla mnie święta Bożego Narodzenia kojarzą się z czasem pełnym radości, ciepła i rodzinności, ale również takiego zatrzymania, wyciszenia i odpoczynku. Zawsze przy stole wigilijnym w naszym domu rodzinnym tata podsumowywał rok – czy był rokiem urodzajnym, na którym z naszych poletek ziemia dobrze obrodziła, a gdzie w przyszłym roku będziemy sadzić i siać. Bo święta u nas w domu to czas podsumowań, wyciągania wniosków i cichutkiego snucia planów na przyszłość...

P.G.: Trudno wyobrazić sobie święta bez śpiewania kolęd, śmiechu dzieci, radości z prezentów i celebrowania wspólnie tego radosnego czasu. Bez degustacji wszystkich 12 potraw na stole wigilijnym i bez pasterki. Pandemia wywróci w pewnym stopniu naszą polską tradycję, ale najważniejsze, abyśmy nie tracili ducha i wierzyli, że kolejne święta będą już normalne.

Jaki rodzaj prezentów pod choinką cieszy was najbardziej?

P.G.: Najlepszym prezentem będzie radość, że wszyscy możemy się spotkać i że jesteśmy zdrowi.

Ł.G.: Święta to nie tylko prezenty, lecz głównie bycie razem i wdzięczność Bogu za to, co się posiada.

O czym najbardziej lubicie śpiewać?

Ł.G.: O życiu, bo to ono dostarcza nam najwięcej powodów do pisania i tworzenia. Na przestrzeni 22 lat naszej działalności stworzyliśmy około stu piosenek. Może to dużo, może mało, ale każda z nich o czymś opowiada, każda dotyka jakiejś historii, wyraża jakąś myśl i emocję, opisuje rzeczywistość. Niejednokrotnie teksty zawierają treści humorystyczne, autoironiczne, ale są również piosenki, które skłaniają do zadumy, refleksji. Tak jak muzyka, tak również tekst zmieniał się na przestrzeni tych 22 lat. Zmieniamy się, ewoluujemy, a to przekłada się na naszą twórczość. To życie i rzeczywistość inspirują nas do tworzenia.

P.G.: Fantastycznie, że udało nam się zdobyć zaufanie wielu słuchaczy, że teraz, kiedy nie możemy koncertować, dostajemy od nich słowa wsparcia, piszą, że tęsknią za koncertami live i słuchają płyt. Wielu słuchaczy utożsamia się z naszymi tekstami, czerpie z nich radość i motywację. To dla nas największa nobilitacja. Bo muzyka potrafi dodać wiary i dystansu. A tego chyba wszystkim nam dzisiaj potrzeba.

Fot. Materiały prasowe/Polsat

eprasa.pl df468be33c

Świąteczne życzenia od wroga

Rozejm bożonarodzeniowy był wyjątkowym zjawiskiem, momentem humanitarno-religijnej refleksji pośród apokalipsy, jaką była I wojna światowa na froncie zachodnim. W Wielkiej Brytanii oraz we Flandrii powstały pomniki upamiętniające to wydarzenie. Jeden z nich nawiązuje do rozegranego przez żołnierzy zwalczających się armii futbolowego meczu. Do dziś składane są przed nim na pamiątkę właśnie piłki nożne

Z prof. Janem Rydlem rozmawia Piotr Słabek

24 grudnia 1914 r. w okopach pod Ypres w Belgii żołnierze wrogich armii, Niemcy i Brytyjczycy, spontanicznie zaprzestali działań zbrojnych, opuścili okopy, wspólnie śpiewali kolędy, a nawet grali w piłkę. Wydarzenia te przeszły do historii jako rozejm bożonarodzeniowy. Jakie były przyczyny tego wyjątkowego zdarzenia?

Jan Rydel: Mówiąc o przyczynach tego rozejmu, trzeba mieć na uwadze wydarzenia poprzednich miesięcy. Wojna rozpoczęła się w sierpniu 1914 r., a żołnierze szli na front niesieni entuzjazmem społeczeństw. Świadczą o tym autentyczne, nieinscenizowane zdjęcia i kroniki filmowe pochodzące z wielu krajów. W Berlinie pogodnie nastrojeni żołnierze wyjeżdżający na front byli żegnani przez rozradowane tłumy. To samo działo się w Rosji i we Francji. Każdej ze stron wydawało się, że wojna będzie trwała krótko i zakończy się zwycięsko.

W następnych tygodniach wydarzenia na frontach doprowadziły do przekreślenia tych nastrojów. W pierwszej kolejności doświadczyli go Francuzi. Załamały się wszystkie ich wielkie, ofensywne plany, ów attaque à outrance. Niemcy zaczęli podchodzić pod Paryż. Po bitwie nad Marną, gdzie zatrzymano Niemców, starcie zaczęło się przeradzać w wojnę pozycyjną. Szacuje się, że do końca 1914 r. w ciężkich walkach zginęło ok. 300 tys. Francuzów i podobna liczba Niemców.

Wojna pozycyjna na froncie zachodnim trwała od jesieni 1914 r., przerywana przez krwawe zrywy, w których za cenę dziesiątek, a nawet setek tysięcy zabitych (Verdun, Somma) posuwano się o parę kilometrów. Taka wojna była w Europie zjawiskiem nowym, nie spodziewano się, że uformuje się 750-kilometrowy front ciągnący się od granicy szwajcarskiej aż do kanału La Manche, a ludzie, okopani w odległości 50–150 m od siebie, będą się nawzajem zabijać, trwając tak przez lata. Było to bardzo trudne doświadczenie dla żołnierzy i oficerów



eprasa.pl/df468be33c

frontowych, wywołujące w pierwszych miesiącach zmagań ogromne poczucie bezradności, ale też wielkie wyczerpanie.

W tej sytuacji nastrój świąteczny, czy raczej wspomnienia świąt Bożego Narodzenia w domu, myśl o rodzinie świętującej bez ich udziału, bardzo silnie poruszała żołnierzy. Po obu stronach frontu znany był również apel papieża Benedykta XV o zawarcie rozejmu w trakcie świąt Bożego Narodzenia, skierowany do walczących stron. Nie jest jednak jasne, na ile ten apel dotarł do okopów, wszak żołnierze brytyjscy i niemieccy, którzy zainicjowali spontaniczne rozejmy, w znacznej większości nie byli katolikami. Faktem jednak jest, że dokładnie w dni świąt Bożego Narodzenia 1914 r. doszło na froncie zachodnim do zupełnie niespodziewanych, bez jakiejkolwiek inicjatywy ze strony dowódców, licznych przypadków uzgadniania lokalnych rozejmów i bratania się żołnierzy. Przebiegały one spontanicznie, wzdłuż całego frontu, choć głównie koncentrowały się we Flandrii, na pograniczu belgijsko-francuskim, pomiędzy Ypres i Arras na kilkudziesięciokilometrowym odcinku walk.

Co ciekawe i potwierdzone przez współczesne badania, do rozejmu po stronie ententy najbardziej chętni byli Brytyjczycy, znacznie natomiast mniej Francuzi czy Belgowie. Tłumaczy się to nastrojami: Belgowie byli wściekli z powodu tego, że Niemcy napadli ich neutralny kraj, którego ostatnich ledwie skrawków bronili. Francuzi również mieli świadomość tego, że z ogromnym trudem bronią ziemi francuskiej, dlatego nie mieli cienia sympatii dla „niemieckich napastników". Znaczna większość żołnierzy z tych krajów nie przezwyciężyła negatywnych emocji. Brytyjczycy natomiast nie walczyli o być albo nie być swojej ojczyzny. Mieli również charakterystyczny dla Anglosasów „duch sportsmenów", każący nawet i wojnę, przynajmniej na początku, traktować jako rodzaj sportowej rywalizacji. Dlatego byli oni bardziej skłonni do zawieszenia broni.

Także po niemieckiej stronie były pod tym względem różnice. Jak wiadomo, armia niemiecka nie była w pełni jednolita. W jej skład, oprócz największej armii pruskiej (wraz z w pełni zintegrowanymi kontyngentami różnych krajów i kraików północnoniemieckich), wchodziły odrębne armie bawarska, saska i wirtemberska. W miejscach rozejmu zazwyczaj nie było Prusaków, lecz właśnie oddziały bawarskie i saskie. Zdarzają się nawet interpretacje, jakoby angielscy żołnierze mówili o Sasach, że są przecież w pewnym sensie krewniakami Anglosasów, w przeciwieństwie do Prusaków.

Należy przy tym pamiętać, że w 1914 r. działała w pełni już rozwinięta propaganda wojenna przedstawiająca przeciwników jako okrutników i zbrodniarzy. Celowały w tym media brytyjskie i francuskie, ale i Niemcy przedstawiali przeciwnika jako ohydnego i podstępnego wroga. Żołnierze byli więc rozdarci pomiędzy obawami względem tego malowanego w najczarniejszych barwach, zdradzieckiego wroga a potrzebą wytchnienia związaną z Bożym Narodzeniem. Zarazem jednak bardzo nieliczne są relacje na temat sytuacji, w których nie udałoby się zawrzeć rozejmu lub żeby próby jego zawarcia spotkały się z ostrzelaniem. Jeśli do takich prób już dochodziło, zazwyczaj kończyły się pomyślnie.

Czy są jakieś dane mówiące o tym, jaka liczba żołnierzy brała udział w tych rozejmach?

Nie dysponujemy danymi liczbowymi, ale angielskie źródła potwierdzają to zjawisko. Coś było na rzeczy, skoro brytyjskie dowództwo przed sylwestrem ostro potępiło przykłady rozejmów, grożąc dyscyplinarnymi karami i sądem polowym. Natomiast prasa brytyjska dostrzegła w rozejmie wyjątkowe i pozytywne zjawisko i szeroko o nim donosiła. Nawet „New York Times" publikował korespondencje mówiące o spontanicznych zawieszeniach broni. W pierwszych dniach po Bożym Narodzeniu również w niemieckiej prasie tu i ówdzie drukowano listy z frontu mówiące o tym zjawisku. W ciągu kilku dni niemiecka cenzura położyła na nich rękę, żeby nie osłabiać morale społeczeństwa.

Pomimo braków danych liczbowych można więc mówić o wielu tysiącach uczestników tych spontanicznych rozejmów.

W znacznej części relacji występuje następujący schemat: stroną inicjującą byli żołnierze niemieccy, którzy zaczynali ustawiać wzdłuż granic okopów choinki, śpiewać kolędy. Na to odpowiadali Anglicy, śpiewając swoje kolędy. Potem odbywało się wychodzenie z okopów, składanie życzeń, wymiana prezentów itd.

Tak, odbywało się to na różne sposoby, co świadczy o spontaniczności. Choinki, które na czas znalazły się w niemieckich okopach, dostarczyły organizacje charytatywne. Były to małe, składane sztuczne drzewka – miałem okazję widzieć ich przykłady na zdjęciach muzealnych – wysokości ok. 40 cm, od razu ustrojone i ze świeczkami. Niemcy dostawali na front setki takich choinek, tak więc mieli co pokazać. 24 grudnia zmrok zapadał bardzo wcześnie, Niemcy zapalili świeczki i wystawili choinki na przedpiersia okopów. Potem zaczęło się kolędowanie po jednej i po drugiej stronie. „Cicha noc" była już wtedy dobrze znana zarówno Niemcom, jak i Brytyjczykom, tak więc natychmiast można się było zorientować w intencjach tych śpiewów.

Wszyscy Brytyjczycy na święta otrzymali z kolei tzw. Prince Mary Gift, czyli specjalne, ozdobne puszki z czekoladą, tytoniem, fotografiami rodziny królewskiej i innymi drobiazgami umilającymi życie w okresie świąt. Były takie odcinki frontu – a jest to kolejny dowód na spontaniczność tego zjawiska – na których rozejm zaczynał się od tego, że żołnierze w dniu Wigilii wychodzili z okopów z białymi flagami, by zabrać i pochować ciała towarzyszy od wielu dni leżące na pasie ziemi niczyjej. Dopiero ten akt grzebania zmarłych, zgodny z Boskim nakazem i elementarnym poczuciem humanitaryzmu, wyzwalał w żołnierzach myśl o zaprzestaniu walki na czas Bożego Narodzenia.

Jak długo utrzymał się rozejm? Czy ograniczył się tylko do czasu świątecznego?

Przeważnie, gdy obie strony weszły na ziemię niczyją, oficerowie umawiali się, że nie będą strzelać do końca pierwszego dnia świąt, potem przeciągano to na drugi dzień. Później nie było już wspólnego świętowania na pasie ziemi niczyjej, ale też walki nie wybuchały od razu z dawną intensywnością. Jeszcze w sylwestra była wspólna salwa na wiwat.

Zetknąłem się z wyjątkową relacją mówiącą o pogrzebie poległych we wspólnych mogiłach i wspólnym nabożeństwie, z odśpiewaniem psalmu po niemiecku i po angielsku.

Tak, to poruszająca relacja, która dowodzi, że żołnierze mieli świadomość uczestnictwa w czymś absolutnie wyjątkowym, czymś moralnie budującym, co przenosi ich w inną rzeczywistość, będącą wytchnieniem od zabijania i nienawiści. To musiało rodzić w nich absolutnie ludzkie uczucia. I to fascynuje nas do dziś. Powstało kilka filmów poświęconych rozejmowi bożonarodzeniowemu. Najbardziej znany to „Boże Narodzenie" z 2005 r. Film nieco koloryzuje, ponieważ do wspomnianych brytyjsko-niemieckich rozejmów dołącza jeszcze Francuzów, upiększając trochę rzeczywistość.

Rozejm bożonarodzeniowy był rzeczywiście wyjątkowym zjawiskiem, momentem humanitarno-religijnej refleksji pośród apokalipsy, jaką była I wojna światowa na froncie zachodnim. W Wielkiej Brytanii oraz we Flandrii powstały pomniki upamiętniające to wydarzenie. Jeden z nich nawiązuje do rozegranego przez żołnierzy meczu i do dziś składane są przed nim na pamiątkę właśnie piłki nożne.

Stosunek do rozejmów bardzo się różnił w zależności od hierarchii wojskowej. Najchętniej bratali się szeregowcy, później oficerowie, natomiast najwyższe dowództwo w ogóle nie brało w nich udziału i było im przeciwne. W armii niemieckiej w którymś momencie oddziały saksońskie zostały wycofane, a ich miejsce zajęły oddziały pruskie...

Tak, to było po tym, jak dowództwo dostrzegło „zgubny" charakter tych rozejmów i miało pod ręką rezerwy pozwalające zmienić żołnierzy na linii frontu. Kwestia różnego nastawienia do rozejmów w zależności od rangi wydaje się zupełnie zrozumiała. Oficerowie, którzy razem z żołnierzami siedzieli w okopach, byli wystawieni na mniej więcej te same warunki życia



Pomnik rozejmu bożonarodzeniowego przed zbombardowanym przez Niemców w 1941 r. kościołem w Liverpoolu

Fot. na poprzedniej rozkładówce Everett Collection/Shutterstock.com

Fot. John B Hewitt/Shutterstock.com

eprasa.pl/d468bc39c

i zagrożenia. Musieli się liczyć z nastrojami ludzi, którzy tygodniami trwali obok nich na mrozie i w błocie, a których emocje i frustracje znali.

Czy moglibyśmy wysunąć tezę, że dla ówczesnych społeczeństw czas Bożego Narodzenia był czymś wyjątkowo ważnym i to przede wszystkim miało znaczenie dla tych spontanicznych rozejmów?

Historycy rzeczywiście uważają, że w kulturze brytyjskiej i niemieckiej Boże Narodzenie było i jest szczególnie ważnym momentem, natomiast we Francji odgrywa relatywnie mniejszą rolę, co z pewnością jest też efektem laicyzacji społeczeństwa francuskiego widocznej już na przełomie XIX i XX w. Tym tłumaczy się mniejszą wśród Francuzów niż wśród Brytyjczyków i Niemców gotowość do zaznaczenia wyjątkowości dni Bożego Narodzenia. Wydaje się jednak, że aby takie rozejmy mogły dojść do skutku, spełnione musiały być określone praktyczne warunki, a mianowicie ustabilizowany przez dłuższy czas front i bliskość wrogich okopów, dzięki której można było się porozumieć głosem, a przynajmniej dokładnie obserwować zachowanie przeciwnika. W trakcie II wojny światowej nic podobnego się nie działo.

Czy do rozejmów dochodziło również w następnych latach wojny?

Znanym mi przypadkiem były rozejmy i wspólne śpiewanie kolęd w 1915 r. na froncie włoskim między Włochami i Austriakami. Były one tam częste, ale nie miały intensywności rozejmów z 1914 r. Na froncie zachodnim były w 1915 r. pewne próby, ale zawieszenie broni już się nie powtórzyło, groziły za nie surowe kary. Możemy jednak mówić o znacznie szerszym zjawisku spontanicznego unikania walki, czy raczej wzajemnego zabijania się, według zasady live and let live, które działo się na wielu frontach wojny i o każdej porze roku.

Na czym ono polegało?

Badania na temat tego niezwykłego, lecz rozpowszechnionego zjawiska pojawiły się w gruncie rzeczy dopiero w XXI w. Mianem live and let live – „żyj i pozwól żyć" określa się mechanizm psychologiczny oparty na niewerbalnych porozumieniach między żołnierzami. Zjawisko dotyczyło stabilnych odcinków frontu, na których nie działo się nic szczególnego. Jak wiemy, na froncie zachodnim, jeśli nie odbywała się w danym rejonie jedna z krwawych ofensyw, które zresztą po Verdun i Sommie stały się rzadsze, panował ustalony stan wojny pozycyjnej. Żołnierze dochodzili w takich warunkach po prostu do wniosku, że nie ma sensu się zabijać. Zaczynało się od wstrzymywania ostrzału w porze obiadowej. Później niepisaną regułą było nakłanianie własnych artylerzystów do niecelnego ostrzału. Piechocie w okopach przydzielano obserwatorów artyleryjskich, którzy mieli sterować ogniem artylerii tak, aby skutecznie razić wroga. Żołnierze piechoty nakłaniali owych artylerzystów, m.in. poprzez specjalną troskę o ich zdrowie, zwiększone racje żywnościowe itp., by nie nakierowywali ognia dział zbyt precyzyjnie na nieprzyjacielskie okopy. Wiedzieli bowiem, że spotkałoby się to niechybnie z odwetem drugiej strony i chcieli tego uniknąć. Tak więc obie artylerie okresowo strzelały jedynie po to, aby wyższe dowództwo słyszało huk wystrzałów i eksplozji i myślało, że wojna trwa. Podobne zjawisko dotyczyło strzelców wyborowych, którzy w czasie I wojny światowej mieli za zadanie w ukryciu czatować na kogokolwiek, kto nieopatrznie wychyliłby się z okopu. Owi snajperzy strzelali, bo musieli, czynili to jednak, wielokrotnie celując dokładnie w to samo neutralne miejsce, ten sam pieniek czy kawałek muru, żeby pokazać, że są na miejscu, ale że nie mają zamiaru nikogo zabijać.

Czy podobne zjawiska działy się na froncie wschodnim?

Niestety nie. Do rozejmów bożonarodzeniowych nie doszło ze względu na inną datę świąt obchodzoną przez żołnierzy rosyjskich, poza tym front wschodni był znacznie bardziej ruchomy niż zachodni. Tylko tam, gdzie front był bardzo stabilny, można się było „zaprzyjaźnić" z przeciwnikiem z drugiej strony pasa ziemi niczyjej, co wymagało przecież kilku dni obserwacji, aby zauważyć oraz samemu dać nieprzyjacielowi do zrozumienia, że tylko udajemy, że chcemy go zabić. Potrzeba było czasu, żeby wytworzyć tę cichą, niewerbalną zgodę live and let live. Dynamika frontu wschodniego czyniła to znacznie trudniejszym.

Zachowała się piękna, chociaż powstała w zupełnie innych warunkach relacja z Łowczówka, z krwawej, zaciekłej bitwy pierwszej brygady Legionów. Wieczorem, po ciężkich walkach prowadzonych w Wigilię, podniosła się mgła i walki w końcu ustały. Legioniści zaczęli śpiewać kolędy, na które z rosyjskich okopów odezwały się wtórujące im polskie głosy. Były to oddziały syberyjskie, w których znajdowało się sporo Polaków. Wedle wielu relacji legioniści próbowali zachęcić rodaków do przejścia na stronę Legionów, lecz strzelcy, już po rosyjsku, odpowiedzieli, że nie ma mowy.

Na froncie wschodnim pod koniec wojny Niemcy zastosowali wyrafinowaną kampanię propagandową, mającą na celu rozkład armii rosyjskiej. Istniały specjalne oddziały kierowane na front, które przy użyciu megafonów i ulotek przez okopy dowodziły rosyjskim żołnierzom, że wszyscy są już wyczerpani wojną, i o tym, że trzeba się spotkać, porozumieć, zawrzeć pokój itd. Dochodziło wtedy do licznych aktów bratania się. Była to jednak ze strony niemieckiej wojna psychologiczna mająca na celu uderzenie w ducha walki rosyjskiej armii. Kto wie, czy ta niemiecka taktyka nie była w jakimś stopniu wynikiem analizy wydarzeń z początku wojny.



***Jan Lucjan Rydel** – historyk, profesor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki w Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie, były dyplomata. Jego zainteresowania badawcze obejmują historię stosunków polsko-niemieckich i polsko-austriackich XX-XXI w., a także historię wojskowości XIX-XX w. oraz międzynarodową politykę pamięci. Przewodniczący Komitetu Sterującego Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność*

eprasa.pl df468be33c

Jak Dyzma pokonał system

„Kariera Nikodema Dyzmy" nie była karierą jej autora, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza (na zdj.). Jednak i jeden, i drugi zakpili, jak nikt inny, z uciskającego ich ustroju. Jak to możliwe, że represjonowany dziennikarz stał się gwiazdą popularnej literatury?



WOJCIECH LADA

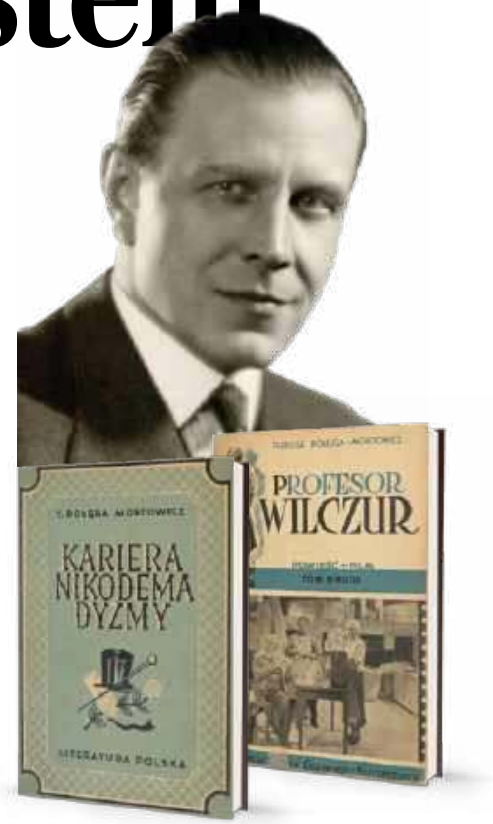
8 września 1927 r. Tadeusz Dołęga-Mostowicz wracał wieczorem do swojego mieszkania na warszawskiej Ochocie. Był młody – dobiegał dopiero trzydziestki – ale już cieszył się sporą renomą jako dziennikarz. Jak na człowieka, który pięć lat wcześniej wylądował w Warszawie zupełnie bez grosza, mieszkał w zagraconym pokoiku na Pradze i z trudem zdobył posadę zecera, wiodło mu się teraz całkiem nieźle. Nie wszystkim się to jednak podobało. Gdy ok. 23.30 zbliżał się do swojego domu przy ul. Grójeckiej, znienacka zaatakowało go siedmiu uzbrojonych w pałki osiłków.

„Grad uderzeń padł tak niespodziewanie, że red. Mostowicz, który nawet laski nie miał przy sobie, nie mógł wcale myśleć o obronie" – informowała dwa dni później „Rzeczpospolita". Jak pisano dalej, Mostowicza szybko obalono na bruk, bito dalej, po czym nieprzytomnego wrzucono na podłogę samochodu. Już ten szczegół mówi wyraźnie o tym, że napastnikami nie mogły być pospolite opryszki. Samochodów w Warszawie było wówczas jak na lekarstwo i z całą pewnością nie stać było na taki luksus pospolitego zbira. Ofiara ocknęła się, gdy auto było już gdzieś pośród podwarszawskich pól. „Leżał na spodzie samochodu, przygnieciony kolanami napastników, którzy wykręcili mu ręce, kopali nogami i w ogóle znęcali się nad nim. W usta porwanemu wtłoczono knebel z chustki do nosa" – donosił dalej dziennik.

Kiedy samochód dojechał na skraj lasu, Mostowicza wypchnięto do rowu, napastnicy „poczęli bezlitośnie bić go kijami, jednocześnie krzycząc: »A nie będzie tak pisał o Marszałku! Dziś ty dostałeś, jutro inni!«".

NIECENIONY, ALE WYCENIANY

„Jak się ktoś bierze do polityki, musi mieć twardą głowę" – mówił jeden z bohaterów filmu „Zezowate szczęście", okręcając bandażem niezbyt twardą głowę Bogumiła Kobieli, który nieopatrznie zagubił się w dwóch równoległych manifestacjach. W odniesieniu do realiów polskiego dwudziestolecia



Fot. East News, Biblioteka Narodowa

był to wyjątkowo celny komentarz, bo pobicia, aresztowania i tajemnicze zniknięcia należały do stałego repertuaru ówczesnej gry politycznej. Dołęga-Mostowicz doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Był wówczas komentatorem m.in. „Rzeczpospolitej", a jego uwagi dotyczące rządów po przewrocie majowym były więcej niż krytyczne. „Czy tak, czy owak, nie wchodząc w meritum różnic między faszyzmem a piłsudczyzną, trzeba przyznać, że istnieje jedna wyraźna: tam, w Rzymie, jawnie się przyznają do antidemokracji, tu w Warszawie, ta antidemokracja jest otoczona tajemnicą... poliszynela" – pisał kilka miesięcy wcześniej i wcale nie był to najmocniejszy z jego tekstów.

Jak więc doszło do tego, że dziennikarz o ostrym piórze, krytyczny wobec

eprasa.pl df468be33c

władzy – bardzo represyjnej, stosującej cenzurę i inne środki nacisku na publicystów – zaledwie cztery lata później będzie już największą gwiazdą polskiej literatury? Bywali oczywiście bardziej od niego cenieni, ale na pewno nie lepiej wyceniani. A Dołęga-Mostowicz w najkorzystniejszym dla siebie okresie zarabiał nawet do 15 tys. zł miesięcznie, co oznacza siedmiokrotność zarobków premiera polskiego rządu i piętnastokrotność pensji wojewody. Zresztą z tym cenieniem też bywało różnie. Wielkim entuzjastą jego pisarstwa był np. Witold Gombrowicz. „Zawsze wyrażał się ze szczerym szacunkiem o Tadeuszu Dołędze-Mostowiczu. Myśleli, że żartuje – literatura Dołęgi nie była najwyższego lotu. A jednak chyba szczerze zazdrościł mu pozycji i popularności. Dołęgę znała cała Polska. Był też uosobieniem samodzielności pisarskiej, którą Gombrowicz cenił i zawsze do niej dążył. Dołęga żył – i to luksusowo, wyłącznie z pisania" – pisała Joanna Siedlecka.

Jak więc do takich luksusów doszedł znienawidzony przez władze pisarz? Jak udało mu się wydać w ciągu ośmiu międzywojennych lat 17 powieści czytanych przez wszystkich – od pensjonarek po profesorów, a do tego tłumaczonych na obce języki? Odpowiedzi być może trzeba szukać właśnie 8 września 1927 r., gdzieś na bruku ul. Grójeckiej na warszawskiej Ochocie. Zauważył wówczas, że „dobitność publicystyczna jest niewystarczająca w zetknięciu z całkowicie dosłowną agresją" – jak opisał to Piotr Śliwiński. Zrozumiał, że w represyjnym systemie politycznym najbezpieczniej komentować politykę nie wprost, lecz za pośrednictwem ironii. Od czystej polityki postanowił więc przejść do political fiction, co ostatecznie okazało się i mniej bolesne, i znacznie bardziej lukratywne.

REPRESJE DO WYKORZYSTANIA

Dołęga-Mostowicz jak mało kto w tamtych czasach rozumiał pisarstwo w sposób bardzo nowoczesny. Wiedział, że chodzi w nim nie tylko o napisanie powieści dla jak najszerszego grona czytelników, ale też o wykreowanie wizerunku, który będzie mógł zainteresować media, prowokować plotki i kawiarniane dyskusje. Pierwszego asa włożyli mu do rękawa już sami sanacyjni urzędnicy – cieszył się opinią opozycyjnego publicysty, w dodatku poddanego represjom. Już to uczyniło go postacią znaną i interesującą. Dlatego też mógł z radości zacierać ręce, kiedy władze konfiskowały całe nakłady gazet, w których drukowane były w odcinkach jego kolejne powieści – jak choćby słynna „Kariera Nikodema Dyzmy", publikowana w „ABC". „Konfiskaty i represje cenzury spowodowały, że o powieści wiele mówiło się na mieście" – pisał jego biograf Józef Rurawski. Było to w 1931 r., kiedy więc rok później powieść ukazała się w formie książkowej, jej sukces był wręcz zawrotny.

> Dołęga-Mostowicz w najkorzystniejszym dla siebie okresie zarabiał nawet do 15 tys. zł miesięcznie, co oznacza siedmiokrotność zarobków premiera polskiego rządu i piętnastokrotność pensji wojewody. Bywali oczywiście wtedy bardziej od niego cenieni pisarze, ale na pewno nie lepiej wyceniani

O kolejny element swojego wizerunku zadbał już sam. Zbudował mianowicie wokół siebie intrygującą atmosferę tajemniczości. Prawie nie udzielał wywiadów, nie pisał wspomnień, unikał prezentowania choćby skrótowych notek biograficznych. „Niewiele mamy wiarygodnych materiałów do biografii najbardziej poczytnego w swoim czasie pisarza. Mostowicz niechętnie udzielał wywiadów. Nie robił sobie reklamy. To dzienniki zainteresowane publikowaniem jego powieści w odcinkach tworzyły wokół niego i jego twórczości aurę »niezwykłości«" – przyznawał Rurawski. Tak po prawdzie Mostowicz przypominał trochę „Wielkiego Gatsby'ego" z powieści Francisa Scotta Fitzgeralda – był ekscentrycznym bogaczem o niejasnej przeszłości. Tajemniczym i pociągającym. Kto zresztą wie, możliwe, że czytał Fitzgeralda. Pierwsze wydanie powieści ukazało się w 1925 r. Niestety o jego gustach literackich, podobnie jak o nim samym, nie mamy precyzyjnych informacji. Co więc wiemy?

Urodził się w 1898 r. w Okuniewie, w guberni Witebskiej, w rodzinie na tyle zamożnej, by chłopiec mógł przeżyć dzieciństwo sielskie i bezpieczne. Jego ojciec był prawnikiem, rodzina posiadała dworek i nic nie wskazuje na to, by w dzieciństwie młody Tadzio miał jakieś poważniejsze troski. „Fatalną właściwością moich dziecinnych marzeń i pragnień było, że wszystkie bardzo szybko urzeczywistniały się" – przyznawał w jednym z nielicznych wywiadów. Wiadomo, że czytał wówczas Karola Maya i Henryka Sienkiewicza, ale samo zestawienie tych nazwisk wskazuje, że bardziej niż emocje patriotyczne, które zazwyczaj wzbudzał ten drugi, akurat naszego bohatera interesował wątek przygodowy.

Jego osobista przygoda rozpoczęła się w 1917 r., wraz z wybuchem rewolucji październikowej, która oznaczała utratę rodzinnego majątku i konieczność przedostania się do Polski. Szczegółów znów nie znamy, ale biografowie sugerują, że do Warszawy dotarł drogą przez Finlandię i Szwecję. Jeśli dotąd nie wykazywał się przesadnie emocjami patriotycznymi, to najwyraźniej zmieniły to obserwacje poczynione w zrewoltowanej Rosji. Bo kiedy znalazł się w Warszawie, natychmiast zgłosił się do wojska i wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej, a po jej zakończeniu pozostał w armii co najmniej do 1922 r. Wtedy właśnie znalazł się bez pieniędzy i zawodu na warszawskim bruku.

eprasa.pl df468be33c



Roman Wilhelmi jako Nikodem Dyzma i Jerzy Bończak jako jego sekretarz Zygmunt Krzepicki, kadr z serialu „Kariera Nikodema Dyzmy", 1980 r.

Fot. East News

Co robił przez kolejne dwa lata – nie jesteśmy do końca pewni. Jedni twierdzą, że był zecerem, inni, że od razu próbował swoich sił w dziennikarstwie. Wiadomo jedynie tyle, że jego sytuacja poprawiła się wyraźnie w 1924 r., kiedy znalazł gościnę u swojego wuja, znanego profesora Politechniki Warszawskiej Zygmunta Rytla. Zbieżność w czasie sugeruje, że być może to przy jego pomocy Tadeusz już w styczniu roku następnego wszedł do zespołu redakcyjnego „Rzeczpospolitej".

Nawiasem mówiąc, to znacząca data również z innego powodu. Wtedy właśnie udziały w gazecie wykupił od Ignacego Paderewskiego Wojciech Korfanty, co bardzo wyraźnie wpłynęło na polityczne oblicze pisma. Z gazety typowo endeckiej – w której wychwalano np. przewrót faszystowski Mussoliniego we Włoszech – stała się wyraźnie centrowa i liberalna, choćby w kwestii podejścia do demokracji czy mniejszości narodowych. Taka opcja była młodemu publicyście zdecydowanie bliższa. Tym bardziej że jedno w gazecie zupełnie się nie zmieniło. Otóż Korfanty był nie mniejszym przeciwnikiem Piłsudskiego niż endecy.

ROZMNOŻONE BRYGADY

Włodzimierz Pietrzak określił Dołęgę-Mostowicza „Balzakiem cynizmu". I coś jest na rzeczy, choć nie najgorszym określeniem mogłoby być również „Kafka drobnomieszczaństwa". Choć sporo młodszy, należał do tego samego co Kafka pokolenia – a już na pewno bardziej niż do pokolenia Balzaka. Jego powieści zaludniali ludzie nieskończenie banalni, rzadko jednoznacznie źli czy dobrzy, częściej mniej lub bardziej głupi. Zawsze w każdym razie z góry przegrani w starciu ze strukturą państwa, które w tym okresie zaczęło istotnie coraz bardziej ingerować w życie prywatne obywateli. Pod tym względem ówczesna Polska tylko trochę różniła się od Czechosłowacji Kafki.

Dołęgę-Mostowicza najbardziej irytowało w rządach pomajowych przebudowanie modelu władzy na wzór wojskowy. Jest Naczelny Wódz, od którego rozrasta się w dół piramida kolejnych szczebli, coraz drobniejszej administracji – a całą tę piramidę tworzy hermetyczna grupa ludzi w wodza ślepo zapatrzonych. O patologii takiego systemu opowiada właśnie jego pierwsza powieść „Ostatnia brygada". Jej tytuł jest oczywiście nawiązaniem do historycznej Pierwszej Brygady, ale nie tylko. Jak w swoich wspomnieniach pisał gen. Marian Romeyko: „Trzy historyczne brygady legionowe nie były już w stanie wchłonąć masy »sympatyków«, powstawały więc »nowe brygady« jak mówiono IV, V itd., i zapisy wciąż trwały, przynależność bowiem opłacała się sowicie".

Powieści Dołęgi-Mostowicza to właśnie ironiczne komentarze do takiego stanu rzeczy. Oczywiście nie są to traktaty polityczne. Wirują tu romanse we wszelkich konfiguracjach, barwnie zmieniają się krajobrazy, pojawiają się wątki sensacyjne, czasem i szpiegowskie, a humor, którego tu pełno, bywa prześny, uliczny. I w tym tkwił od początku sukces Dołęgi-Mostowicza. Opisywał władzę z punktu widzenia kucharek, drobnych cwaniaków, urzędników niższego szczebla – wszystkich tych, którzy do żadnej z „brygad" nigdy się nie dostaną i doskonale zdawali sobie z tego sprawę. A że im bardziej represyjna władza, tym chętniej ludzie

eprasa.pl df468be33c

się z niej śmieją – Dołęga-Mostowicz błyskawicznie znalazł tysiące czytelników. Tym łatwiej że najbardziej karykaturalnymi z jego bohaterów są właśnie ci, którzy do owych „brygad" usiłują się wszelkimi sposobami dostać.

„Ostatnia brygada" jest jeszcze tekstem dość poważnym, ale literacko raczej przeciętnym. „Balzac portretuje dusze ludzkie w kłębowisku społecznym, Mostowiczowi chodzi o rysunek samego kłębowiska. I dlatego udaje się pamflet, nie udaje się literatura, nie całkowicie udaje się artyzm" – oceniał Pietrzak. Z artyzmem u Dołęgi-Mostowicza zawsze już było na bakier, ale chyba nie miał w tym kierunku żadnych ambicji. Jeśli jednak chodzi o wspomniane dusze, to z każdą powieścią szło mu coraz lepiej. I coraz zabawniej. O „Karierze Nikodema Dyzmy", najgłośniejszej ze swych książek, sam pisał: „Użyłem w powieści, w założeniu obyczajowej, techniki, którą z braku innego terminu nazwę techniką satyry podskórnej. Sprawia to, że powieść utrzymuje się na krawędzi między obrazem realistycznym a karykaturą".

I ulica śmiała się z tego dokładnie tak, jak jeszcze do niedawna, a może i do dziś, z filmów Stanisława Barei.

HONOR PLAYBOYA

Po pobiciu, jako felietonista polityczny, Dołęga-Mostowicz wyraźnie spuścił z tonu. Zresztą nie był nim już długo – ten etap życia zakończył pod koniec 1928 r., do publicystyki powracając zaledwie okazyjnie. Wydana rok później „Ostatnia brygada" była jeszcze umiarkowanym sukcesem, ale już „Kariera Nikodema Dyzmy" całkowicie zmieniła życie młodego pisarza. „Stała się pewnego rodzaju świętością narodową, której nie ośmieliła się zaatakować nawet krytyka reżimowa" – pisał Stefan Lichański. Od tego momentu publikował średnio dwie powieści rocznie, co, zważywszy na liczne przedruki prasowe, wiązało się z bardzo poważnym dopływem gotówki. Wyraźnie niechętny mu dziennikarz Stanisław Zbrucz opisywał ten fakt cokolwiek złośliwie, ale dając niezłe pojęcie o luksusie, w jakim żył najpopularniejszy wtedy polski pisarz:

„Miał piękne mieszkanie na Pięknej, bogate w akcesoria zamożności mieszczańskiej i ubogie w książki. Miał dwunastocylindrowego buicka, w myśl swej dewizy: »wolę buicka od pomnika«. Trzymał kucharza, lokaja i szofera. Ubierał się z angielska, wzorem dandysów z literatury i dyplomacji: nosił jasne kawowe meloniki i ubrania w stylu 1890, nie wychodził na ulicę bez parasola. Pełen pogardy dla snobizmu intelektualnego był ultrasnobem na punkcie honorów towarzyskich".

> Mostowicz jak mało kto w tamtych czasach rozumiał pisarstwo w sposób bardzo nowoczesny. Wiedział, że chodzi w nim nie tylko o napisanie powieści dla jak najszerszego grona czytelników, ale też o wykreowanie wizerunku, który będzie mógł zainteresować media, prowokować plotki i kawiarniane dyskusje

Jednak nawet w luksusie, jakim otaczał się Dołęga-Mostowicz, jest coś manifestacyjnego, prowokacyjnego względem władzy, której do końca szczerze nie znosił. Jego mieszkanie znajdowało się istotnie przy ul. Pięknej, ale na rogu z Al. Ujazdowskimi – a więc dosłownie dwa kroki od Sejmu, może kilkaset metrów od Belwederu. Spacerując ostentacyjnie w okolicach Łazienek albo jeżdżąc po Alejach drogim samochodem, musiał odczuwać satysfakcję, widząc zazdrosne spojrzenia polityków, którzy mieli być może jeszcze jakąś władzę, ale na pewno już nie nad nim. Nie wspominając o tym, że oni zarabiali grosze i byli nierozpoznawalni, on zaś rozdawał autografy tabunom przypadkowych przechodniów.

I choć kpił z frazesów o patriotyzmie, a zwłaszcza wielkich słów o honorze, do których deklamacji ustawiały się kolejki ówczesnych polityków, ostatecznie zachował się bardziej honorowo i patriotycznie niż w zasadzie każdy z nich. Kiedy we wrześniu 1939 r. do Warszawy zbliżały się wojska Wehrmachtu, kolumny rządowych samochodów ruszyły w kierunku Rumunii i wkrótce przekroczyły granicę. Dołęga-Mostowicz również ruszył w tym kierunku swoim buickiem. Był tak popularny i bogaty, że mógł kupić samolot albo statek i polecieć dosłownie gdziekolwiek. Jednak do granicy polsko-rumuńskiej nawet nie dotarł.

Na temat jego śmierci krążyły legendy, podobnie jak wcześniej na temat jego życia. W 1978 r., po ekshumacji jego zwłok, prawdziwą okazała się ta, przekazana jeszcze w 1947 r. przez Janusza Minkiewicza: „Zatrzymał się w przygranicznym miasteczku Kuty. Rozejrzał się w sytuacji. Lokalni dygnitarze, miejscowi policjanci i strażacy, poszli za najwyższym przykładem i przekroczyli rumuńską granicę, pozostawiając bezbronnych mieszkańców na pastwę uzbrojonych band rabunkowych". Mostowicz zdecydował się zostać w miasteczku i zorganizował coś w rodzaju oddziału samoobrony. „Przez kilka dni zaimprowizowana pod dowództwem Mostowicza milicja utrzymywała porządek" – dodawał Minkiewicz. Kiedy to pisał, był jednak rok 1947 i nie wszystko można było przekazać wprost. „Jak było naprawdę, kto i do kogo wymierzył tę zabłąkaną kulę, która trafiła Mostowicza – nie wiadomo" – kończył.

To akurat od pewnego czasu już wiadomo. 40 lat później Rurawski mógł już napisać, że pierwszą armią, która otworzyła ogień w Kutach, była armia sowiecka.

eprasa.pl df468be33c

Kult chamstwa

Swoiste noblesse oblige jest teraz zamienione na kult chamstwa dla zburzenia wspólnoty. Istota tego procesu polega na podkreśleniu „funkcji emancypacyjnej" chamstwa. Oto dzięki chamstwu możemy pokazać, że zerwaliśmy z krępującymi regułami. Ten proces idzie od góry – mówi ***prof. Andrzej Nowak***, historyk, publicysta, w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim



Czy fala wulgarnych protestów pana profesora choć trochę przestraszyła?

Andrzej Nowak: Tego typu rewolucje, cytując prezydenta klasyka, mają to do siebie, że „najpierw się zbierają, a potem spływają do Bałtyku". Nie sądzę, żeby pani Lempart została nowym prezydentem Polski czy raczej jakiegoś sterowanego z zewnątrz gubernatorstwa, które śni się części „tutejszych elit". Po takim wzmożeniu następuje przyhamowanie, a nawet taktyczny odwrót, choć raz zdobytych przyczółków strona „emancypacyjna" nie oddaje. Wkrótce uderzy ponownie. Przypomina mi się wydana 20 lat temu w „Arcanach" wielka praca Jacka Bartyzela o prawicy monarchistycznej w krajach romańskich „Umierać, ale powoli". To swoiste motto konserwatystów – opóźniać rozkład tradycyjnych wartości. Opóźnianie tego procesu „emancypacyjnego" powinno się skoncentrować na dziedzinie kultury. Ubolewam nad tym, że niektóre działania rządu PiS w rzeczywistości pomogły owym procesom „emancypacyjnym", których symbolem jest słowo „wyp...ć", wspierane przez profesorki i rektorów uniwersytetów, PAN i PAU. Skutki reformy wicepremiera Gowina dobijają polską humanistykę, a wspierają taką twórczą interpretację świata, o jakiej mówił dziadzio Marks, a dziś wyraża swoim językiem pani Lempart. Cierpi nie tylko nauka, lecz i kultura – tradycyjnie już lekceważona przez polityczną reprezentację prawicy. Owszem, zmian kulturowych nie da się zadekretować i nawet najbardziej energiczna polityka premiera Glińskiego nie da cudownego efektu, a jednak niewiele udało się zrobić, by powstrzymać procesy „emancypacji". Tworzenie setek bezsilnych instytucji, zdolnych tylko do tworzenia etatów dla zasłużonych towarzyszy i ich rodzin – to nie jest dobra droga.

Nie brzmi to zachęcająco.

Ten pesymizm trzeba opatrzyć jedną uwagą. Nikt z nas – ani my, ani ci, którzy organizują ów „proces emancypacji", tworzą jego ideologię od czasów grubo poprzedzających Marksa i Freuda – po prostu żaden człowiek nie jest panem historii. Jeżeli wierzymy w Opatrzność, to musimy zakładać, że to ona rozstrzygnie po swojemu kwestie z przyszłości i obali w pył i w proch te przewidywania, które w tej chwili tutaj wyrażam, i te, które roją wielbiciele postępu – i przyniesie własne rozstrzygnięcia. Nie zwalnia nas to z obowiązku przygotowywania takich scenariuszy, które uważamy za dobre. I ze spowalniania procesu degeneracji, korupcji naszej cywilizacji, a także przygotowania narzędzi, by ta cywilizacja mogła się odrodzić. Panie Lempart i inne towarzyszki, krzyczące swoje ulubione słowo „wyp...ć", rzucają je nie tylko pod adresem rządu, lecz religii, rodziny i tradycji, wspólnoty narodowej, które razem budowały naszą kulturę i cywilizację. Kiedy siła tego niszczącego nurtu się wyczerpie, musimy być gotowi na odbudowę, zgodnie z opcją świętego Benedykta z Nursji.

Ocalenie dziedzictwa w czasach zdziczenia.

O tym obowiązku przypomina wielki współczesny filozof Alasdair MacIntyre. Jak pamiętamy, św. Benedykt w świecie triumfującego barbarzyństwa tworzył przystanie kultury i wiary, co pozwoliło dotrwać do lepszych czasów. Jedni przepisywali stare rękopisy, inni prowadzili misję nawracania barbarzyńców. Dziś mamy do czynienia z neobarbarią, więc może potrzebna jest taka właśnie praca i postawa?

Zachwyt nad chamstwem zdaje się pojawiać od niedawna, dość wspomnieć książkę Rafała Ziemkiewicza, nagrodzoną Nike biografię Jakuba Szeli autorstwa Radka Raka czy pełne uznania wywiady z wulgarnymi aktywistami ulicy – to chyba nowy pomysł na polskość.

Istota tego procesu polega nie tyle na kulcie chama czy lęku przed nim (to tulenie się inteligenta do wulgarnego chama opisał już doskonale choćby Mrożek w „Tangu"), ile na podkreśleniu „funkcji emancypacyjnej" chamstwa. Oto dzięki chamstwu możemy pokazać, że zerwaliśmy z krępującymi regułami. Zasady dobrego wychowania polegają na tym, że jeżeli już nauczyliśmy się przeklinać, jeżeli załatwiamy jakieś potrzeby fizjologiczne – to przynajmniej nie robimy tego publicznie. Myślę, że niedługo w tym kierunku będziemy zmierzać, żeby właśnie taką kulturę fekaliów uwypuklić jako wyzwoleńczy wzór. Ten proces idzie od góry, jest wspierany przez ludzi określających się jako elita kulturalna „tego społeczeństwa". Celowo to podkreślam, bo oni właśnie nie chcieliby, żeby nazwać ich elitą Polski. Nie potrafiliby wyjść na ulicę i sami przeklinać jak pani Lempart, często mają tytuły profesorskie, ale potrafią się jej podlizywać, sławić chamstwo jako wyzwolicielską siłę.

Kiedyś elitarność konstytuowały standardy kultury, erudycji, znajomość zasad zachowania się, wiedza o tym, co jest przyzwoite, a co nie...

Swoiste noblesse oblige jest teraz zamienione na kult chamstwa dla zburzenia wspólnoty. To funkcjonuje w myśl ukrytej logiki: jeżeli udowodnimy, że istotą polskości jest chamstwo, wcale nie wyzwoleńcze, tylko brudne, śmierdzące, to uda się przyspieszyć proces rozstawania się z polskością. Jeżeli celem jest zniszczenie naszej kultury, to trzeba pokazać takie jej oblicze, jakie zostało zaprezentowane w uhonorowanej nagrodą Nike książce o Jakubie Szeli. Prymitywny przywódca antyszlacheckiej rewolty jako najwspanialszy reprezentant polskości, istoty naszej historii, w której (czy od której) tylko chamstwo nas wyzwoli. Już udało się uczynić modną apostazję z Kościoła, to może uda im się wywołać falę apostazji z polskości?

To oczywiście proces dużo trudniejszy, bo związany z prawami obywatelskimi w Rzeczpospolitej, ale przecież istnieje już wizja obywatela europejskiego, pozbawionego obciążenia tożsamością narodową, tak konsekwentnie wiązaną przez te wszystkie onety, gazety i tefałeny z chamstwem, wulgarnością, plugawym zaściankiem, czymś tak ohydnym, jak kraj wykreowany w pisanych już pod to zamówienie medialne książkach Szczepana Twardocha i serialach kręconych na podstawie jego powieści. Tak jak w dziele naszej ostatniej noblistki, u której polskość kojarzy się z jakimś obleśnym księdzem, miłośnikiem zabijania zwierząt, w istocie z chamem i prostakiem, kobiecość zaś

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df468be33c

jest bohatersko wyzuta z jakiejkolwiek tradycji narodowej, a jeśli bliska jest jej jakaś religia, to właśnie najbardziej prymitywny szamanizm, neopogaństwo. To nie ma nic wspólnego z chłopstwem dawnej Rzeczypospolitej. Ówczesne „niziny społeczne", tak jak w całej Europie, pozbawione dostępu do edukacji i możliwości realizowania swojego potencjału ludzkiego oraz kultury, dążyły do emancypacji z chamstwa do obywatelstwa, od statusu poniewieranych „tutejszych" do poziomu dumnych Polaków. Chłop nie zachwycał się swoim chamstwem.

Przez wieki wspinaliśmy się po drabinie kultury, by teraz część Polaków postanowiła zawrócić.

Ogromna większość z nas w Polsce wywodzi się przecież z chłopów, nie ze szlachty. Istota chłopstwa w Polsce ostatnich 200 lat polega właśnie na wyzwalaniu się z chamstwa. Na aspiracjach pokoleń naszych prapradziadków, pradziadków, dziadków do tego, żeby nie być już chamem, żeby nauczyć się historii Polski, kultury i języka, odnaleźć w tej tradycji swoje godne miejsce, współtworzyć ją – a nie niszczyć. Doświadczenia wprowadzające chłopa w polskość jako wspaniałą przygodę były wzmacniane przez historię walki o niepodległość, obronę Rzeczypospolitej, suwerennego państwa, przynajmniej od końca XIX w., a już na pewno w wieku XX z walnym udziałem właśnie chłopów. Otóż dzisiaj mamy do czynienia z procesem odwrotnym. Elity, które prowadziły chłopów do tego spotkania z polskością, dziś prowadzą wspólnotę w kierunku odwrotnym: od polskości. Pokazują, że jedyne co można zrobić z polską tradycją, to kazać jej „wyp...ć". Chamstwo jako wybór, nie jako los.

Wspomniał pan profesor o Szczepanie Twardochu jako przedstawicielu salonów, ale z nutą złośliwości mogę przypomnieć, że zaczynał on w dwumiesięczniku „Arcana", którego pan był redaktorem naczelnym. Wtedy tworzył literaturę związaną z wartościami polskimi.

Nie jestem znawcą jego obecnej twórczości, pamiętam zniechęcenie, jakie ogarnęło mnie, kiedy pojawiły się w jego publikowanych u nas dziennikach akcenty zabawnego egotyzmu, pozowania młodego człowieka na jakiegoś nowego Hemingwaya: pyszny macho z karabinem w ręku, polujący na białe niedźwiedzie. Nie zdziwiłem się, gdy ambitny pisarz poszedł do środowiska, które do niego bardziej pasowało, do tygodnika „Polityka". Ale ważniejszy od pojedynczych przykładów jest cały proces tworzenia w Polsce, powtórzmy to za Robertem Musilem, „człowieka bez właściwości", którego próżne elity III RP tak bardzo sobie wymarzyły. I chyba określenie „Trzecia Rzeczpospolita" przestaje być adekwatne.

Jeśli nie trzecia, to która?

Nie chodzi o to, czy trzecia, czy czwarta, ale że nie Rzeczpospolita. Bo dominująca (i jak to często bywało, wspierana w tej dominacji z zewnątrz) „elita" podkreśla, że nie istnieje żadna Rzeczpospolita, nie istnieje ani jej tradycja, która warta byłaby kontynuowania, a jeżeli już istnieje jakaś tradycja naszej historii, to jest ona tak ohydna, tak odrażająca, jak to pokazuje właśnie wspomniany Szczepan Twardoch w swoim obrazie II Rzeczypospolitej, albo tak obrzydliwa, jak sugeruje to postać Jakuba Szeli, kreowanego na symbol słusznego buntu przeciwko naszemu dziedzictwu. Te elity nie chcą mieć nic wspólnego nie tylko z wyborcami Prawa i Sprawiedliwości, czyli przynajmniej jedną trzecią współobywateli, ale też gardzą elektoratem Konfederacji, a nawet dużej części Platformy Obywatelskiej. Tych ostatnich traktują jako „jeszcze niegotowych" na ostateczną emancypację, poganiają do niej nawet samego Rafała Trzaskowskiego,

> Elity, które niegdyś prowadziły chłopów do spotkania z polskością, dziś prowadzą wspólnotę w kierunku odwrotnym: od polskości. Pokazują, że jedyne, co można zrobić z polską tradycją, to kazać jej „wyp...ć"

by nie oglądał się na poglądy większości wyborców, tylko szedł za mniejszością, na barykady chamstwa... Rzeczpospolita nie jest tu żadną wartością, a więc rzecz wspólna nie jest tu żadną wartością, a ich wizja „tego kraju" jest tak odmienna od polskości, tak pełna wobec niej pogardy, że bardziej niż III Rzeczpospolita może tu być odpowiednia nazwa II Generalnego Gubernatorstwa. Oczywiście nie w sensie represji, ale w stosunku do polskości jako co najwyżej rezerwuaru parobków i woźniców; w stosunku do dumnej historii Polski, którą należy zniszczyć, podobnie jak zachęcić „tutejsze" kobiety do masowej aborcji.

Jak pogodzić dwie strony polskiego sporu? Przecież tutaj nie da się dodać nic więcej niż Rymkiewiczowskie „Co nas podzieliło, to już się nie sklei".

Z jednej strony mamy „elity", które chcą zniszczyć Rzeczpospolitą, aby utwierdzić swój status i jeszcze bardziej odgrodzić się od polskich – nazwijmy to po Orwellowsku – „proli", odbiorców „pińcet+". Teraz znaleźli w ulicznych protestach sposób na odbieranie możliwości wolnego wyboru, bo przecież obecna władza została w takich wolnych wyborach wybrana. „Elity" jednak nie chcą podjąć pracy na rzecz wygrania następnej elekcji, przygotować programu politycznego, który przyciągnąłby swoimi zaletami większość wyborców. Liczą, że poprzez coraz bardziej agresywne, wulgarne ataki uda się zmusić rząd do odejścia. To nie jest demokratyczna droga, lecz kolejna próba rozbicia wspólnoty obywatelskiej przez znikomą mniejszość – bo przecież uczestnicy tzw. strajków nie stanowią większości, nawet wśród młodych kobiet. Jestem przekonany nawet, że większość samych demonstrantów nie chce zniszczenia Rzeczypospolitej, lecz

eprasa.pl df468be33c

wzięła udział w tych wydarzeniach w odruchu zniechęcenia – polityką, pandemią, niepewną przyszłością i poszła także ze względu na chęć uczestniczenia w przeżyciu zbiorowym, jakiego nie było od przynajmniej półtora pokolenia. Bynajmniej nie traktuję większości tych młodych ludzi jako przeciwników. Natomiast tych, którzy organizują owe akcje, którzy otwarcie wyrażają plan obalenia legalnego rządu w Polsce i realizują konsekwentną politykę oczerniania Polski na arenie międzynarodowej, nazywam otwarcie zwolennikami II Generalnego Gubernatorstwa przy nowej, poprawionej Rzeszy.

Sądzi pan profesor, że to niewielka grupa ludzi, choć bardzo wpływowa?

Można ją szacować w tysiącach, ale nie w milionach. Może w setkach tysięcy: są przecież świadomi spadkobiercy i obrońcy tradycji KPP, hierarchii wpływów zbudowanej w PRL przez PZPR, są ludzie, których Polska mierzi, dla których Orzeł Biały jest „białą gęsią", jak to krzyczeli – „precz z białą gęsią" – manifestanci w Warszawie już w roku 1904. Nadal jednak większość wyborców PO (i zapewne także spora część wyborców Lewicy) to ludzie, którzy chcą być obywatelami, nie wynieśli z domu nienawiści do Rzeczpospolitej. Do każdego pokolenia adresowana jest jednak niezwykle skuteczna propaganda, która codziennie wtłacza im do głowy wątpliwość: a po co wam ta ohydna, obleśna Polska, jej tradycja, jej kultura, a wyzwólcież się wreszcie z tego „zad...a", jak mówił zapomniany prekursor pani Lempart, minister kultury w rządzie SLD, pan Celiński. Na starszych oddziałuje TVN i „Gazeta Wyborcza", na nieco młodszych takie portale jak Onet, na najmłodszych – systematyczne akcje tzw. mediów społecznościowych. Z tymi ludźmi rozmowa jest trudna, ale jednak potrzebna. W tym punkcie nadal różnię się z wielkim poetą i natchnionym prorokiem polskości Jarosławem Markiem Rymkiewiczem, który uważa, że nie warto zabiegać o tych ludzi. To mi perswaduje tradycja Rzeczypospolitej.

W ostatniej książce „Między nieładem a niewolą. Krótka historia myśli politycznej" pan profesor łączył współczesne zjawiska z filozofią sprzed setek lat, np. WSI nazwał spadkobiercami chińskiej szkoły legistów. Czy dzisiejsze chamstwo także ma jakieś źródła filozoficzne?

Sięgając do „Księgi dao", dialogów konfucjańskich, Platona, Arystotelesa, św. Tomasza czy Rousseau, znajdujemy zapowiedź dzisiejszych czasów. Przypomnijmy choćby przestrogę św. Augustyna, który ostrzegał wszystkich polityków przed budowaniem utopii: po wygnaniu z raju nie zbudujemy na tym świecie żadnego doskonałego i trwałego ładu. Ostatecznej emancypacji tu na ziemi nie osiągniemy. Przypomnijmy Arystotelesa i jego poszukiwania złotego środka (w społeczeństwie poprzez wzmacnianie klasy średniej), ale i realistyczną uwagę, że polityczny ład wciąż będzie podlegał zakłóceniom. I napomnienie, byśmy dlatego właśnie stale odwoływali się do lepszej strony naszej natury, a przede wszystkim przypominali w procesie wychowania o rozróżnieniu dobra od zła. Arystoteles, a przede wszystkim Platon radzili szukać prawdy i ładu w naszych potrzebach i pożądaniach, bo w innym wypadku zginiemy w chaosie.

I tu chyba dochodzimy do tzw. Strajku Kobiet...

Współczesny liberalizm, wulgarna forma rzeczywiście fundamentalnie antyreligijnej myśli Tomasza Hobbesa, powołuje się także wprost na te tradycje, które Sokrates i Platon zwalczali – na sofistów. Ci uczyli (za pieniądze), że nie ma żadnej prawdy obiektywnej, liczy się tylko to, co przynosi natychmiastowe korzyści. To sofiści wymyślili świat postprawdy, rzeczywistość bez rozróżnienia dobra i zła, bez rodziny, religii i wspólnoty politycznej. Chamstwo jest tej wizji jedynie taranem, po którym ma nastąpić zupełne wyzwolenie. Odpowiadał już na to Zbigniew Herbert w swoich „Rozważaniach o problemie narodu". Przestrzegał przed brakiem krytycyzmu wobec polskiej historii, ale jednocześnie pisał „buntowałem się/ ale sądzę że ten okrwawiony węzeł/ powinien być/ ostatnim jaki/ wyzwalający się/ potarga". Ten melancholijny apel ma wstrzymywać ostateczne, nihilistyczne konsekwencje „emancypacji".

> Jeżeli celem jest zniszczenie naszej kultury, to trzeba pokazać takie jej oblicze, jakie zostało zaprezentowane w nagrodzonej Nike książce o Jakubie Szeli. Prymitywny przywódca antyszlacheckiej rewolty jako najwspanialszy reprezentant polskości, istoty naszej historii, od której tylko chamstwo nas wyzwoli

Odpowiadanie poezją na wulgarność ma tę słabość, że trudniej przebija się w ulicznych rozruchach.

A jednak trzeba pokazywać piękno, wynikające z dziedzictwa Kochanowskiego, Mickiewicza, Leśmiana czy Iłłakowiczówny, trzeba wyzwalać się nie z kultury, ale od pierwotnych, najniższych instynktów. Mamy łączność z tym dziedzictwem nie tylko przez taki skarb, jakim jest kościół Mariacki w Krakowie, lecz przez każdy kościół parafialny, będący częścią całej cywilizacji europejskiej, chrześcijańskiej, kultury wielkich katedr. Podziwiając sztukę, możemy zrozumieć, że to, co proponuje ruch emancypacyjny dzisiaj, to ostatecznie próżnia doskonała, stan nieważkości, w której człowiek się nie liczy, nie ma żadnej wagi. Wtedy dopiero zaczyna się najgorsza niewola: bezsensu.

eprasa.pl df468be33c



Fot. Shutterstock

Pokłon trzech karakali

Jak mogła wyglądać noc, kiedy narodził się nasz Zbawiciel, widziana okiem przyrodnika, jakie zwierzęta towarzyszyły wydarzeniu, które zmieniło świat i przyniosło nadzieję ludziom?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wydarzenia z nocy Narodzenia Pańskiego opisał szczegółowo w Ewangelii Święty Łukasz. Z racji niezwykłości zdarzeń skupił się na tym co niecodzienne: anioł, jasność, chwała Pańska, mnóstwo zastępów niebieskich. Opisując rzeczy typowe dla mieszkańców Izraela, był już nieco mniej skrupulatny. Przywołał obraz „żłobu", „trzody" oraz „pasterzy". Te pojęcia wywołały u czytelników wiele zupełnie prawidłowych asocjacji: wół, osioł, owce. I taki sztafaż zyskała scena narodzin Dzieciątka w europejskiej ikonografii: wianuszek zwierząt gospodarskich. Nasuwa się pytanie, czy taka wizja, wprost ze średniowiecznych i renesansowych obrazów, jest pełna? Ciekawość każe zapytać, a co ukrywało się w mroku za budynkiem? Czy aby na pewno na nocnym niebie nie było nic oprócz aniołów? Czy oprócz pasterzy nie było innych świadków narodzin? Świadków, co prawda z innego szczebla drabiny bytów, ale nie mniej interesujących niż pasterze i anioły. Jak wyglądała ta cudowna noc na pustyni z perspektywy przyrodniczej?

Rzeczywistość przyrodnicza na skalistych wzgórzach Betlejem, od których na południe leży tajemnicza Pustynia Judzka, nieco na zachód od nich rozciągają się wybrzeża Morza Śródziemnego, a o krok na wschód subtropikalna dolina Jordanu, jest bardzo bogata; można powiedzieć więcej – pod względem różnorodności gatunkowej jest to rejon świata wyjątkowo intrygujący. Jak więc mogła wyglądać noc, kiedy narodził się nasz Zbawiciel, widziana okiem przyrodnika?

WYJĄTKOWY ZAKĄTEK ŚWIATA

W obrębie Ziemi Świętej można wyróżnić wybrzeże wschodniośródziemnomorskie, charakteryzujące się przyjaznym, ciepłym, morskim klimatem. Dalej w głąb lądu rozciąga się obszar skalistych wzgórz, półpustyń i pustyń. Opady są tam skąpe. W rejonach, w których są one nieco większe, rozkładają się nierównomiernie, a woda ze zdarzających się zimowych ulew spływa szybko, nie nawadniając terenu, żłobiąc między skałami jary i wąwozy. Podczas krótkiego okresu zimowego, zwłaszcza na wyżej położonych terenach, mogą się zdarzyć opady szybko topniejącego śniegu – według danych meteorologicznych w pobliskiej Betlejem Jerozolimie każdego roku zdarza się jeden dzień śnieżny. Większą część roku jest jednak gorąco, nawet zabójczo gorąco.

Dalej na wschodzie Ziemi Świętej wije się dolina rzeki Jordan, zielony pas o subtropikalnym klimacie, dochodzący aż do egzotycznych brzegów Morza Czerwonego.

Zróżnicowanie klimatu i ukształtowania terenu na stosunkowo niewielkiej powierzchni, wielorakość przeplatających się z sobą ekosystemów, a także położenie na granicy Europy, Azji i wąskiego, lądowego przesmyku do Afryki skutkuje bogactwem przyrodniczym ziem dzisiejszego Izraela i Palestyny. Dwa tysiące lat temu było ono jeszcze

eprasa.pl df468be33c

większe – ingerencja ludzka, która sprawiła, że Izrael stał się ważnym ośrodkiem rolniczym, nie była jeszcze widoczna. Powyżej jeziora Genezaret istniały chociażby bagna Hula, skupiające olbrzymie liczby lęgowego i zimującego ptactwa wszelkich gatunków. Dzisiaj podejmuje się próby odtworzenia ekosystemu bagien – chociaż są zaledwie cząstką dawnej świetności, to wciąż są miejscem niezwykłym.

Położenie na styku trzech kontynentów sprawia, że w Ziemi Świętej można się spodziewać gatunków z różnych regionów przyrodniczych: śródziemnomorskiego, europejskiego, irańsko-turańskiego, saharyjskiego i tropikalnego – zarówno afrykańskiego, jak i orientalnego. Takie miejsce nocą, na skraju pustyni, musiało być ciekawe.

> Świadkami Narodzenia Pańskiego na pewno były ptaki migrujące i zimujące, wśród nich polski orlik krzykliwy. Rokrocznie niebiosa Izraela przemierza 500 mln ptaków

ORLIK W STAJENCE

Do charakterystyki przyrodniczej regionu trzeba dodać jeszcze jedno. To ornitologiczny eden. Zwłaszcza podczas przelotów i zimowisk ptaków.

Wschodnie wybrzeże Morza Śródziemnego jest wąskim gardłem, skupiającym fale ptaków migrujących dwukrotnie w ciągu roku z zimnych rejonów Azji i Europy do Afryki – i z powrotem, podczas wędrówek wiosennych na lęgowiska.

Ptaki lądowe nie lubią i nie potrafią radzić sobie z rozległymi obszarami morskimi, nie są dostosowane do ich pokonywania. Coroczne fale ptaków, należących do kilkuset gatunków lądowych, a pochodzących z rozległej części Eurazji, docierają do brzegów Morza Śródziemnego i rozdzielają się, by ominąć morze: od zachodu, przez Gibraltar, lub wschodnim wybrzeżem, przez Izrael właśnie – tych drugich jest więcej.

Szacuje się, że podczas migracji przez rejony, w których żył Jezus, przelatuje 500 mln ptaków. Widywane są niezliczone, niespotykane nigdzie indziej stada pelikanów, bocianów białych i czarnych, ptaków siewkowatych i wielu, wielu innych; tylko tam można w jednej chwili objąć spojrzeniem tysiące kań, myszołowów, krogulców, orlików, orłów, gadożerów, trzmielojadów, błotniaków, wirujących w wielkiej chmurze na błękitnym niebie.

Część ptaków nie leci zresztą dalej, lecz pozostaje w Izraelu na zimę. Jeżeli dodać do tego gatunki miejscowe, właściwe temu rejonowi świata, otrzymamy obraz wielkiej różnorodności ornitologicznej tego terenu.

Jeżeli narodzenie Pana Jezusa przypadło na okres migracji ptaków lub ich zimowania, być może pierwsze niezwykłą światłość wypatrzyły czujne żurawie *Grus grus*, zimujące w biblijnej ziemi w kilkudziesięciotysięcznych stadach. A może do unoszących się nad stajenką aniołów dołączyły orliki krzykliwe *Aquila pomarina*? Bardzo możliwe, że byłyby to orliki z Polski – gatunek ten gnieździ się we wschodniej Europie, szczególnie licznie w Karpatach, zwłaszcza w Beskidzie Niskim (jest nawet w godle Magurskiego Parku Narodowego). Ze względu na lokalizację lęgowisk wszystkie orliki krzykliwe, z całego swojego zasięgu, na zimowiska wędrują wschodnimi wybrzeżami Morza Śródziemnego i są wówczas w Izraelu obserwowane w dużych liczbach.

Czy polskie orliki oglądały z lotu ptaka Nowonarodzonego w Betlejem? Nie jest to wykluczone, zwłaszcza że właśnie orlik krzykliwy, jako wyjątek wśród dużych ptaków drapieżnych, ma w zwyczaju zawisać w locie trzepoczącym nad miejscem, któremu chce się przyjrzeć. Taką scenę, w której pośród aniołów unoszą się orliki krzykliwe, można bez trudu sobie wyobrazić.

Świadkami Narodzenia Pańskiego na pewno były więc ptaki migrujące i zimujące – pamiętajmy o 500 mln osobników, które rokrocznie przemierzają niebiosa Izraela.

„BUP, BUP, BUP" Z WADI

Na pewno też w adoracji udział wzięły ptaki miejscowe. W zapadającym zmroku cichło miękkie, przenikliwe, pod koniec opadające nawoływanie tymali arabskich *Turdoides squamiceps*, średniej wielkości ptaków o długim ogonie i upierzeniu koloru pustyni. Grupujące się w stadkach rodzinnych tymale odbywały swoje wieczorne, osobliwe tańce i podskoki. Obok, w pióropuszach daktylowców niewielkiej oazy, swoją dzienną krzątaninę kończyły nektarniki palestyńskie *Nectarinia osea*. Ptaki te, a zwłaszcza metalicznie, połyskliwie ubarwione samce, bardzo przypominają amerykańskie kolibry, tym bardziej że podobnie jak one owadzią dietę uzupełniają nektarem. Dach szopy, w której przebywają zwierzęta (a więc i przyciągane przez nie owady), wykonany z warstw suchych palmowych liści, to świetne nocne schronienie dla nektarników.

Kiedy zrobiło się ciemno, uaktywniły się ptaki nocne. Rejon Betlejem, skaliste wzgórza, wąwozy, rozpadliny i pustynne lub porośnięte skąpą roślinnością przestrzenie to biotop kilku przynajmniej gatunków sów. Można więc obstawiać, że z pobliskiego wadi – wąwozu, będącego korytem okresowej rzeki – rozległo się „bup, bup, bup", nawoływanie syczka arabskiego *Otus brucei*, przypominające nieco szczekanie psa. Po chwili ucichło, kiedy ze szczeliny skalnej zaczął pohukiwać jasno upierzony, pomarańczowooki puszczyk arabski *Strix butleri*, rozpoczynający łowy na nocne gryzonie, duże owady i skorpiony.

Z ukrytej jaskini zaczęły wylatywać wielkie, ciemne sylwetki. To owocożerne nietoperze, rudawki nilowe *Rousettus aegyptiacus*. Spędzające dnie w jaskiniach, w przeciwieństwie do większości nietoperzy owocożernych, rudawki nilowe to zwierzęta szczególnie atrakcyjnie prezentujące się na wieczornym niebie, kiedy opuszczając dzienne schronienia,

eprasa.pl df468be33c


Karakal


Drzewo pistacjowe

wylatują długą chmurą na poszukiwanie upraw owoców: nie na darmo rodzina rudawkowatych, do której zaliczane są te wielkie stworzenia o rozpiętości skrzydeł do 60 cm, nazywana jest w nazewnictwie anglojęzycznym „megabats".

KARAKAL, HIENA I GEPARD

Była to pora na rozpalenie ognia. Noc to w pustynnych terenach okres aktywności zwierząt, również drapieżników. Choć dziś populacja lwa azjatyckiego *Panthera leo persica* obejmuje zaledwie kilkaset osobników żyjących w Indiach, dwa tysiące lat temu lwy wcale nierzadko trafiały się także na Bliskim Wschodzie. Azjatycki podgatunek lwa jest nieco mniejszy od afrykańskiego, ma też mniej obfitą grzywę; niemniej jednak jest drapieżnikiem groźnym, a jego ryk, słyszany nocą, brzmi przerażająco.

W owych czasach ziemie rodu Dawida spośród wielkich drapieżników zamieszkiwały także niedźwiedzie syryjskie, należące do podgatunku niedźwiedzia brunatnego *Ursus arctos syriacus*, które dziś cofnęły się w głąb Azji.

Wcale nierzadkie były także karakale *Caracal caracal*, zwane rysiami stepowymi, smukłe, płowe, o spiczastych uszach zakończonych długimi, czarnymi pędzelkami sierści. Wśród pustyń Izraela na koziorożce nubijskie i oryksy polowały również, obecnie niemal wymarłe, azjatyckie gepardy *Acinonyx jubatus venaticus*. Podobnie jak dziś nocami przemykały stada szakali złocistych *Canis aureus* i grupy większych od nich hien pręgowanych *Hyaena hyaena*, szukających padliny, ale polujących także gromadami na większe zwierzęta (o obecności tych zwierząt świadczą chociażby arabskie nazwy izraelskich dolin: Shaqq al-Dibba i Wadi Abu Diba, czyli „szczelina hien" oraz „dolina hien").

OGIEŃ Z PISTACJI

Św. Józef, odpowiedzialny opiekun Świętej Rodziny, musiał więc rozpalić ognisko, nie tylko dla jasności i ogrzania się, lecz także dla odstraszenia dzikich zwierząt. Jaki opał miał do wyboru?

Na Pustyni Judzkiej, na której skraju znajduje się Betlejem, roślinność – o ile występuje – jest bardzo skąpa. Czasem krajobraz, w którym dominują mocno wypalone słońcem i wypłowiałe ochra, brązy i odcienie płowości, urozmaica samotne drzewo o wysokiej parasolowatej koronie. To akacja. Trzy gatunki z rodzaju *Acacia* są rodzime dla tamtych terenów (nie mylmy ich z robinią *Robinia pseudoacacia*, czyli grochodrzewem, gatunkiem wprowadzonym do Polski z Ameryki Północnej). Akacje są nieliczne, a ich liście przyciągają stada owiec, kóz i wielbłądów – to dlatego korony są wysokie, o kształcie parasola – wszystko co znajdzie się w zasięgu pyska zostanie oskubane. Kozy mają również zdolność wspinania się po pniach, jeżeli te są choć trochę nachylone. Nawiasem mówiąc, to właśnie kozy ponoszą w dużej mierze odpowiedzialność za to, że we Włoszech czy Grecji niemal zniknęły starożytne dębowe lasy, zastąpione przez kolczaste zarośla makii.

W takich rejonach rosną również drzewa pistacjowe: pistacja atlantycka *Pistacia atlantica*, pistacja kleista *Pistacia lentiscus* oraz pistacja palestyńska *Pistacia palaestina*. Są długowieczne i dobrze znoszą ekstremalne warunki. Ich smaczne orzeszki zjadane są przez ludzi i przez zwierzęta; do tego samego rodzaju należy zresztą pistacja właściwa, której orzeszki kupujemy w naszych sklepach. W przeciwieństwie do trzech wyżej wymienionych w Izraelu nie jest gatunkiem rodzimym, lecz od dawna była tam uprawiana. Obok stajenki mógł również rosnąć figowiec sykomora *Ficus sycomorus*, uprawiany od dawna dla owoców i cienia; 33 lata później i około 30 kilometrów na północny wschód od Betlejem, na sykomorę wspiął się celnik Zacheusz.

W ognisku płonąć mogły także suche liście palmy daktylowej, powszechnie uprawianej w tamtejszych rejonach, odpornej na trudne warunki i życiodajnej pośród pustyni.

U szczytu stajenki rozbrzmiewały cykanie cykady i delikatne piski gekonów, prześlizgujących się po belkach i wśród palmowych liści. Dołączyło do nich wysokie „kjuw, kjuw" lelka pustynnego *Caprimulgus nubicus*, który rozbudzony zapadającymi ciemnościami otrzepał pióra z maskującego go pyłu i zaczął się uganiać za owadami.

Rozpoczynała się niezwykła, pustynna noc.

Fot. Shutterstock (x2)

eprasa.pl df468be33c



Bo to życie zachodu jest warte

Tegoroczne święta Bożego Narodzenia upłyną pod znakiem serialu „Osiecka” – od dawna wyczekiwanej ekranowej biografii fascynującej poetki. Pierwsze trzy odcinki wyemitowane zostaną 25, 26 i 27 grudnia. Kolejne, co niedzielę, w TVP1

Fot. East News/ Lucjan Fogiel

eprasa.pl/d/68be33



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Widziała i rozumiała wiele w życiu innych ludzi. Umiała czyjeś relacje i uczucia ubrać we wnikliwe słowa. Nie znalazła recepty na swoje szczęście. Czy dlatego, że „była złożona z deficytów”?

Zbyt niezależna, zbyt odważna, nie pasowała do obowiązującego modelu kobiety – córki, żony, matki.

Na pozór szczęściara – miała urodę, talent, sławę i pieniądze. Jeździła po świecie, obracała się w najlepszych środowiskach, jej piosenki puszczano w radiu i telewizji, miała mężczyzn na skinienie. A jednak...

W wydanej w tym roku książce „Osiecka. Tego o mnie nie wiecie” (W.A.B.) we wspomnieniach ludzi, którzy ją znali, przewija się konstatacja, tak sformułowana przez Magdę Czapińską (poetkę i psycholożkę, której teksty do piosenek „Święty spokój” i „Remedium” przypisywane bywają autorce „Okularników”): „Wielu chciałoby znaleźć wzór na Agnieszkę Osiecką. Żeby wszystko do siebie pasowało. A ona była niedefiniowalna, tyle się w niej działo”.

Jaki „wzór” znaleźli na tytułową bohaterkę twórcy serialu „Osiecka”, który po licznych perturbacjach, wymuszonych przez mijający rok, trafi w końcu do telewidzów? Będziemy się mogli przekonać już w pierwszy dzień świąt.

W PANORAMIE

Zapowiada się wielowymiarowa historia postaci nietuzinkowej, nie tylko jak na czasy, w których żyła. Opowieść przedstawiona od wczesnej młodości bohaterki, przypadającej na lata 50., aż do jej śmierci 7 marca 1997 r. Zrealizowana w 13 odcinkach, pod okiem dwóch znakomitych reżyserów – Roberta Glińskiego i Michała Rosy.

W tle, jak obiecują twórcy, pojawi się szeroka panorama kulturalnego i towarzyskiego życia Warszawy i Polski na przestrzeni kilku dekad. W artystyczne, obyczajowe oraz polityczne realia minionych czasów wpisana została biografia Agnieszki Osieckiej, poczynając od jej edukacji w komunistycznej szkole przez studia w łódzkiej Szkole Filmowej i kolorowy świat studenckich teatrzyków – warszawskiego STS i gdańskiego Bim-Bomu.

Obok spektakularnych sukcesów poetki autorzy scenariusza (Maciej Karpiński i Maciej Wojtyszko przy współpracy z Henryką Królikowską i Robertem Glińskim) ponoć nie pominęli również jej porażek. Zarówno życiowych, jak i twórczych.

Z pewnością, poza główną bohaterką, nie zabraknie na ekranie także wielu innych rozpoznawalnych postaci, w tym Maryli Rodowicz, Elżbiety Czyżewskiej, Krystyny Sienkiewicz, Jeremiego Przybory, Jerzego Wasowskiego, Zbigniewa Cybulskiego czy Bogusława Kobieli.

TROCHĘ WYMYŚLONA

Tytułową postać zagrały „dwie wspaniałe aktorki i zdecydowanie różne osobowości” – jak podkreśla Michał Rosa, współreżyser serialu.

Eliza Rycembel miała, jego zdaniem, nieco trudniejsze zadanie. O ile przy budowaniu dojrzałej postaci wiele podpowiedzieć mogły materiały źródłowe: pamiętniki, biografie, liczne świadectwa osób, które znały poetkę, o tyle Agnieszkę z czasów młodości trzeba było „trochę wymyślić”. Odpowiedzieć sobie na pytanie, kim jest dziewczyna zdająca do łódzkiej Szkoły Filmowej; ta, która poznaje Marka Hłaskę czy spotyka się z Wojciechem Frykowskim...

Elizę Rycembel cieszy, że w nastoletnią bohaterkę wcielała się jedynie w pierwszym odcinku. W kolejnych zagrała już młodą kobietę, która poznaje świat, jest na niego otwarta i go ciekawa. Najważniejsze jednak, że tą kobietą była Agnieszka Osiecka!

Magdalena Popławska, potwierdzając, że taka rola to spełnienie aktorskich marzeń, dodaje: – To też olbrzymia odpowiedzialność, której ciężar zaczęłam czuć podczas samej produkcji.

Gdy potwierdzono, że zagra Osiecką, co krok, słyszała: „Znałem/am Agnieszkę” „Ona była taka i taka”. – Każdy opowiadał mi o niej trochę inne historie. Każdy zapamiętał jakiś jej skrawek, to, co na nim zrobiło wrażenie. Dlatego w pracy starałam się o tym nie myśleć, tylko skupić na samym zadaniu – podkreśla aktorka.

DRZWI DO AGNIESZKI

Zmaganie się z odpowiedzialnością to jedno, natomiast przygotowanie do roli – jak deklarowała podczas zdjęć do serialu – było już czystą przyjemnością. Zwłaszcza że tak fascynująca postać zostawiła po sobie kawał wspaniałej twórczości.



Magdalena Popławska mówi, że rola Osieckiej to spełnienie aktorskich marzeń

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl df468be33c

– To były moje drzwi do Agnieszki. Czytałam jej poezje, jej felietony, dzienniki i prozę. Nadrabiałam zaległości, bo choć wychowałam się na jej piosenkach, wierszach, to nie znałam całego jej dorobku.

Aktorka uważa, że mimo ograniczeń, jakie niesie każdy scenariusz i – w tym przypadku – nie za długi czas realizacji, twórcom serialu udało ciekawie opowiedzieć jakąś część historii bohaterki. Postaci tragicznej, ale też cudownej i wielobarwnej. Dokonującej wyborów, czasem społecznie nie do końca zrozumiałych czy akceptowalnych... Popławska przyznaje, że wątkiem, który w budowanej przed kamerami historii najbardziej ją poruszył, było macierzyństwo poetki – trudne, nieoczywiste, niewpisujące się w przyjęte standardy.

Kiedy blisko dwie dekady temu aktorka startowała w konkursie „Pamiętajcie o Osieckiej", nie mogła się zdecydować, którą piosenkę wybrać. Każda kolejna wydawała jej się najlepsza. W każdym z tych tekstów mieściło się tak wiele. Na różne sposoby opowiadały o niełatwym kobiecym życiu, o wrażliwości, złamanych sercach... czyli o czymś, „co każda z nas zna".

Proszona o podanie tytułów, które niezmiennie robią na niej wrażenie, zaraz po „Oczy tej małej" aktorka wymienia odkryty ponownie „Na całych jeziorach ty".



Elizę Rycembel cieszy, że w nastoletnią bohaterkę wcielała się jedynie w pierwszym odcinku. W kolejnych zagrała już młodą kobietę, która poznaje świat

WSŁUCHANA W DUSZĘ

Wcielająca się w matkę poetki Maria Pakulnis tak opowiada o pierwszym spotkaniu z Agnieszką Osiecką: – Miałam 24 lata i pracowałam w Teatrze Współczesnym, w którym właśnie tworzyliśmy bardzo piękny spektakl pt. „Niech no tylko zakwitną jabłonie", w reż. Krzysztofa Zaleskiego. Siłą rzeczy poznałam wtedy Agnieszkę, która zaczęła bywać u nas w domu prawie codziennie. Krzysztof z Agnieszką dużo czasu spędzali nad scenariuszem, ale potem Agnieszka zostawała, siedziałyśmy w kuchni, gadałyśmy, miałyśmy taki swój mały, zamknięty świat. To było bardzo inspirujące, Agnieszka była osobą fascynującą [...] naturalna, niezwykle wrażliwa, szalenie inteligentna i dowcipna. Jednocześnie zdystansowana i przyglądająca się światu [...]. Potrafiła z dnia na dzień, z godziny na godzinę wymyślić, że jedziemy gdzieś na wycieczkę – podjeżdżała i jechaliśmy gdzieś na łąki czy do jakieś stadniny koni, czy na jakiś

Fot. materiały prasowe (x2)



taki ni z tego, ni z owego wyjazd dwudniowy. Po prostu słuchała swojej duszy i była przy tym pięknym człowiekiem, nie jątrzyła, nigdy nie mówiła źle o ludziach. Była naprawdę kimś wyjątkowym.

OBRAZ SPRZECZNOŚCI

Joanna Ochnik, pomysłodawczyni serialu, mówi, że poznawała Agnieszkę Osiecką oraz otaczających ją ludzi i świat, w jakim żyła, z poświęconych artystce biografii.

Wyłaniał się z nich obraz postaci składającej się z wielu sprzeczności. Takiej, która kochała, porzucała i była porzucana. Tworzyła z lekkością niezapomniane teksty, które w formie piosenek trafiały do szerokiej publiczności – a ponieważ mają ponadczasowy i uniwersalny przekaz, stały się śpiewaną kroniką współczesnej historii.

Osiecka jest autorką ponad 2 tys. tekstów piosenek. Tylko dla Studenckiego Teatru Satyryków, z którym była związana do 1972 r., napisała ich ponad 160. Na pierwszym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu w 1963 r. otrzymała nagrodę indywidualną za „Piosenkę o okularnikach" oraz sześć wyróżnień za piosenki: „Białe małżeństwo", „Czerwony Kapturek", „Gdzie jest szlagier", „Kochankowie z ulicy Kamiennej", „Solo na kontrabasie", „Ulice wielkich miast".

Współpracowała z wieloma wykonawcami, m.in. z Kaliną Jędrusik, Magdą Umer, Ewą Demarczyk, Marylą Rodowicz, Łucją Prus, Wojciechem Młynarskim, Markiem Grechutą, Sewerynem Krajewskim.

„Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma", „Małgośka", „Sing-sing", „Damą być", „Niech żyje bal", „Nie żałuję"... Słowa tych przebojów znają kolejne pokolenia słuchaczy. Tak jak automatycznie na pytanie: „Czy te oczy mogą kłamać?", pada odpowiedź: „Chyba nie". I bez zastanowienia dopełniane są cytaty: „Widzisz mała, jak to jest... Tyle serca, taki gest..." albo „Trzeba mi wielkiej wody, tej dobrej i tej złej... na wszystkie moje pogody, niepogody duszy mej...".

Starsi nucą melodie do słów „Gdzieś w hotelowym korytarzu/ krótka chwila..." i „Deszcze niespokojne...", choć nie każdy może pamięta, że napisana przez Agnieszkę Osiecką „Ballada o pancernych" zaczyna się od innych słów. Jakich? Można samemu poszukać.

Wracając do serialu, warto też wspomnieć, że autorem zdjęć jest Adam Bajerski, scenografii – Ryszard Meliwa, a kostiumów – Ewa Gronowska.

Głównym aktorkom towarzyszą na planie m.in.: Piotr Żurawski jako Daniel Passent, Jan Frycz (ojciec Wiktora Osieckiego), Jędrzej Hycnar (Marek Hłasko), Mikołaj Roznerski (Wojciech Frykowski, pierwszy mąż poetki; zginął w willi Romana Polańskiego), Grzegorz Małecki (Jeremi Przybora), Tomasz Włosok (pan M., młodszy o 20 lat kochanek, dla którego poetka opuściła rodzinę), Aleksandra Pisula (Olga Lipińska), Aleksandra Konieczna (Hanna Bakuła, malarka i przyjaciółka Agnieszki Osieckiej), Wiktoria Gorodeckaja (Józefina Pellegrini), Barbara Garstka (Elżbieta Czyżewska), Paulina Walendziak (Krystyna Sienkiewicz), Aleksandra Justa (Iga, żona Jeremiego Przybory).



Pani ambasador przygotowuje pierniki

Pierniczki świąteczne

– rodzinny przepis ambasador Węgier Orsolyi Kovács

Składniki:
80 dkg mąki pszennej (3/4 mąka 550, ¼ mąka tortowa), 14 dkg masła, 3 jajka, pół łyżeczki soli, 28 dkg cukru pudru, w miarę możliwości przesianego, 28 dkg letniego płynnego miodu, 1 proszek do pieczenia, przyprawy: pół łyżeczki cynamonu i mieszanka przypraw korzennych do piernika według własnego uznania, kakao, lukier do ozdoby

Przygotowanie ciasta:
Najlepiej zacząć wieczorem. Do rondla włożyć miód, masło, cukier i ostrożnie podgrzewać, mieszając, aż składniki się roztopią (nie gotować!). Dodać również przyprawy. Zdjąć z ognia i odstawić do przestudzenia. Mąkę wymieszać z proszkiem do pieczenia i dodać do ostygniętej masy, wbić jajka i dobrze zagnieść ciasto rękoma. Wyrobione ciasto włożyć do lodówki na noc. Na drugi dzień ciasto rozwałkować na placek i za pomocą wykrawaczek ze świątecznym wzorem wycinać pierniczki. Upieczone pierniczki dekorować lukrem z białka ubijanego z przesianym cukrem pudrem z dodatkiem kilku kropel soku z cytryny. Gęsty lukier przełożyć do dekoratora do ciast (szprycy) z maleńkim otworem. Można też korzystać po prostu z woreczka foliowego z obciętym rożkiem. Odstawić do zastygnięcia.

eprasa.pl d

Zrób sobie najsmaczniejszą Wigilię



To będą inne święta. Kolejne, chociaż po tych wielkanocnych moja definicja inności bardzo się zmieniła. Wiosną byłam zrozpaczona naszą samotnością wśród ludzi, teraz przystosowałam się do tego, co przyniósł los. I zamierzam wykorzystać pandemiczne doświadczenia. Bo Boże Narodzenie zawsze musi być rodzinne i pyszne

eprasa.pl df468be33c



Ileż to ja eksperymentów kulinarnych przeprowadziłam w ciągu tych kilku miesięcy? Ile chlebów upiekłam, usmażyłam konfitur? Wszystko po to, żeby cieszyć się tą „inną" wigilią. Może będzie mniej gwarna, ale na pewno bardzo smaczna i zdecydowanie mniej męcząca.

Cały świąteczny amok od dawna mnie przytłaczał. To, co jeszcze w dzieciństwie było wyczekiwanym magicznym wieczorem, rozmieniło się na ponad miesiąc, kiedy to każdego dnia zewsząd słychać kolędy, na kalendarzu adwentowym widnieją Minionki i świnka Peppa, a mikołaj wychodzi nawet z lodówki. Biznesowo-reklamowa machina zatłukła czar i klimat. Może zresztą się czepiam, bo się starzeję. Ale nie... za mojego życia przestał w święta nawet padać śnieg, a Jezuska w stajence zdominował Mikołaj z Rudolfem. Kiedy łamaliśmy się opłatkiem w zeszłym roku, ostatni okruszek zostawiłam dla siebie. Mój wewnętrzny głos pożyczył mi „spokojnych świąt, pełnych miłości, a nie blichtru". No i proszę, życzenie się spełnia.

ŚNIEG AŻ SKRZYPIAŁ, WSZYSTKO LŚNIŁO

Wyławiam z pamięci pierwsze święta, które zapamiętałam. Jechaliśmy do babci. Mieszkała pod Warszawą w świdermajerze na górce, trzeba było przejść od stacji kawałek przez las. Zimy były wtedy takie, o jakich nasze dzieci czytają w podręcznikach do historii. Śnieg aż skrzypiał, wszystko lśniło, a z dachu zwisały sople większe ode mnie i grube jak moja ręka. Domek jak z bajki, drewniany, z rzeźbionymi tralkami i werandą, dokoła stare wielkie sosny. O przydziały węgla trzeba było walczyć, na podpałkę zbierało się szyszki, ale kto o tym przy Wigilii pamiętał.

Przy stole – najbliższa rodzina. Na choince – prawdziwe świeczki i szklane, ręcznie malowane bombki dmuchane nad Wisłą, a nie nad rzeką Jangcy. Stół w naturalnym oświetleniu błyskających płomyków wyglądał magicznie, pachniało barszczem, kapustą z grzybami, kompotem z suszu, żywicą choinki, terpentyną, świeżo maglowanym obrusem. Mróz malował okna w niesamowite kwiaty, chociaż od kaflowych pieców aż biło żarem.

Dodatkowe atrakcje zapewniało paru rodzinnych wichrzycieli. A to ciocia nadużyła w czasie firmowego śledzika i dała się wyprzedzić mikołajowi, a to wujek nie doczekał pierwszej gwiazdki, a to tatuś spity przez kolegów z pracy potrzebował soli trzeźwiących...

Czołgałyśmy się z siostrami – dziś dostojnymi matronami – pod choinką po świeżo wypastowanych i wyfroterowanych na błysk deskach.

Miałam przedwojenne lekko rogate saneczki, którym trzeba było wyostrzyć płozy. I owcze butki, takie oldskulowe rodzime emu, które mama uszyła mi z rękawów bekieszy jakiegoś praprzodka. Nie pamiętam, co dostałam od mikołaja, ale nigdy nie zapomnę tamtej pasterki w drewnianym kościółku, zapachu naftaliny, którą dawniej przesypywano futra na mole, i tego, jak pod pułap huknęło nagle „Bóg się rodzi, moc truchleje".

Pamiętam i awantury, kiedy wiele razy ten z tamtym zarzekał się, że nie podzieli się z wujkiem czy babcią opłatkiem, chyba że „po swoim trupie". Ale obietnicy nie dotrzymał, bo święta to czas pokoju i spokoju.

Z WŁASNYCH ZBIORÓW

Tak więc w tym roku zapowiada się Wigilia taka, jak ta wyidealizowana przez upływ czasu. Kameralna i bez spiny. Nie będziemy wyciągać moich rodziców z ich wymarzonej chałupki nad Bugiem, do której wynieśli się z hałaśliwego blokowiska i wlec 60 kilometrów do dalszej rodziny. Zabierzemy naszego psa i pojedziemy do nich, do takiego dziwnego miejsca, gdzie niebo jest jeszcze wciąż naprawdę tak czarne, że bez problemu zauważymy pierwszą gwiazdkę, bo nie zasłoni jej śmierdzący smog.

Będzie domowy chleb, barszcz na własnym zakwasie, który nastawiłam jeszcze latem i schowałam w spiżarni. Koniecznie śląski szałot ze śledziem, jajkiem, ziemniakami i naszymi domowymi ogórkami, które wyszły w tym roku kozackie, bo naładowałyśmy do słoików dużo czosnku. I kisiel z własnoręcznie zebranych żurawin, i kompot z dzikich jabłuszek, które znaleźliśmy na pewnej opuszczonej łące, zerwaliśmy i ususzyliśmy w maszynie do grzybów. Te zresztą także są nasze. Tata lubi buchtować jak dzik wśród pajęczyn w zagajniku i choćby przeszła przed nim armia zbieraczy, nigdy nie wraca z pustymi rękami, zawsze niesie prawdziwki. Mamy więc i marynowane, i suszone, i kiszone.

Krótko mówiąc, żeby tę „inną Wigilię" ocalić i dodać jej smaku. Jak każe tradycja, zjemy dary naszych jezior, lasów i pól. Tylko to, co sami zebraliśmy, wyhodowaliśmy, ukisiliśmy, poszatkowaliśmy, może poza śledziem i karpiem. Jednego usmażymy, drugiego upieczemy. Nie będzie tym razem żadnych wynalazków. Na deser też swojsko – jabłkowe czipsy własnej roboty posypane cynamonem, karmelki ze śliwek wędzonych (zamiast pestki wkładamy łuskanego migdałka) i bananowy chlebek z bakaliami.

NA PASTERKĘ WIEJSKĄ DROGĄ

Gdy już zjemy, pójdziemy na pasterkę wiejską drogą, którą od wiosny do późnej jesieni maszerują prawdziwe łaciate krowy. Miniemy zaprzyjaźnioną stadninę – nie ma wiosną piękniejszego widoku niż szczęśliwe, pięknie zadbane konie galopujące tak, że aż się trzęsą szklanki w kredensie. Posłuchamy, jakież to kolędy zagra tym razem organista. Na Wielkanoc stanęłam w osłupieniu, gdy usłyszałam Bacha. Wrażenie było piorunujące – wkoło rozlewiska Bugu, a tu bach – Jan Sebastian Bach. Jeśli jeszcze spadnie śnieg – a jest to bardzo prawdopodobne, jeśli wierzyć prognozom meteo – być może będą to dla nas wszystkich najpiękniejsze święta. Rodzinne, spokojne, bez tego całego szaleństwa i amoku. Taki trochę powrót do korzeni – czas zadumy nad tym, co zrobiliśmy ze światem i jak nam za to odpłaca.

Anna Monicka



Barszcz czerwony

Potrzebujemy:
2 razy po 10–15 buraków średniej wielkości, 2 razy po 2 cebule, 2 kwaskowatych jabłek, liści laurowych, ziela angielskiego, nasion kopru, czosnku (do smaku, kilku–kilkunastu ząbków), nasiona kopru się powtarzają, korzenia chrzanu wielkości kciuka.

Przygotowanie:
Pokrojone buraki z dwiema cebulami, czosnkiem, jabłkiem, goździkiem, liściem laurowym, zielem, nasionami kopru oraz sporym kawałkiem chrzanu zalewam letnią przegotowaną osoloną wodą (łyżka na litr) z odrobiną cukru i odstawiam w ciepłe miejsce. Woda musi dokładnie pokrywać buraki. Ja mam do kwasu specjalny 4,5-litrowy słój do kiszonek, który odprowadza gazy. Musi być dobrze wyparzony, zanim wsypie się do niego buraki. Po tygodniu–10 dniach mam zakwas. Jeśli teraz nastawicie, powinien jeszcze wyjść. Można mu pomóc, dodając trochę startera, czyli pół szklaneczki soku z domowych kwaszonych ogórków. Buraczane cieniutkie talarki wykorzystacie do sałatki śledziowej lub grzanek.

Dzień przed Wigilią nastawiamy barszcz. Do dużego gara szatkujemy drugą porcję buraków i cebuli, doprawiamy zgniecionym czosnkiem, posypujemy cukrem i solą, wrzucamy listek, ziele i pieprz, skrapiamy kwasem buraczanym i zostawiamy na kilka godzin, a potem zalewamy ciepłą wodą i wolniutko grzejemy, pilnując, żeby zupa się nie zagotowała, bo straci smak. Gdy naciągnie, wyjmujemy część buraków i uzupełniamy kwasem – do smaku, bo jedni lubią barszcz bardziej kwaskowaty, inni słodszy.

Barszcz jemy z gotowaną fasolą jaś i gałązką rozmarynu. W tym roku w kryształowych kieliszkach postawię buraczany kwas – genialnie pomaga na trawienie po takim obżarstwie. Postnym, bo postnym, ale jednak gigantycznym, bo w jeden wieczór zjadamy pewnie tyle, co w dwa–trzy dni.

Domowy chleb

Potrzebujemy:
1/2 kg mąki pszennej pytlowej lub orkiszowej, 5 g drożdży, ok. 300 ml ciepłej wody, łyżki oleju, soli i cukru, otrębów, czarnuszki.

Przygotowanie:
Wsypujemy do miski trzy szklanki przesianej mąki, kruszymy drożdże, wsypujemy po płaskiej łyżce soli i cukru i wlewamy mniej więcej 300 ml letniej wody, olej i wyrabiamy ciasto. Powinno być elastyczne i odchodzić od ręki. Miskę nakrywamy lnianą ściereczką, opatulamy kocem i zostawiamy do wyrośnięcia na kilka godzin w cieple i ciszy, bez przeciągów, walenia drzwiami. W końcu to drożdżowe, choć wytrawne, to jednak wrażliwe. Najlepiej niech rośnie przez noc. Żeby nie wyschło, można delikatnie posmarować olejem. Gruby garnek, najlepiej żeliwny, nagrzewamy w piekarniku do 200 st. C. W tym czasie wyjmujemy ciasto na posypaną mąką deskę i składamy trzy–cztery razy w kopertę, zakrywamy ścierką i znów dajemy chlebowi godzinkę, żeby podrósł. Do gorącego gara sypiemy otręby, wykładamy ciasto, posypujemy czarnuszką i pieczemy około pół godziny w 230 st. (w piekarniku elektrycznym) pod przykryciem. Potem dopiekamy skórkę, ale już bez przykrywki. Studzimy pod lnianą ściereczką.



Fot. Shutterstock (3)



Pieczone śledzie

Potrzebujemy:
kilku całych świeżych śledzi, farszu z posiekanej cebuli utartej z solą i masłem.

Przygotowanie:
Śledzie sprawiamy, ale nie rozcinamy brzuchów, a do woreczków wkładamy posiekaną cebulkę roztartą z solą, pieprzem i masłem. Układamy w brytfannie, na każdy nakładamy płatek masła i pieczemy. Góra 20 min.

Barszcz grzybowy i kotleciki

Potrzebujemy:
po kilkanaście suszonych kapeluszy prawdziwków i podgrzybków, 3 litrów bulionu warzywnego, 2–3 ziarenek jałowca, gałązki tymianku, soli, pieprzu.

Przygotowanie:
Na grzybach nie oszczędzamy, im lepsze będą składniki, tym smaczniejszy efekt. Zalewamy je zimną wodą i wolno podgrzewamy, a właściwie zaparzamy jak herbatę. Odstawiamy na noc, żeby naciągnęły, a potem przelewamy przez gęste sitko do bulionu. Przyprawianie umiarkowane – trochę jałowca, trochę tymianku, sól i pieprz. Zaprawiam dobrym masłem. Doskonały do ryby, kapusty, pierogów, ziemniaków w mundurkach.

Z kapeluszy, które zostały, moja mama robi kotleciki smażone w lekkiej panierce z bułki i jajka, bez mąki. Parą dla nich jest zazwyczaj kapusta z grzybami.



Ziemniaki z tatarem śledziowym

Potrzebujemy:
5 upieczonych ziemniaków, masła czosnkowego, 3 posiekanych dzwonek śledzia, soku z cytryny, posiekanej i sparzonej czerwonej cebulki, kwaskowatych talarków buraków z kwasu, posiekanego kiszonego ogórka.

Przygotowanie:
Połówki ziemniaków smarujemy masełkiem czosnkowym, podpiekamy, a na chrupiące nakładamy buraczany plasterek i tatar śledziowy (posiekane dzwonka z cebulą wymoczone w soku cytrynowym) z kawałkiem kiszonego ogórka na wierzchu.





Kapusta z łazankami

Potrzebujemy:
po kilogramie poszatkowanej świeżej oraz kiszonej kapusty, dwóch dorodnych cebul, mielonego kminku, ziela, listka, kulki lub dwóch jałowca, makaronu łazanek, koperku.

Przygotowanie:
Wszystko to dusimy na łyżce oliwy – powinno być twardawe. Osobno gotujemy makaron, też al dente. Hartujemy go zimną wodą. Potem makaronowe rombiki dodajemy partiami do kapusty. Jeszcze tylko trochę cytryny, ziołowej soli (dosypuję ją zawsze na koniec) i koperku, który pracowicie siekałam i mroziłam przez całe lato.

Świąteczny chlebek bakaliowy

Potrzebujemy:
2 szklanek mąki orkiszowej, ½ łyżeczki sody, ½ łyżeczki proszku do pieczenia, 3 bardzo dojrzałych bananów, garści pekanów i daktyli, ½ szklanki mleka owsianego, dużej łyżki oleju kokosowego, 3 łyżek cukru kokosowego, łyżki soku z cytryny.

Przygotowanie:
Mąkę trzeba wymieszać z pół łyżeczki sody i pół łyżeczki proszku do pieczenia. Trzy ładne banany rozgniatamy widelcem z mlekiem owsianym, dużą łyżką oleju kokosowego i trzema łyżkami cukru kokosowego. Wciskamy sok z połówki cytryny – około łyżki. To ważne, bo pobudza wzrastanie ciężkiego ciasta. Podprażamy garść pekanów, siekamy je wraz z 5–6 daktylami, wszystko mieszamy i gęstą masę przekładamy do formy. Pieczemy w 180 st. ok. 40 min, sprawdzamy patyczkiem, czy ciasto już suche, ewentualnie dopiekamy.



Fot. Shutterstock (6)



Konne tramwaje

Zatrzymał wzrok na ostatnim wierszu, który zaczął notować w poniedziałek. Od razu poczuł, że próbuje napisać coś, co tkwi na samym dnie jego duszy. Wydobędzie go z jej głębi. Utkanej z tkaniny ciemności, pełnej tajemnic i impresjonistycznego światła



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Przyśniły mu się święta 1955 r. Miał znowu 10 lat, a nie 75. Był gibki jak mały wilk, kręcone włosy i rumieńce niby dojrzałe jabłka. Jechał tramwajem, a później autobusem marki Chausson do cioci Lali i wujka Wiesia, którzy zmarli 100 lat temu. Po drugiej stronie szyby spał klonowiec – jego ukochane drzewo z białozłotymi kwiatami, które dopiero co otworzył trzydniowy deszcz. Ledwo co rozchylone kielichy tkwiły czarodziejsko na gałęziach, jak nie kwiaty – raczej jak brylanty zrabowane przez gangsterów ze sklepu jubilerskiego w londyńskim Soho. Czy można kochać drzewo? – zapytał półprzytomnie i natychmiast sobie odpowiedział: – Jasne, że można! Można kochać drzewo, kamień przydrożny, popiół w palenisku, wiedźmę na gościńcu namalowaną przez na wpół ślepego i głuchego malarza, który ostatkiem sił trzyma pędzel, próbując wyrazić siebie: swą samotność, starczą niemoc, depresję. Można kochać obrzydliwego Toulouse-Lautreca – dziwadło z czarną brodą, w której tkwiły resztki jedzenia.

Kogo dziś jeszcze obchodzi ten wyjątkowy artysta? Za życia szwendał się po knajpach i burdelach Paryża. Stały bywalec Moulin Rouge. W Czerwonym Młynie „podpatrywał i szkicował fordanserki, dziwki i ich klientelę. Podobno, zanim się tam dostał na stałe, szkicował owe damy przez dziurkę od klucza. Cóż to są za portrety! Co za obrazy! Ile zawarł w nich prawdy! Warte dzisiaj miliony! Kurtyzany go uwielbiały. Za jego szczerą duszę, za dowcip. Gdy zjawiał się brudny, spocony, umęczony spiekotą, wyrzucany z paryskich knajpek przez restauratorów na ulicę, trafiał do domu schadzek, by skryć się przed plugastwem swego świata – świata ludzi nieczułych, kroczących z pogardą wypisaną w oczach, na czołach, w każdym centymetrze skóry. Niedoceniony za życia Lautrec! Uwielbiał jego dwie prace: „W salonie na rue Moulins" i „Rue Moulins – Inspekcja". Jego obrazy to właściwie nie są erotyki – pomyślał. One odzwierciedlają dusze tych kobiet.

Przymknął oczy i spróbował zasnąć, lecz po drugiej stronie głowy pojawiło się to, co zwykle. Jeszcze jeden, kolejny natarczywy temat. Jego stała obsesja. Materia ubrana w słowa, które trzeba na razie koniecznie zapamiętać, a następnie zapisać w notesie, który zawsze miał pod ręką. Zapamiętaj to, natychmiast zapisz – gadał w półśnie. Nie, nie ryzykuj. Za chwilę wszystko utracisz. Najlepiej podnieś tyłek, podejdź do parapetu i zapisz, zanotuj koniecznie, bo za chwilę ci wszystko umknie.

Język ojczysty. Złożony ze słów i zdań, poskładany niby muzyczne frazy. Czym jest język – myślał – mój język? Dlaczego tak mnie stale nurtuje jego bylejakość, tandeta, przypadkowość, martwota? Dlaczego ludzie posługują się, nim warczą na siebie, nie potrafiąc dobierać słów, które opisywałyby ich najskrytsze myśli i uczucia. Lenistwo? Owszem. Człowiek jest straszliwie gnuśny. Język

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33c

może być jędrny, namiętny. Zwięzły i szalenie konkretny, lecz gdy takiego używamy, może i powinien mieć siłę wybuchu atomowej bomby. Powinien wyrażać nasz gniew, rozpacz, czułość, pragnienie zemsty, strach, ślad opanowania, przekorę, pychę lub nieśmiałość. Język – ojczysty język polski – składa się z kilku tuzinów barw. Kolory można i trzeba mieszać. Dopiero wówczas nabierają dodatkowego wyrazu. Właściwego znaczenia. Zaczynają mieć rangę.

Za szybą sypał śnieg. Przybywało go od dwóch dni. Było cicho, sennie jak w dobrym śnie z czułą, szlachetną gejszą w ramionach. Śnił, a może mu się wydawało. Był jednocześnie tam i tu. W roku 1965 i w grudniu 2020. Nasłuchiwał siebie. Uporczywie, długo, wsłuchiwał się w to, co tkwiło w jednej z jego mózgowych półkul. Lecz tym razem się nie podniósł. Nie zanotował na karteczce choćby jednego słowa.

Przypomniał sobie rozmowy rodaków podsłuchane w herbaciarni U Dziwisza w Kazimierzu Dolnym. Nie było w nich ani słowa o ostatnio przeczytanej książce, wizycie w teatrze, zakupie wspaniałej płyty. Nikt nie wspominał z nieskrywanym sentymentem niezapomnianych przebojów Ewy Demarczyk. Jej cudnych „Pocałunków" Juliana Tuwima, czy choćby „Sous le ciel de Paris" w niezapomnianej interpretacji Edith Piaf z 1954 r. Gdyby chciał scharakteryzować tę paplaninę, musiałby wytężyć umysł i resztki pamięci. Przyszło mu do głowy jedno słowo – bełkot! Dominowały zawsze te same określenia, które dawno temu nazwał „wytrychami". Młodzi i starzy, dorastające panienki i zarośnięci, brudni, niedbale odziani przedstawiciele pierwotnego plemienia – wszyscy bez wyjątku włącznie z emerytami wypluwali z lubością bzdet za bzdetem. Słyszał, że to lub tamto jest „super", od angielskiego „superb". Pieniądze nazywali „kasą". A na dziewczęta – owszem milutkie, z obnażonym biuścikiem i zgrabną pupą – mówili „laski". Przekleństwa stały się powszedniością. Nikt nie mówił już cholera. Leciała „kur...a" za „kur...ą". No i zgodne z niesłabnącą modą: „Ale to jest zaje...e!". Słyszał, że któryś z celebrytów kogoś „bzyknął". To ostatnie określenie stało się wizytówką wielu czcigodnych bywalców pubów, kebabów, restauracji, towarzyskich spotkań. Kto wie, pomyślał, czy niedługo nie będą w taki sposób określać miłości uczestnicy sympozjów, teatrów, filharmonii.

W tłumie turystów z Lublina, Paryża, ze Stargardu Szczecińskiego i Kielc rozpoznawał przedstawicieli nowego społeczeństwa XXI w., które w dążeniu do samozagłady, zwanej szczęściem, żarło, paplało o niczym i przeklinało. Otyłe panie i przypominający atletów panowie wcinali torty, gofry z bitą śmietaną, a następnie udawali się na wczesny obiad do pobliskiej knajpki A Ku-Ku. Tam zamawiali w letni dzień chłodnik lub rosół, do tego pierogi z mięsem lub kotlet schabowy. Kolejne ciacho, a potem znów lody z polewą czekoladową, i tak w kółko! Piwo lało się wartkim strumieniem. Trwało to do wieczora. Kolacja była także obfita. Popijano wszystko coca-colą lub płynami z puszek. Każda z nich z reklamą czempionów sportu: bokserów, kierowców Formuły 1, gwiazd disco polo. Ludzie mieli wypisane obżarstwo. W swoich ramionach, brzuchach, biodrach, łydkach. Mocno wytatuowani, z wysiłkiem wczołgiwali się do swoich aut. Każde kosztowało grube tysiące. Większość była kupiona w kredycie.

„Co ty, kur...a, mówisz?!" – bełkotał otyły gość przypominający byka do żony z 20-kilogramową nadwagą. „Przecież Wiesiek ma na boku kochanicę. Znam go świetnie i tę jego nową dziwkę. Bzyka ją od pół roku!". Język tych współczesnych nomadów go przerażał. Był bezradny bezradnością starego człowieka. Wiedział, że nie ma to na leku, że nie zmieni świata, a on sam nie pasuje do niego, bo jest wściekle sentymentalny, ulepiony z całkiem innej gliny.

Sięgnął po swój notatnik. 200-stronicowy zeszyt oprawiony w malinową okładkę z podwójnej tektury. Zaczął wertować kartka po kartce. Zapisywał w nim swe strofy od kilku lat. To, co niosły mu jego dni. Co podsuwała mu jego wyobraźnia i inteligencja po przodkach. Wiersze przesuwały się w głowie jak żaglowce. Sunęły jeden za drugim przystrojone w niebieskie żagle. Zatrzymał wzrok na ostatnim wierszu, który zaczął notować w poniedziałek. Zatytułował go „Konne tramwaje". Był to zaledwie szkic, lecz od razu poczuł, że próbuje napisać coś, co tkwi na samym dnie jego duszy. Wydobędzie go z jej głębi. Utkanej z tkaniny ciemności, pełnej tajemnic i impresjonistycznego światła.

Przeczytał. Gdy przesuwał wzrokiem po zapisanych linijkach, w tle, w drugim pokoju, który był jednocześnie jego pracownią malarską i sypialnią, unosiły się dźwięki słynnego koncertu z Kolonii. Widział w swojej wyobraźni długie zręczne palce pianisty, które z niezwykłą łatwością przemykały po klawiaturze, jak jego prawa dłoń od czasu do czasu unosiła się w górę, by opaść w dół i uderzyć w klawisze z mocą czarodzieja. Były w tej muzyce czułość, delikatność, miłość. Grał Keith Jarrett – jego ulubiony jazzowy pianista. Idealny na święta Bożego Narodzenia.

Konne tramwaje
Dziewczęta w groszki
Szewcy na Złotej
Knajpy na Prostej.
Dwa małe kina:
Rialto i Sokół
A na ekranach
„Gorączka złota".

Charlie z laseczką
W ciągłej pogoni
Pod nosem wąsik
Ciemny melonik.
Świat zapomniany
Świat oddalony
Któż go dziś zagra
Na patefonie?

Konne tramwaje
I czyścibuty
Stary zegarmistrz
Przy placu Unii.
W sklepie pod Wedlem
Tłum w kapeluszach
Kto dziś pamięta?
Kogo to wzruszy?

Jak w niemym kinie
W ostatnim kadrze
Z napisem „Koniec"
Przeminą z wiatrem.
Piękno i młodość
Pieniądz czy sława
Zostanie po nas
Popiół i trawa.

eprasa.pl df468be33c

3 MIŁOŚCI

Z szopy do Europy



ROBERT TEKIELI

Ziemia fryzurę zmieniła, za szybą mróz już tylko zielone końcówki ścina. Trawa chrzęści. Osowiały dąb wbił wzrok w ziemię głęboko, od listopada już nie gada. Zorza niesie nadzieję. Ta chwila: gloria w niebo wystrzeliła, choć jeszcze palą się żarówki w grafitowej podbitce dachu domu sąsiada.

To wiadomość oficjalna. Komunikat biura prasowego Najwyższego, oświadczenie rzecznika jego Syna w porozumieniu i jedności z Duchem. Roma locuta, causa finita.

Syn otrzymuje wszelkie uprawnienia do rządzenia i rozporządzania całym majątkiem Ojca, wszelkimi ruchomościami i nieruchomościami nieba, ma założoną hipotekę na Wszechświat i papiery na sądzenie, zabezpieczenie ustanowione na sprawiedliwości.

Wszyscy ludzie świata, ci, co byli, są i będą. Ci z wodogłowiem, rudzi, grubi, kochający inaczej, każdego koloru skóry, mężczyźni i kobiety, pogubieni w tej materii i błądzący, z chromosomem takim czy siakim, żyjący sto lat i poczęci dziś pod sercem matki, bogacze i nędzarze, intelektualiści i szczęśliwe muminki, śliniący się i myjący co pięć minut ręce, zgwałcone i mordercy, Hitler, Beria, Pol Pot, krwawy asasyn z ISIS, operator drona zabijający sułtanów pożogi i terroru, a czasem i niewinne dzieci, każdy, zdrajca Polski, esbecki donosiciel, fałszywy bohater i rotmistrz Pilecki, „Inka" i krwawa Luna, każdy, każdy, absolutnie każdy ma szansę. Bóg jest dla wszystkich, którzy mają choć ziarnko dobrej woli i powiedzą Mu choćby tak: nie wiem, czy istniejesz, ale pomóż mi, przebacz.

Mądrość jest darem. Mądrość pozwala człowiekowi mówić światu TAK, bo przenika wszystkie przyczyny i następstwa, konieczności i wybory. Pozwala rozumieć, co nie znaczy zawsze: pochwalać, ale co chroni przed jałowym buntem, buntem „słusznym", bo będącym reakcją na niszczenie dobra, jałowym, bo dokładającym do pierwotnego zniszczenia swoje, buntownicze zniszczenie. Wiem, co mówię, 40 lat się buntowałem.

Mądrość jest świętym podarunkiem i przynosi pokój do serca człowieka. Może on zmieniać to, co da się zmienić, nie niszczą go próby zmiany tego, co nie zostało stworzone do zmiany.

Owocem buntu jest rozpacz. Najpierw zniszczenie, spustoszenie, a potem rozpacz. Nowożytna kultura pełna jest dzieł rozpaczy, owoców wielkiego talentu niedorostków, buntowników. Kończą jak Nietzsche, wcześniej zostawiając po sobie spustoszone pole, rozbity dom, dzieci w przytułkach, powieszone żony.

Każda filozofia czy ideologia mówi najpierw o swym twórcy, o tym, czego on pragnął najbardziej. Przerażające, bo myśliciele, których filozofia jest dziś wcielana w życie przez media, szkołę, uniwersytet, niesie z sobą chaos, pragnienie śmierci, nienawiść do miłości i do życia. Stąd atak na instytucję do przekazywania miłości – rodzinę, atak na Kościół, instytucję do przekazywania Miłości. Stąd aborcja, eutanazja, antykoncepcja, „pierdolę, nie rodzę" i „wypierdalać!". Agresja i totalitaryzm.

Intelektualiści, postmoderniści stworzyli filozofię śmierci, bo wcześniej pogrążyli się grzesznym życiem w rozpaczy. Są jak bawiące się na rynku dzieci. Walczące o dominację, nic więcej.

Kiedy duch ginie, budzą się potwory. Co zrobiłaś ze swoim chrztem, Europo! Świat wokół nas stał się opowieścią kretyna, bo elita odrzuciła duchowy fundament naszej cywilizacji. I na nic kontrrewolucja. Uniwersytety i katedry, najwspanialsze osiągnięcia ducha człowieka, ale też szpitale, ochronki i hospicja, powstawały niejako przy okazji przekazywania światu dobrej nowiny o Jezusie Chrystusie.

Kondycja cywilizacji zależy od kondycji Kościoła. Kościół umiera bez świętych. Świętość nie jest już celem ludzi Zachodu. Jedyna nadzieja w naszej naturze. I w grzechu.

Gdyby grzech nie miał konsekwencji, świat byłby zabawką idioty. Rajem psychopaty. Plan minimum jest taki: być nie gorszymi od naszych rodziców.

Nowy rok się rozpoczął czekaniem na przyjście, otaguj tę wiadomość, podaję słowa klucze:

#wierność #zaufanie #skała #stateczność #bliskość #bramaPana.

Czas kasztanów minął, nie błyszczą już do nich Tosi oczy. Mąż w sile wieku, trzecie oko ślepnie, przecinam miasto, korek dobrze się ułożył, ku szczęściu życie się toczy. Nie przeżuło nas to zło.

Czekamy na Chłopca, przygoda znów się zaczyna.

eprasa.pl df468be33c

WOJNA CYWILIZACJI



POPKULTURA

Przemoc i nagość przez osiem sezonów. Duży sukces, więc HBO rozpoczęło promocję prequela serialu ***„Gra o tron”***, będącego telewizyjną adaptacją sagi „Pieśń lodu i ognia” George'a R.R. Martina. Mieliśmy w „Grze...” podlaną słodko-mdłym sitcomowym sosem wystarczająco żenującą mieszankę dworskiej intrygi, niewymuszonej przemocy i soft porno, by seria zdobyła miliony wielbicieli. Zatem powstanie kolejnego produktu na bazie tej popularności było oczywistością. Nowy serial zatytułowany jest „House of the Dragon” i pokaże wydarzenia dziejące się 300 lat przed tymi z „Gry o tron”, a fabuła będzie się koncentrować wokół rodu Targaryenów, przodków Daenerys. Spin offa serialu, który przesuwał granice tego, co wolno, a czego nie wolno pokazać w mainstreamie w dziedzinie seksu, tworzą: George R.R. Martin, Ryan J. Condal („Colony”) i reżyser Miguel Sapochnik („Gra o tron”). Premiera planowana jest na 2022 r.



POPKULTURA

Pure Flix, chrześcijański serwis streamingowy, który ma być chrześcijańską odpowiedzią na Netflixa, został kupiony przez firmę Sony. Serwis umieszcza na swojej platformie chrześcijańskie filmy, a także je produkuje. Pure Flix zarobił prawie 200 mln dol. na fabułach, takich jak trylogia ***„Bóg nie umarł”***, „Czy naprawdę wierzysz?”, „Śledztwo w sprawie” oraz na antyaborcyjnym filmie „Nieplanowane”. Zakup platformy przez popularnego giganta branży elektronicznej może sprawić, że Pure Flix trafi do najszerszej widowni. Dzieci potrzebują popkulturowej normalności jak powietrza.



POPKULTURA

Wytwórnia Warner Bros. ogłosiła, że jej hity, których premierę zaplanowano na przyszły rok, będą miały z powodu epidemii koronawirusa jednoczesną premierę w kinach i na platformie streamingowej HBO Max (niedostępna jeszcze w Polsce, ma zostać uruchomiona w połowie 2021 r.). Początkowo zakładano, że w takim modelu dystrybucji będzie pokazany jedynie film ***„Wonder Woman 1984”***. Teraz doszły do niego m.in. „Diuna” i „Matrix 4”. Na decyzję Warner Bros. ostro zareagowali właściciele największej na świecie sieci kinowej AMC Theatres. Pozbawienie kin zwyczajowego okresu, jaki musiał upłynąć pomiędzy premierą kinową a dystrybucją filmów innymi kanałami, jest kolejnym ciosem dla tej branży. Jasne, w domu też da się oglądać fabuły, jednak katarktyczne opowieści w domu działają o wiele gorzej.



POPKULTURA

Serwis streamingowy HBO zapowiada dwoma specjalnymi przedświątecznymi odcinkami drugi sezon serialu ***„Euforia”***. Pierwszy pojawił się na HBO w 2019 r. Były rekordy popularności, trzy statuetki Emmy, było bardzo dobre przyjęcie przez krytykę. Serial wypromował też młode gwiazdy (Zendayę, Hunter Schafer i Barbie Ferreirę). Promował seks nastolatków oraz „odkrywanie” odmienności seksualnej (oczywiście homo-odmienności), a uzależnienie od narkotyków pokazywał jako młodzieżową normę. Wszystko to w tak wulgarny sposób, że znajomy 20-latek przerwał oglądanie w połowie pierwszego odcinka. Jak piszą kolorowe miesięczniki, „Euforia” to „mroczny świat nastolatków, zakrapiany brokatowymi łzami”, inaczej mówiąc: publiczny seks jako ucieczka i pustka jako nagroda. Ale – to popkulturowi sprzedawcy nihilizmu wiedzą doskonale – by osiągnąć prawdziwą popularność, oprócz perwersji musi być też brokat albo cekiny. Pierwszy odcinek specjalny nowej serii HBO miał premierę w mikołajki, przed nami drugi odcinek: wspaniały, familijny prezent na gwiazdkę.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl df468be33c

Adamski





Kto kogo oszukał?

Internet

Sześć lat musieliśmy czekać na nowy film Davida Finchera. Jeden z najlepszych amerykańskich reżyserów nie nakręcił żadnej fabuły od czasu solidnej „Zaginionej dziewczyny”, choć dał nam jako producent i reżyser większość odcinków genialnego serialu „Mindhunter”. Zrobiony dla Netflixa „Mank” nie jest typowym filmem w twórczości Finchera, który do historii kina przejdzie jako reżyser najbardziej mrocznych filmów lat 90., jak „Siedem” czy „Fight Club”.

Historia sporu Hermana Mankiewicza (Gary Oldman) i Orsona Wellesa (Tom Burke) o to, kto jest w większym stopniu autorem scenariusza do uznanego za najlepszy film wszech czasów „Obywatela Kane’a”, od dawna była w orbicie Finchera. Scenariusz „Manka” napisał jego zmarły w 2003 r. ojciec Jack Fincher. Jego syn chciał ten film nakręcić jeszcze w latach 90., tuż po zrealizowaniu „Gry”. W głównych rolach mieli wówczas wystąpić Kevin Spacey i Jodie Foster. Ostatecznie na ekranie widzimy Gary’ego Oldmana w roli legendarnego scenarzysty Manka i Amandę Seyfried jako aktorkę Marion Davis.

Ktoś napisał, że „Mank” jest pocztówką miłosną do złotej ery Hollywood. Nic bardziej mylnego. Jest to film uderzający w samo jądro Hollywood. Nie jest to jednak żadna satyra na fabrykę snów w duchu „Bartona Finka” (1991) braci Coenów. „Mank” jest po prostu filmem o powstaniu innego filmu, co powoduje, że nowe dzieło Finchera trafi raczej do kinomanów niż widza masowego. By smakować „Manka” w pełni, może nie trzeba być historykiem kina, ale warto być smakoszem amerykańskiej kinematografii, w której „Obywatel Kane” zajmuje centralne miejsce. Fincher jest hermetyczny i wygląda na to, że nie szuka poklasku u swoich fanów. Nawet oni muszą się uzbroić w tym wypadku w cierpliwość.

To zaskakujące, że pierwszy raz tak mocno Fincher dał się ponieść ideologicznej krucjacie, która jest czarno-biała jak wystylizowane barwy „Manka”. Jest to film stylistycznie magnetyzujący. Czarno-białe, wymuskane zdjęcia Erika Messerschmidta, liczne flashbacki, muzyka duetu Trent Reznor/Atticus Ross i sporo ciętych, ostrych dialogów z pewnością postawią ten film w pierwszym szeregu walki o Oscary. Podejrzewam zresztą, że Fincher, moim zdaniem okradziony z Oscara za znakomite „Social Network” na rzecz słabego „Jak zostać królem” Toma Hoopera, dostanie za ten film należną mu dawno statuetkę. Gary Oldman stosuje natomiast te same chwyty, za które Oscara dostał, grając Winstona Churchilla. Pali, pije, prycha i jest bezczelny na salonach. Jest bohaterem tragicznym.

Fincher jednoznacznie staje po stronie Mankiewicza, który w jego przekonaniu został przez Wellesa wykolegowany z chwały za scenariusz „Obywatela Kane’a”. Historycy kina nie są zgodni w tej kwestii. Nie zapominajmy, że Herman Mankiewicz nigdy więcej nie napisał nic godnego uwagi, zaś przez całą karierę był dosyć typowym hollywoodzkim wyrobnikiem. Gdyby nie Welles, który po „Obywatelu...” nakręcił jeszcze kilka wielkich dzieł, rozpuszczający swój talent w wódce Mank nie zostałby zapamiętany. Nie przez przypadek nigdy nie stanął artystycznie obok swojego młodszego brata Josepha L. Mankiewicza („Wszystko o Ewie”, „Kleopatra”, „List do trzech żon”). Mank był trochę pechowcem, ale też looserem na własne życzenie, którego teraz Fincher stawia na piedestał, robiąc z niego rewolucjonistę.

Hollywood jest cyniczne, zakłamane, a producentom zależy tylko na kasie? Wiemy to nie tylko dlatego, że samo Hollywood co jakiś czas lubi się zlustrować. Jedni robią lustrację genialną, jak Lynch w „Mulholland Drive” czy Cronenberg w „Mapie gwiazd”, inni są żałośni, jak Ryan Murphy w serialu „Hollywood”. Opowieść o pazernych, złych i bardzo konserwatywnych kapitalistach, jak prasowy magnat i główna inspiracja dla postaci Charlesa Fostera Kane’a, czyli William Randolph Hearst (Charles Dance) czy szef studia MGM Louis B. Mayer (Arliss Howard) jest podkręcona przez Finchera ideologicznie. Mank peroruje tutaj na cześć kandydata na gubernatora Kalifornii Uptona Sinclaira, który wsławił się napisaniem mocno antykapitalistycznej powieści „Oil!”, zekranizowanej później przez Paula Thomasa Andersona pt. „Aż poleje się krew”. Sinclair był zdeklarowanym socjalistą, co w amerykańskiej polityce zawsze wyrzucało polityków z głównego nurtu. No, może do dzisiaj, gdy socjalista Bernie Sanders niemal zdobył nominację prezydencką.

Wyrosłe dzięki kapitalizmowi i krwiożerczości Hollywood bardzo kocha Berniego, co jak na dłoni widać w „Manku”. Mankiewicz nie boi się głosić socjalistycznych haseł, co nie podoba się jednak zapraszającemu go na swoje salony Hearstowi. „Obywatel Kane” ma być zemstą przeciwko takim jak on milionerom. Skoro Mank ma odwagę sprzeciwić się publicznie Hearstowi, to dlaczego nie może Wellesowi?

Jest w tym filmie kilka celnych strzałów w Hollywood. Mayer mówi, że Hollywood nie może się odwracać (jesteśmy w latach 30. XX w.) przeciwko Hitlerowi i musi zarabiać w Niemczech. Czyż nie to samo robią dziś decydenci, bezwstydnie kolaborując z komunistycznymi Chinami? No, ale Fincher rozciąga to na prawicowe sympatie ludzi z Hollywood, którzy zaciekle walczą z Sinclairem. To dla mnie najciekawszy wątek „Manka”, który jako sama opowieść o powstaniu ikonicznego filmu nie porywa nawet takiego kinomana jak ja. Hollywood musi mieć jednak zadyszkę, skoro jednym z najważniejszych filmów sezonu jest film... o powstaniu innego filmu. To nie koniec. Ben Affleck zapowiedział film o powstaniu „Chinatown”.

„MANK” DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

eprasa.pl df468be33c

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



Liberałowie mordują prawicę

Internet

Najpierw bogaci liberałowie łapią wyborców Trumpa, wsadzają uśpionych do samolotu i wywożą w tajemnicze miejsce. Potem wypuszczają ich z klatek, pozwalają w ciągu kilkunastu sekund zgarnąć tyle broni, ile im się uda ze stojącej skrzyni i... rozpoczynają na nich polowanie. Jak brzmi taki pomysł na film? Jak prawicowa kreskówka? Jak opowiadanie science fiction konserwatywnego pisarza, który nie boi się na dodatek popierać Trumpa? Tak. Ale filmu tego żaden prawicowiec nie zrobił.

„Polowanie" to film wprost z liberalnego Hollywood. Został wyreżyserowany przez Craiga Zobela („Z jak Zachariasz") i napisany przez scenarzystów „Westworld" oraz „Pozostawionych". Jak to, liberałowie opowiadają o innych liberałach sadystach, którzy mordują tzw. rednecków? To musi mieć drugie dno! Tak pewnie pomyślał Donald Trump, który wytoczył przed premierą filmu działa przeciwko niemu na Twitterze. Nie miał racji, choć po obejrzeniu zwiastuna rzeczywiście można było się spodziewać, że jest to kolejny wyszydzający rednecków obraz. A jednak okazało się, że ta szokująco brutalna satyra mocniej rozdaje kuksańce liberałom niż prawicy.

Od razu zaznaczę, że „Polowanie" nie jest, pisząc delikatnie, artystycznym sukcesem. Jest to pęknięte kino, którego twórcy boją się iść w stronę pełnego exploitation. Z drugiej strony nie ma ten film pazura prowokacyjnych dzieł Craiga Zahlera („Krew na betonie", „Bone Tomahawk") ani przewrotności libertariańskiego „South Parku". Jest to też film zbyt mocno zdzierający z Tarantinowskiego „Kill Billa" (finałowa walka pań). A jednak chcę zwrócić na niego uwagę. Jest „Polowanie" ważne, bo zwraca uwagę na niszczącą zachodnią demokrację polaryzację, która napompowana w bańkach social mediów wymknęła się spod kontroli. Na szczęście dla amerykańskiej wspólnoty okazało się, że przewaga Joego Bidena nad Donaldem Trumpem jest na tyle wielka, że nie mieliśmy powtórki z Florydy z 2000 r. Jednak gdyby o prezydenturze zdecydowały setki głosów, to „Polowanie" nabrałoby bardzo złowieszczego wymiaru. Radykalizm protestujących w marszach Black Lives Matter i widok uzbrojonych po zęby wyborców prawicy, broniących przed nimi ulic, mogły się przerodzić w wojnę domową.

Oczywiście „Polowanie" nabija się z wierzących w teorie spiskowe z alt-prawicowego internetu Amerykanów. Swoją drogą scenarzyści narysowali prawaków bardzo grubą kreską, czerpiąc wiedzę o nich chyba z forum na Breitbart News. Jednak głównymi czarnymi charakterami są tutaj sadystyczni liberałowie z wyższych sfer, kierowani przez demoniczną milionerkę o twarzy Hillary Swank. To oni porywają prawicowych wyborców i nie ukrywają, że chcą ich wybić. Chcą dokonać ostatecznego rozwiązania kwestii ludzi niewierzących w globalne ocieplenie, niepodzielających entuzjazmu lewicy do legalnej aborcji czy małżeństw gejowskich. Twórcy wbijają szpilę w politpoprawne napuszenie liberałów, którzy nie mają oporów, by mordować znienawidzonych prawaków, ale panicznie się boją złamania w rozmowach z sobą norm genderowego języka. Ci piewcy tolerancji, społecznej sprawiedliwości, walczący z niewierzącymi w globalne ocieplenie, latają własnymi odrzutowcami, zajadają się kawiorem i piją szampana, za którego cenę można by wykarmić kilka afrykańskich wiosek.

Film ten łamie normy poprawności politycznej, pokazując, że napuszeni własną „wyjątkowością" liberałowie nie są wolni od nienawiści i pogardy do ludzi z drugiej strony barykady. To główny powód, dla którego warto „Polowanie" obejrzeć, mimo jego licznych wad. Jest to o tyle ważne, że wizerunek „białego śmiecia", czyli biednego, wykluczonego społecznie białego robotnika z „pasa rdzy", Appalachów czy Teksasu, został w amerykańskim kinie ugruntowany przez horrory z lat 70., jak „Wzgórza mają oczy" Wesa Cravena czy „Teksańska masakra piłą łańcuchową" Toby'ego Hoopera. Swoje dołożyło też, skądinąd wybitne, „Uwolnienie" Johna Boormana. Nie przez przypadek pierwszy odbił ten pogardzany przez liberałów elektorat Richard Nixon. Donald Trump wyrwał go z objęć bardziej socjalnej Partii Demokratycznej po raz drugi. Lewicy uświadomił to J.D. Vance w fantastycznej książce „Elegia dla bidoków" (2016), na podstawie której powstał nie do końca udany film Netflixa. Jednak coś w Hollywood zaczęło się zmieniać po szokującym zwycięstwie Trumpa, czego dowodem jest „Polowanie". Czy po zwycięstwie Bidena to się znów odwróci?

„POLOWANIE" JEST DOSTĘPNE W SERWISACH VOD

eprasa.pl df468be33c



Polityka prospołeczna w okresie pandemii. Rodziny i seniorzy na pierwszym miejscu

Zawsze staliśmy po stronie rodzin, seniorów i osób z niepełnosprawnościami. Nic tego nie zmieni – deklaruje minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg. I choć w kończącym się roku kierowany przez Marlenę Maląg resort skupiony był na walce z negatywnymi skutkami pandemii, to prospołeczne i prorodzinne programy przebiegały bez zakłóceń. W tym trudnym okresie nabrały one dodatkowego znaczenia

Priorytetem rządu Zjednoczonej Prawicy jest ochrona zdrowia i życia Polaków – temu podporządkowane są wszystkie działania, wprowadzone obostrzenia sanitarne czy ograniczenia w funkcjonowaniu gospodarki.

Równie ważna jest ochrona miejsc pracy. Ratunkiem dla polskich firm są kolejne tarcze antykryzysowe.

DOBRZE ZAPROJEKTOWANE NARZĘDZIA

– Uruchomienie tarczy – dobrze zaprojektowanych, ale również odpowiednio szybko uruchomionych narzędzi – pozwoliło wielu przedsiębiorstwom przetrwać najgorszy okres. Rządowa pomoc udzielona na niespotykaną dotąd skalę pozwoliła na ochronę 6 mln miejsc pracy. Uniknęliśmy bankructw firm oraz wzrostu bezrobocia na masową skalę – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg. – W ramach wszystkich tarcz przeznaczyliśmy na ochronę miejsc pracy w sumie ponad 155 mld zł – wylicza minister.

To właśnie w kierowanym przez Marlenę Maląg resorcie zaprojektowano część przepisów, które weszły do tarczy antykryzysowej. Mówimy przede wszystkim o dofinansowaniu do wynagrodzeń pracowników, umarzalnych pożyczkach dla mikroprzedsiębiorców, świadczeniach postojowych, ale też dodatku solidarnościowym czy dodatkowym zasiłku opiekuńczym.

WSPARCIE NA WIELU PŁASZCZYZNACH

Ale to nie wszystko. Ministerstwo przygotowało też wiele przepisów, które pozwoliły wspomóc w tym najgorszym okresie podmioty ekonomii społecznej, zakłady aktywności zawodowej, warsztaty terapii zajęciowej czy domy pomocy społecznej. Tylko w przypadku DPS mówimy o wsparciu na poziomie 600 mln zł.

– Na wsparcie samorządów w prowadzeniu placówek opieki społecznej uruchamialiśmy środki z rezerwy celowej budżetu państwa. Na pomoc DPS przeznaczyliśmy też środki unijne. Oprócz tego wyposażyliśmy placówki w tysiące litrów płynów do dezynfekcji, miliony maseczek, rękawiczek, tysiące przyłbic i kombinezonów ochronnych – mówi Marlena Maląg.

Minister Maląg nie ukrywa, że potrzeby osób starszych w okresie pandemii w Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej stawiane są na pierwszym miejscu. Seniorzy należą do grupy najbardziej narażonej na zakażenie koronawirusem. Żeby zniwelować ryzyko zachorowania, rząd wprowadził tzw. godziny dla seniorów w sklepach.

– Najlepiej jednak, żeby osoby starsze ograniczyły wychodzenie z domu do absolutnego minimum – mówi minister Marlena Maląg. Zachęcamy ich do tego, by zostali w domu i skorzystali z pomocy Solidarnościowego Korpusu Wsparcia Seniorów – dodaje.

SOLIDARNOŚCIOWY KORPUS WSPARCIA SENIORÓW

Korpus to uruchomiony w październiku program, który ma wspomóc seniorów w okresie pandemii i uchronić ich przed możliwym zakażeniem. W ramach Korpusu – którego koordynatorem jest Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecz-

eprasa.pl df468be33c



5/1220/F

nej – uruchomiona została specjalna infolinia dla seniorów. Osoby starsze mogą poprosić o pomoc w czynnościach, które wymagają wyjścia z domu, jednak ze względu na pandemię zostało to uniemożliwione. Zakupy spożywcze czy środki higieniczne dostarczają seniorom pracownicy ośrodków pomocy społecznej przy wsparciu żołnierzy wojsk terytorialnych, harcerzy czy wolontariuszy.

Dla osób, które chciałyby się włączyć w akcję pomocy, została uruchomiona strona internetowa www.wspierajseniora.pl, gdzie można się zgłosić jako wolontariusz. Z tej opcji skorzystało już ponad 10 tys. osób.

Zadanie realizowane jest przez gminy, które mogą się ubiegać o dofinansowanie z środków budżetu państwu. Na program rząd przeznaczył 100 mln zł. – Nikogo nie zostawimy bez opieki – deklaruje minister Maląg.

FINANSOWY ZASTRZYK GOTÓWKI DLA OSÓB STARSZYCH

Przejawem troski o osoby starsze są też ustawy dotyczące wypłaty tzw. trzynastej i czternastej emerytury. Przypomnijmy, od 2020 r. trzynasta emerytura ma charakter stałego rocznego świadczenia. Wypłacana jest w wysokości najniższej emerytury obowiązującej od 1 marca roku, w którym wypłacane jest dodatkowe świadczenie (w 2020 r. to 1,2 tys. zł brutto). W tym roku świadczenie otrzymało 9,8 mln emerytów i rencistów. Na „trzynastki" rząd przeznaczył blisko 12 mld zł.

W bieżącym roku Rada Ministrów przyjęła też projekt ustawy o kolejnym dodatkowym rocznym świadczeniu dla emerytów i rencistów. Pieniądze trafią do seniorów w 2021 r., a wypłata odbędzie się na zasadach podobnych jak przy trzynastej emeryturze, jednak z ograniczeniem liczby uprawnionych – świadczenie to zostanie wypłacone ok. 9,1 mln emerytom i rencistom. Koszt całej operacji oszacowano na ok. 10,6 mld zł.

– Te dwa projekty – trzynastej i czternastej emerytury – to dowód na to, że jesteśmy rządem, który wywiązuje się ze swoich obietnic. Dotrzymujemy słowa danego seniorom. Nie rezygnujemy z żadnego programu, z żadnego naszego działania, które ma na celu poprawę jakości życia osób starszych – mówi Marlena Maląg.

WSPARCIE RODZIN NABRAŁO DODATKOWEGO ZNACZENIA

To samo można odnieść w stosunku do działań podejmowanych na polu polityki prorodzinnej. Wszystkie programy przeznaczone dla rodzin w 2020 r. przebiegały bez zakłóceń – rodzice dzieci otrzymywali świadczenie 500+, rodzice uczniów korzystali ze wyprawek wypłacanych w ramach programu Dobry Start, już ponad milion rodzin korzysta ze zniżek oferowanych przez partnerów Karty Dużej Rodziny. Regularnie rozrasta się też sieć żłobków i klubów dziecięcych powstających dzięki dofinansowaniu z programu Maluch+.

Do tego działają programy finansowane z środków Funduszu Solidarnościowego, osoby niesamodzielne mogą liczyć na przeznaczone dla nich comiesięczne świadczenie, a w ministerstwie trwają końcowe prace nad opracowaniem projektu Strategii na rzecz Osób z Niepełnosprawnościami 2020–2030.

– Nasze programy prorodzinne w okresie pandemii nabrały dodatkowego znaczenia. Mimo pandemii pieniądze z tytułu programu Rodzina 500+ czy Dobry Start wypłacane są bez zakłóceń i tak pozostanie. Te programy to dzisiaj szczególny gwarant bezpieczeństwa dla rodzin – mówi minister Marlena Maląg. – To samo dotyczy wsparcia dla osób z niepełnosprawnościami. Zawsze staliśmy po stronie słabszych, potrzebujących wsparcia i nic tego nie zmieni – deklaruje minister rodziny i polityki społecznej.

eprasa.pl df468be33c



Prosty i dostępny sposób na nałóg palenia

Z doświadczeń kolejnego kraju wynika, że e-papierosy mogą stanowić skuteczne narzędzie do uwolnienia się od palenia. Aż 56 proc. Hiszpanów korzysta z papierosów elektronicznych po to, by porzucić lub co najmniej ograniczyć zgubny nałóg – wynika z najnowszego badania znanej hiszpańskiej firmy Sigma Dos, zajmującej się monitorowaniem rynku. Miguel de la Fuente, dyrektor ds. badań i analiz w firmie, powiedział, że aż 91 proc. Hiszpanów paliło, gdy rozpoczynało przygodę z wapowaniem

Szczegółowe badanie zatytułowane „Wzorce postępowania i powody korzystania z papierosów elektronicznych" dowodzi, że aż 9 na 10 hiszpańskich waperów ograniczyło lub całkowicie rzuciło palenie dzięki e-papierosom, a prawie połowa wapujących (47,3 proc.) zamierza skończyć z nałogiem. Z kolei 40 proc. spośród osób, które już zrezygnowały z tytoniu, twierdzi, że elektroniczny papieros pomógł im rzucić lub ograniczyć palenie.

Dlaczego tak się dzieje? Papieros elektroniczny nie zawiera najbardziej uzależniających i najbardziej szkodliwych substancji smolistych obecnych w dymie papierosowym. Amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) już w lipcu 2017 r. mówiła o konieczności zwiększenia świadomości konsumentów na temat nikotyny, która, choć oczywiście silnie uzależniająca, dostarczana jest za pośrednictwem różnych produktów, a najbardziej szkodzi wtedy, gdy dostaje się do organizmu w formie dymu papierosowego. Tym samym FDA dała do zrozumienia, że istnieją potencjalnie mniej szkodliwe formy, takie jak np. e-papierosy. Przy ich używaniu zamiast dymu powstaje charakterystyczna para. Samo słowo „wapować" pochodzi z języka angielskiego, a „vaping" oznacza odparowywanie (parowanie).

Wapowanie za mniej szkodliwe od tradycyjnego palenia uznały już 24 międzynarodowe organizacje, wśród których są instytucje zdrowia publicznego z Wielkiej Brytanii, Francji, Kanady, Niemiec czy Australii. Z większości międzynarodowych badań naukowych wynika bowiem, że e-papierosy są aż o ok. 95 proc. mniej toksyczne od klasycznych papierosów. Tak uważają poważne instytucje z wieloletnimi tradycjami, takie jak brytyjskie Public Health England czy Królewskie Towarzystwo Lekarskie, z zastrzeżeniem, że nadal niemożliwe jest określenie długoterminowych skutków korzystania z papierosów elektronicznych.

ELEKTRONICZNA ŚCIEŻKA DO WOLNOŚCI

Eksperci z innej brytyjskiej instytucji – National Institute for Health and Care Excellence (NICE) – stwierdzili w 2018 r., że wapowanie jest mniej szkodliwe dla zdrowia od palenia i wiele osób uważa je za pomocne w rzuceniu nałogu. Zaangażowana w promocję e-papierosów, jako skutecznego narzędzia do walki z tradycyjną formą nałogu, jest Francuska Narodowa Akademia Medyczna. Szacuje się, że już 700 tys. Francuzów porzuciło tradycyjne palenie na rzecz elektronicznego dymka. Niższą szkodliwość e-papierosów oczywiście potwierdzają też polscy naukowcy, tacy jak np. prof. Andrzej Sobczak ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, który we wnioskach ze swojej ostatniej analizy stwierdza, że „stężenie badanych biomarkerów u użytkowników e-papierosów jest niższe niż u palaczy papierosów".

LICZY SIĘ ŹRÓDŁO POCHODZENIA

Polityka redukcji szkód związanych z paleniem tytoniu jest od dawna przedmiotem gorących dyskusji w świecie nauki. Trzeba bowiem zwracać szczególną uwagę na to, po jakie zamienniki dla tradycyjnych wyrobów sięgamy, w szczególności na to, czy są one poddawane regularnym badaniom i analizom. Na przykład jeden z koncernów przeprowadził do tej pory 27 testów behawioralnych, 82 analizy chemiczne, 35 testów określających wpływ na komórki organizmu oraz 20 badań klinicznych jedynie na produktach globalnej marki Vype.

Ponadto dyrektywa tytoniowa zobowiązuje producentów do zgłaszania nowych płynów do e-papierosów na sześć miesięcy przed ich wejściem na rynek. Taka notyfikacja wymaga przeprowadzenia szczegółowych badań toksykologicznych. Nie jest więc prawdą – co podkreślają producenci płynów (tzw. liquidów) do e-papierosów – że nie wiadomo, co w nich jest. Producenci udostępniają organom podlegającym Ministerstwu Zdrowia szczegółową listę składników każdego płynu nikotynowego.

(BZ)

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33c



z troski o rodzinę

Polski dom musi być bezpieczny

Dzięki dwóm filarom – efektywnie zarządzanemu i używanemu Funduszowi Sprawiedliwości oraz obowiązującej od 30 listopada ustawie antyprzemocowej – rodzina, a zwłaszcza jej najsłabsi członkowie, są dziś w Polsce chronieni jak nigdy wcześniej

Nowy rząd, utworzony po wygranych w 2015 r. przez Zjednoczoną Prawicę wyborach, zapowiadał, że troska o rodzinę będzie jednym z najważniejszych obszarów jego polityki. Agenda służąca bezpieczeństwu rodziny, jej ochronie przed przestępstwem – głównie przemocą oraz dysfunkcjonalnością wynikającą z nałogów i innych patologii – jest konsekwentnie i skutecznie realizowana przez Ministerstwo Sprawiedliwości.

REALNA POMOC, NIE DEKLARACJE

Zarówno zwielokrotnienie budżetu Funduszu Sprawiedliwości, jak i nowe zapisy ustawy antyprzemocowej są narzędziami, które docierają z pomocą w sposób realny i skutecznie niwelują podstawowe zagrożenia dla bezpieczeństwa rodziny. To warte podkreślenia w dobie mnożących się deklaracji ideologicznych, które pod pozorem troski o obywateli forsują nowy model społeczny nieoparty na relacjach i więzach, jakie scalają tradycyjną polską rodzinę. Na te różnice zwracał uwagę minister sprawiedliwości 30 listopada, czyli w dniu rozpoczęcia obowiązywania ustawy antyprzemocowej.

– Wprowadzając nowe przepisy, rząd Zjednoczonej Prawicy udowodnił, że można działać skutecznie bez całej warstwy ideologicznej, która jest zawarta w konwencji stambulskiej. Ta ideologia szkodzi, a nie pomaga w rozwiązywaniu konkretnych problemów ofiar przemocy. To nie religia ani tradycja danego kraju są przyczynami przemocy w rodzinie. To zwykle alkohol, narkotyki czy dopalacze stanowią jej źródło – podkreślił minister Zbigniew Ziobro.

Jednocześnie minister sprawiedliwości przypomniał, że ustawa antyprzemocowa to tylko jeden z elementów systemu zabezpieczenia rodziny przed przemocą, gdyż dzięki Ministerstwu Sprawiedliwości został stworzony cały system długofalowej pomocy dla ofiar tego rodzaju przestępstw. W Polsce działa 370 ośrodków świadczących wsparcie poszkodowanym. Można uzyskać tam m.in. pomoc psychologiczną i prawną dzięki środkom z Funduszu Sprawiedliwości.

OCHRONA PRAWNA NIE TYLKO DLA TYCH, KTÓRYCH NA NIĄ STAĆ

Ważnym elementem, o którym nie zapomina resort w swoich działaniach, jest także walka z wykluczeniem materialnym, które bardzo często stanowiło barierę dla poszkodowanych przed poszukiwaniem pomocy, zwłaszcza kompetentnej pomocy prawnej. Pomoc taka jest świadczona ze środków Funduszu Sprawiedliwości dla ofiar przemocy, które zgłoszą się o pomoc do ośrodków. Jednocześnie ustawa antyprzemocowa znosi wszelkie opłaty sądowe dla ofiar przemocy domowej. Uzupełnieniem ochrony materialnej są także wcześniejsze zmiany prawa, również przygotowane w Ministerstwie Sprawiedliwości, które doprowadziły do znacznie skuteczniejszego egzekwowania alimentów. Ściągalność alimentów do państwowego Funduszu Alimentacyjnego wzrosła w 2019 r. o ponad 200 proc. w porównaniu z czasami rządów koalicji PO-PSL. W tym czasie zwiększyła się także ponadczterokrotnie liczba prawomocnych skazań za uchylanie się od obowiązku alimentacyjnego. ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33c

Sprawdzajcie dziennikarzy,

czy weryfikują informacje

Z **Maciejem Wośko**, redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej”, rozmawia Bartosz Życiński



Ponad 25 lat w zawodzie dziennikarskim w niezwykle ciekawych czasach... Ostatnie ćwierćwiecze to czas, kiedy nasz świat bardzo się zmienił, a media przeszły istną rewolucję. Czy zmieniły się tylko media, w sensie unowocześnienia środków przekazu, czy zmienili się także dziennikarze?

Maciej Wośko: Zaczynałem pracę w gazecie drukowanej w formie wielkiej płachty pozbawionej kolorowych zdjęć. W sensie technologicznym tamtemu formatowi z początku lat 90. było zdecydowanie bliżej do gazet sprzed 100 lat niż do mediów dzisiejszych. Zmiany technologiczne, zwłaszcza pojawienie się internetu i stworzonych dzięki niemu różnych kanałów dystrybucji informacji, spowodowały przede wszystkim ewolucję samego zawodu dziennikarza. O ile rozwój technologii może zadziwiać, o tyle czasem trudno się oprzeć wrażeniu, że im nowocześniejsze narzędzia pracy dostają dziennikarze, im łatwiejsza jest ich praca dzięki zdobyczom technologicznym, tym większy regres tego zawodu obserwujemy.

Zapominamy o podstawach, bo dziś właściwie każdy może zostać dziennikarzem?

Gdy ćwierć wieku temu zaczynałem prowadzić pierwsze szkolenia dla nowo zatrudnianych reporterów, starałem się przekazać im zestaw fundamentalnych zasad, jakich powinni przestrzegać w tym zawodzie. Dziennikarz zawsze powinien zachować chłodną głowę i posunięty wręcz do przesady obiektywizm, wywoływany nieufnością wobec tego, co widzi i słyszy. Powinien zawsze bardzo mocno zabiegać o to, by zdobyć komentarz każdej z opisywanych osób, zwłaszcza tej, która może zostać przedstawiona

w negatywnym świetle. Dodatkowo dziennikarz nie miał prawa łączyć informacji z własnym komentarzem. Miał przedstawić odbiorcy suche fakty, na podstawie których czytelnik, słuchacz czy telewidz miał sam wyrobić sobie opinię. Kolejną zasadą było, by każdą zdobytą informację potwierdzać przynajmniej w dwóch niezależnych od siebie źródłach. Czy dziś coś jeszcze z tych zasad zostało? Niech każdy odpowie sobie sam, przeglądając chociażby najpopularniejsze w naszym kraju portale informacyjne, w których większość epatuje tytułami niemającymi niewiele wspólnego z treścią artykułów.

Rzeczywiście trudno nie zauważyć, że trwa wyścig o przyciągnięcie uwagi odbiorcy, ale czy należy za to winić dziennikarzy?

W świadomości wielu odbiorców mediów dziennikarz nadal funkcjonuje jako zawód zaufania publicznego, wolny zawód, w którym jedynie umiejętności czy warsztat stanowią jakieś ograniczenia. Tymczasem musimy pamiętać, że trudno znaleźć media, w których dziennikarz mógłby rzeczywiście w sposób nieskrępowany cieszyć się swobodą publikowania owoców swojej pracy. W ostatnim czasie mamy aż nadto przykładów, kiedy osoby prezentujące, nawet w sferze prywatnej, np. na swoich kontach społecznościowych, pogląd odmienny od przyjętej linii redakcji, muszą opuścić miejsce pracy. Przypomnijmy sobie casus chociażby prezesa Radia Nowy Świat, przykład tym istotniejszy, że dotyczący instytucji powstałej na kanwie sprzeciwu wobec rzekomego krępowania wolności dziennikarskiej w Trójce. Dochodzimy więc do smutnej refleksji, że dziś w większości redakcji nie są potrzebni dziennikarze, którzy dostarczą interesujących, rzetelnych i obiektywnych treści zdobytych dzięki swojej zawodowej biegłości, ale pracownicy, którzy wytworzą tzw. kontent zgodny z profilem medium – komercyjnym, bądź – co gorsza – ideologicznym.

Ale jaki wpływ na ten regres dziennikarstwa miała rewolucja technologiczna w mediach?

30 lat temu między mediami trwał wyścig o to, kto pierwszy zdobędzie ważną informację. Kierownicy działów reporterskich rozpoczynali każdy dzień od prasówki w poszukiwaniu ewentualnych tzw. przepustów, czyli informacji, które zdobyła konkurencja, a my je właśnie przepuściliśmy. Sprawdzaliśmy, czy nasz „supernews" jest rzeczywiście ekskluzywną informacją, jeśli nikt inny jej nie opublikował. Dziś trudno bić się o newsa, kiedy poprzez portale i media społecznościowe jesteśmy zalewani tysiącami informacji na godzinę. Dodatkowo dziennikarze stracili monopol na pierwszeństwo w dostarczaniu informacji. Zanika walor ekskluzywnych informacji, bo zdobycie wypowiedzi czy komentarza nie stanowi dziś żadnego wyzwania – wystarczy przecież zacytować zdanie z Twittera sprzed pół roku i umieścić w tekście jako wypowiedź. Byle pasowało i budowało napięcie... Jeśli redakcja wie, a wie doskonale, jakie są sympatie i światopogląd osób, które są odbiorcami, to dostarcza treści dopasowane do konkretnych oczekiwań. Mamy więc odwrócenie ról – to nie dziennikarze poprzez zdobywane informacje wpływają na opinię i światopogląd swoich czytelników, ale to czytelnicy, czy też raczej odbiorcy, wymuszają powstawanie konkretnych treści. Na wartości takie jak prawda czy obiektywizm brakuje już miejsca i czasu – liczy się clickbait.

Czy można winić media, że chcą dostarczać treści, jakich oczekują odbiorcy? Spolaryzowanie polskiego społeczeństwa jest faktem i jest to zjawisko dziś w świecie powszechne. Popatrzmy chociażby na USA, gdzie jest podobna sytuacja. Kraje Europy Zachodniej nie różnią się także w tym obszarze, a to, że tam konserwatyści nie mają już prawie swojej reprezentacji w postaci silnych ośrodków medialnych, raczej nie świadczy o wolności słowa. Czy więc w Polsce rzeczywiście jest tak źle?

Oczywiście każde medium, każdy redaktor naczelny i każda redakcja ma prawo w wolnym kraju sympatyzować, z kim chce, ale świadomy odbiorca powinien starać się odróżniać dostarczaną informację od ideologii, a często po prostu od prymitywnej propagandy. W przypadku opisywania wydarzeń politycznych wystarczyłoby przedstawiać fakty, decyzje i przytaczać pełne wypowiedzi polityków. Jak jest, widzimy codziennie – jedno zdanie, bez kontekstu, bez tła sytuacyjnego – pokazujemy je w telewizji do znudzenia, podkręcamy na portalach, w clickbaitowych tytułach, w cytatach... Nikt już nie pyta, kiedy ani w jakim kontekście zdanie zostało wypowiedziane. Rozgrzewa emocje – o to chodzi! To smutne, a robi się jeszcze bardziej tragiczne i niebezpieczne, gdy mamy do czynienia z przeinaczeniami, świadomym kreowaniem fałszywych intencji osób publicznych czy wyciąganiem zdań z szerszego kontekstu.

To już jest propaganda...

Propaganda ma dziś nowe imię – zarządzanie kontentem. To już nawet nie jest tabloidyzacja, upraszczanie informacji, dodawanie emocji newsom – to świadome budowanie znaczenia informacji, pierwotnie nieistotnej. Jeśli to korzystne dla medium, ideologii, sytuacji politycznej, jeśli przyniesie to kolejne kliknięcia, zwiększy liczbę widzów – nawet nic nieznaczący fakt, wypowiedź da się wypromować i zrobić z niej temat dnia, tygodnia, czasem nawet wielu lat... Tak jak w przypadku wielu newsów dotyczących śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego – te powycinane, przeinaczane, często kłamliwe obrazki do dziś budują fałszywy wizerunek prezydenta. Pamiętacie „borubara" zamiast Boruca? Można zrobić z tego historię na lata... Dziś podobnie dzieje się z decyzjami, wypowiedziami, informacjami na temat walki z epidemią COVID-19.

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl df468be33c

Ktoś powiedział, ktoś usłyszał, ktoś napisał – nieważne, czy to prawda – nie sprawdzam, nie ma czasu – puszczam dalej, byle z chwytliwym tytułem, byle załapać się na trend. I dziennikarz już nie sprawdza – dziennikarz jak Twitter podaje dalej, licząc na jak najwięcej reakcji: lajków, retweetów, komentarzy...

Czy ten smutny proces da się w jakiś sposób zatrzymać? Jak czytelnik, odbiorca mediów, który nie chce być manipulowany czy oszukiwany, ma się odnaleźć w dzisiejszych czasach?

Osoby, którym zależy na rzetelnej informacji, muszą niestety wziąć dziś na siebie część obowiązków, które kiedyś były udziałem dziennikarzy. Przede wszystkim musimy sprawdzać, weryfikować informację w kilku źródłach. Szukać pierwotnego źródła informacji, całej wypowiedzi. Nie ufajmy temu, co widzimy, czytamy, słyszymy w naszych smartfonach. Mówię dziś moim dzieciom to, co wiele lat temu mówiłem początkującym dziennikarzom: „Bądźcie nieufni, zadawajcie pytania i szukajcie odpowiedzi, kontekstu, przyczyn i skutków". W zalewie fake newsów ważne jest, byśmy sprawdzali, czy cytowana osoba powiedziała to, co czytamy i jakie były intencje. Przykład z ostatnich dni: premier Mateusz Morawiecki mówi wyraźnie, że nie zgadza się na takie podejście do pandemii, że „umrze, kto umrze, i trudno". Co robią media? Zarządzają treścią i... rozkręcają emocje, cytując, że premier Morawiecki stwierdził o pandemii „umrze, kto umrze, i trudno". Takich przykładów można codziennie znaleźć kilka, kilkanaście. Zadając sobie samemu pytania, szukając źródeł tej wypowiedzi, obronimy się przed kłamstwem i możemy sami je demaskować. ●

***Maciej Wośko**, dziennikarz, wydawca, w zawodzie od ponad 26 lat, był redaktorem naczelnym „Dziennika Bałtyckiego", a od lat związany jest z mediami Wydawnictwa Fratria, redaktor naczelny „Gazety Bankowej" i portalu wGospodarce.pl*

Patryk Jaki – stały cel manipulatorów

Chcesz dopiec politykowi? Zakłamuj jego słowa



To, jak w łatwy sposób całkowicie zmienić sens wypowiedzi osoby publicznej, by nadać jej wręcz przeciwne znaczenie do intencji wypowiadającego, możemy prześledzić na przykładzie europosła Patryka Jakiego. To polityk, który nikomu nie odmawia komentarza i zgadza się rozmawiać także z tymi mediami, o których wie, że są mu nieprzychylne. Dzięki tej otwartej postawie możemy dziś przeanalizować dwa przypadki skrajnej manipulacji, jakiej dopuszczono się wobec jego osoby

W dobie przelewających się przez ulice polskich miast manifestacji zwolenników aborcji jedna z prywatnych telewizji informacyjnych przeprowadziła wywiad z europosłem, w którym opowiedział on o okolicznościach, w jakich się dowiedział, że jego syn przyjdzie na świat z trisomią 21 (zespołem Downa). Patryk Jaki powiedział, że rozmawiał żoną o tym, jak będzie wyglądało ich życie po narodzinach chłopca i jak będą radzili sobie w tej sytuacji. Tymczasem na portalu informacyjnym wspomnianej stacji zajawiono rozmowę z europosłem następującym tytułem: „Odbyła się między wami rozmowa, czy usunąć ciążę? Patryk Jaki: Odbyła się".

AUTOR PROSTUJE TYTUŁ

Poziom tej manipulacji musiał zawstydzić widocznie nawet przeprowadzającego wywiad dziennikarza, bo natychmiast poinformował on w internecie, że Patryk Jaki nigdy nie rozważał aborcji swojego syna. Sprawę więc natychmiast zdementowano, ale można się tylko zastanawiać, jak wiele osób nie zwróciło uwagi na dementi i nadal żyje w przeświadczeniu, że zdeklarowany przeciwnik aborcji sam się zawahał w chwili życiowej próby. Jak wiele osób uznało na tej fałszywej podstawie Patryka Jakiego za hipokrytę i jaką krzywdę wyrządzono jemu i jego dziecku.

KTO NIE CHCE INWESTYCJI?

Inny, nieco mniej drastyczny przykład pochodzi z czasów, gdy Patryk Jaki startował w wyborach na prezydenta Warszawy. Podczas jednej z konferencji prasowych powiedział: „Trudno, żeby nasz rząd finansował mosty dla Trzaskowskiego, skoro Trzaskowski mówi, że Warszawa nie potrzebuje nowych mostów, tylko kładki pieszo-rowerowe". Był to komentarz do tego, że jego kontrkandydat w wyborach Rafał Trzaskowski stwierdził wcześniej, iż w stolicy niepotrzebne są nowe mosty dla samochodów. Co z tą wypowiedzią zrobiły nieprzychylne Jakiemu media? Ucięły ją do stwierdzenia „Trudno, żeby nasz rząd finansował mosty dla Trzaskowskiego", dopowiadając, że Jaki grozi, iż w przypadku jego porażki w Warszawie budżet centralny zablokuje wsparcie dla wszelkich stołecznych inwestycji, w tym metra czy obwodnicy.

W obu opisywanych przypadkach prawdę poznały tylko te osoby, które zadały sobie trud w dotarciu do źródeł i samodzielnego sprawdzenia, co naprawdę powiedział Patryk Jaki. Ci, którzy tego nie zrobili i uwierzyli w medialny przekaz, padli ofiarą manipulacji. Przede wszystkim ze szkodą dla prawdy i własnego rozumu, ale także ze szkodą dla polityka, którego wypowiedzi tak ordynarnie przekłamano. ●

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df468be33c

Komentarz czy informacja? Umiesz odróżnić?



Teoretycznie polski czytelnik, słuchacz radia czy telewidz jest instytucjonalnie broniony – za pośrednictwem Rady Etyki Mediów (REM) przed szkodliwym mechanizmem, jakim jest łączenie suchych faktów informacyjnych z własnymi opiniami dziennikarza. W praktyce jednak nikt nie przejmuje się alarmami REM w tej kwestii, mimo że Rada to negatywne zjawisko zidentyfikowała już wiele lat temu

O ile REM może piętnować łączenie informacji z komentarzem w przypadku takich mediów jak telewizje czy stacje radiowe (choć opiniami Rady i tak mało kto się przejmuje), o tyle jest zupełnie bezradna w przypadku treści serwowanych w internecie, zwłaszcza przez prywatnych blogerów, twórców kanałów na platformie YouTube, za pośrednictwem Facebooka czy Twittera, a to właśnie te kanały informacji zyskują dziś na znaczeniu kosztem mediów tradycyjnych. Tymczasem w świecie wirtualnym w zasadzie nie funkcjonują już obiektywne źródła informacji, których celem byłoby dostarczenie nam po prostu rzetelnej wiedzy o wydarzeniach dziejących się na świecie bez próby jednoczesnego profilowania percepcji odbiorcy. Dlaczego tak się dzieje? Głównie dlatego, że wyrobiono w nas – odbiorcach treści medialnych – nawyk sięgania po te źródła informacji, które wywołują emocje. Proste, pozbawione emocjonalnego zabarwienia treści informacyjne są już dziś mało atrakcyjne, a jeśli są mało atrakcyjne, to nie zdobędą określonej liczby odsłon ani klików. Dlatego właśnie największą popularnością cieszą się newsy, w których ktoś jest obmawiany, wyszydzany lub dowodzące, że pogubił się w życiu. Taki profil tematyczny najpierw wyróżniał rubryki towarzyskie, w których bez litości rozprawiano się z gwiazdami estrady czy filmu, a dziś z celebrytami, którzy zmuszeni są do zaakceptowania hejtu pod swoim adresem. Jednak ten sposób opisywania osób przeniknął także do innych działów medialnych, w tym przede wszystkim do polityki, gdzie tylko od sympatii politycznych zależy, w jakim świetle zostanie pokazany dany polityk.

I tutaj właśnie należy zwrócić szczególną uwagę na niuanse, jakie różnią uprawnioną krytykę pod adresem polityka, rzetelne opisywanie jego działań oraz samodzielne wnioski i opinie ferowane bez hamulców przez autora informacji, które zazwyczaj mają odrzeć opisywaną osobę z wszelkiego szacunku, jaki należy się przecież każdemu człowiekowi. Jeżeli nie będziemy potrafili dostrzec w podsuwanych nam tekstach tych trzech obszarów przekazu, to siłą rzeczy nasz tok rozumowania podąży tak, jak będzie sobie życzył autor nierzetelnego artykułu. Zmyślne pomieszanie faktów, których nie sposób podważyć, z własnym negatywnym komentarzem o opisywanym człowieku jest jedną z najczęściej stosowanych sztuczek w zabarwionym propagandowo przekazie medialnym. ●

NIE OCENIAJ

Mechanizm działania dzisiejszych mediów jest bez wątpienia syndromem regresu cywilizacyjnego. Opiera się bowiem na ferowaniu jednoznacznych sądów, tymczasem najwięksi myśliciele i filozofowie zawsze podkreślali, że człowiek nie jest zdolny do oceny drugiego w sposób jednoznaczny. U podstaw tej tezy leży oczywiście ewangeliczne przesłanie, by nie sądzić drugiego, gdyż tylko Bóg jest w stanie w sposób doskonale obiektywny zważyć intencje i działanie człowieka. Przed przystąpieniem do lektury kolejnych szydzących z polityków czy gwiazd tekstów warto przypomnieć sobie także kilka cytatów:

„Nic nas tak bardzo nie okłamuje, jak nasz własny osąd”, Leonardo Da Vinci
„Umiejętność obserwowania bez oceniania jest najwyższą formą inteligencji”, Jiddu Krishnamurti
„Bardziej boję się trzech gazet niż trzech tysięcy bagnetów”, Napoleon Bonaparte

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33c

Poradnik Funduszu Sprawiedliwości

Praktyczne zasady, jak nie paść ofiarą manipulacji

Jak wszystkie postanowienia, tak i to o chęci stania się prawdziwie wolnym od manipulacji odbiorcą informacji przelewających się codziennie przez media tradycyjne i kanały internetowe, wymaga od nas wdrożenia pewnych praktycznych zasad. Nie wystarczy jedynie poznanie teorii o tym, jak świadomie poruszać się w gąszczu prawdziwych i nieprawdziwych newsów, ale konieczne jest stosowanie kilku podstawowych reguł w codziennym życiu



1. SPRAWDZAJ

Zanim wyrazisz swoje głębokie oburzenie i potępisz jakąś osobę za jej działanie, upewnij się, że przedstawiane informacje o niej są prawdziwe. Gdy nagłówki największych portali internetowych grzmią np., że oto szpital zwolnił cenionego ordynatora z powodów politycznych, sprawdź najpierw, czy może po prostu nie wygasł jego kontrakt, a sam lekarz dostał nawet lepszą i lepiej płatną propozycję pracy w tym samym szpitalu. Gdy pracę traci popularny prezenter radiowy, upewnij się, zanim wybuchniesz gniewem, czy przypadkiem on sam nie złożył wymówienia. Takie działanie wymaga spokoju, czasu i namysłu.

2. UWAŻAJ NA TZW. PARTYJNE PRZEKAZY

Jeżeli jesteś zagorzałym zwolennikiem którejś z partii politycznych, zachowaj zdwojoną czujność. Pamiętaj, że przekaz formułowany przez polityków ma na celu dotarcie do tzw. twardego elektoratu i jest precyzyjnie konstruowany często z pominięciem faktów lub ich bardzo wybiórczym doborem.

3. SZUKAJ TEGO, CO ŁĄCZY

Pamiętaj, że ten, kto ma inne poglądy niż ty, także jest człowiekiem, a jego życie również jest pełne trosk dnia codziennego, takich samych, z jakimi ty się borykasz. Postaraj się dojrzeć w nim drugą osobę o odmiennych poglądach, a nie przeciwnika czy nawet wroga, którego należy za wszelką cenę zniszczyć czy poniżyć. Pamiętaj, że właściwie nikt nie myśli o sobie jako o człowieku złym i zazwyczaj stara się działać w imię najlepiej pojmowanych – przez samego siebie – intencji. Błądzić jest rzeczą ludzką i naprawdę warto wierzyć, że ludzi dobrej woli jest więcej.

4. KORZYSTAJ Z BOGACTWA JĘZYKA POLSKIEGO

Nie bój się czynić zastrzeżeń w swoich wpisach internetowych czy wypowiedziach. Śmiało korzystaj z takich form jak „moim zdaniem", „być może wszystkiego nie wiem", „z tego, co do nas dociera, wynika, że", „nie odmawiam dobrych intencji" itd. Nie wszystkie działania czy decyzje musimy i jesteśmy w stanie od razu rozumieć, ale nie możemy odmawiać prawa ludziom do ich podejmowania tylko dlatego, że wydają się nam one nieodpowiednie. Jednocześnie unikaj zbyt mocnych, obcesowych sformułowań, a już w szczególności wulgaryzmów, gdyż one kończą możliwość racjonalnego sporu.

5. NIE ZAMYKAJ SIĘ W TZW. BAŃKACH MEDIALNYCH

Polska jest krajem wolności słowa. Świadczy o tym niespotykany już dziś nawet w Europie Zachodniej sto-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33c

pień zróżnicowania mediów i pluralizm przekazów w przestrzeni publicznej. Taka sytuacja powinna ułatwiać zapoznanie się z argumentami wszystkich stron jakiegokolwiek sporu. Korzystaj z tej możliwości! Staraj się czytać różne media, waż argumenty, wyciągaj samodzielnie wnioski. Obcowanie wciąż z tymi samymi mediami sympatyzującymi z jedną stroną sporu politycznego prowadzi do zacietrzewienia i pozbawia możliwości poznawczych.

6. DAJ SOBIE WIĘCEJ CZASU

Niestety bardzo wiele informacji kolportowanych w przestrzeni publicznej po upływie kilku czy kilkunastu godzin okazuje się fałszywymi wiadomościami. Aby nasze emocje nie padły ofiarą fake newsów, warto zawsze odczekać ze swoją reakcją jakiś czas i sprawdzić, czy nie pojawi się dementi dotyczące „niusa", który właśnie strasznie nas oburzył. Spokojne działanie i głęboki namysł z pewnością cechują człowieka rozumnego.

7. CZYTAJ DO KOŃCA

Nie ograniczaj przeglądania wiadomości z dnia do nagłówków czy kilkusetznakowych wpisów z Twittera. Tytuły są bardzo często sformułowane w sposób zdecydowanie zbyt mocny w stosunku do treści, jakie się za nimi kryją. Czasami dopiero w ostatnim akapicie tekstu jest ukryta informacja, która może wywrócić o 180 stopni przekaz zawarty w tytule i tezy, jakie stawia autor, licząc pewnie, że nikt nie przeczyta tekstu do końca.

8. WYPATRUJ GŁOSU KAŻDEJ STRONY

Tekst oczernia lub wyśmiewa jakąś gwiazdę estrady, polityka, sportowca czy inną osobę publiczną? Sprawdź, czy autor zadał sobie trud dotarcia do tej osoby i wysłuchania jej racji? Sprawdź, czy pomawiany lub obrażany już w jakiś sposób nie zareagował na ten tekst, np. domagając się przeprosin lub sprostowania.

9. NIE UFAJ WŁASNYM OCZOM

Widziałem filmik – ile razy można usłyszeć taki argument od osoby, która używa go na poparcie przekonania o tym, że należy jednoznacznie ocenić daną sytuację. Zastanów się jednak, czy te kilka sekund czy nawet kilka minut uwiecznione na filmie, na pewno przedstawia cały kontekst zdarzenia. Być może zarejestrowana sytuacja jest tylko wycinkiem większej całości, a reakcje osób, których zachowanie krytykujesz, wynikały z jakichś okoliczności, których nie widziałeś?

10. BROŃ DZIEDZIN, KTÓRE DOBRZE ZNASZ

Najłatwiej obnażyć niekompetencje lub złą wolę autora wówczas, gdy zabiera się on do opisywania spraw, które świetnie znamy, bo np. jesteśmy fachowcami w danej dziedzinie czy byliśmy naocznymi świadkami zdarzeń. Dla dobra wspólnego nie wahajmy się wówczas dementować jako naoczni świadkowie błędnych czy rozmyślnie fałszywych informacji. Będzie to nasz mały wkład w trudnej walce o przyzwoitość w świecie informacji. ●

REALNA POMOC DLA OFIAR MANIPULACJI

W skrajnych przypadkach medialne manipulacje czy internetowe fake newsy mogą bardzo realnie skrzywdzić konkretne osoby. Walka o swoje dobre imię często jest bardzo trudna, wymaga bowiem odkłamania oszczerstw, które rozpleniły się już w przestrzeni medialnej. Tak jak w przypadku innych przestępstw, tak i ofiary manipulacji medialnych nie mogą być pozostawione same sobie. Ważne jest, by uzyskały przede wszystkim skuteczną pomoc prawną i psychologiczną, a także materialną, gdy nie stać ich na opłacenie pełnomocników. Takim osobom także pomaga Fundusz Sprawiedliwości.

Fundusz Sprawiedliwości wspiera ofiary przestępstw, ich bliskich, innych pokrzywdzonych i świadków

Ze środków Funduszu Sprawiedliwości:

- **Organizowana** jest pomoc prawna.
- **Zapewniane** wsparcie psychologiczne.
- **Zapewniane** wsparcie tłumacza i tłumacza języka migowego.
- **Wsparcie** materialne.
- **Pokrywane są koszty** świadczeń zdrowotnych, rehabilitacji oraz związanych z edukacją i aktywizacją zawodową.
- **Mogą być finansowane** przejściowe problemy ze zobowiązaniami czynszowymi.

Więcej informacji na stronie **FunduszSprawiedliwosci.gov.pl**

JAK SKORZYSTAĆ Z POMOCY FUNDUSZU

W celu otrzymania wsparcia z Funduszu Sprawiedliwości prosimy w pierwszej kolejności kontaktować się z Linią Pomocy Pokrzywdzonym **pod numerem +48 222 309 900 lub na adres e-mail info@numersos.pl.**

Mogą się państwo również kontaktować telefonicznie z wybranym ośrodkiem pomocy, który świadczy działalność w ramach współpracy z Funduszem Sprawiedliwości.

Z uwagi na zagrożenie epidemiczne obecnie osobista wizyta w placówce będzie możliwa wyłącznie po wcześniejszym umówieniu i potwierdzeniu możliwości przyjęcia w placówce.

eprasa.pl df468be33c

Anatomia manipulacji

Czy „ofiara” zawsze jest ofiarą?

Współczucie dla ofiary i złość na oprawcę lub ciemiężyciela to dwa najczęściej wykorzystywane uczucia przez propagandystów i manipulatorów medialnych. By zdobyć wysokie poparcie społeczne, zebrać sowite fundusze za pośrednictwem internetowej zbiórki, najlepiej spozycjonować się jako ofiara przemocy i ucisku. Tak wytworzony przekaz gwarantuje poparcie od osób, które są zupełnie niezorientowane w prawdziwej sytuacji i po prostu łatwo dadzą się nabrać

W 2020 r. Polska i Polacy wielokrotnie musieli się mierzyć z podobnymi sytuacjami, które przyniosły i wciąż przynoszą naszemu krajowi poważne szkody, nie tylko wizerunkowe, lecz również materialne. Przypomnijmy sobie trzy największe i aktualne manipulacje wymierzone w naszą ojczyznę.

STREFY WOLNE OD LGBT

Nie ma i nigdy nie było w Polsce takich obszarów, w których ktoś byłby wykluczany czy prześladowany z powodu swojej orientacji seksualnej. Niestety akcja propagandowa, której autor wieszał przy nazwach miejscowości tabliczki stylizowane na urzędowe z napisem „Strefa wolna od LGBT”, sprawiła, że wiele osób poza granicami Polski uwierzyło w istnienie takich miejsc. O nieprawdopodobnej wręcz skuteczności tej prymitywnej propagandy mogliśmy się przekonać, śledząc chociażby wypowiedzi ważnych komisarzy europejskich, którzy posługiwali się tym kłamliwym sloganem. To bardzo mocny przykład na to, jak łatwo dziś poprzez świadome kłamstwo wpłynąć na opinię światową, gdyż większość ludzi nie zadaje sobie trudu weryfikacji wiadomości.

RZĄD A PRAWA KOBIET

Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, które w zasadzie powieliło poprzednie orzeczenia o wynikającej z Konstytucji konieczności ochrony życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci, rozsierdziło proaborcjonistów. Przy okazji jednak wróciły zarzuty o rzekome łamanie praw kobiet w Polsce. Aborcja została wymieszana z takimi zjawiskami jak przyzwolenie na przemoc domową. Aborcjoniści zawiesiły na krzyżu stojącym na Giewoncie wielki baner z hasłem „Przemoc domowa to nie tradycja”. Ta skandaliczna manipulacja emocjami społecznymi dzieje się w czasie, kiedy właśnie w praktyce zaczyna działać ustawa antyprzemocowa, która jak nigdy wcześniej rozprawia się ze zjawiskiem przemocy domowej w Polsce, spychając na jej sprawcę konieczność zapewnienia sobie dachu nad głową, a chroniąc jego ofiary. Mimo że to rząd Zjednoczonej Prawicy jako pierwszy miał odwagę tak mocno ująć się za prawami ofiar przemocy domowej, to właśnie jemu – jak żadnemu innemu przedtem – jest przyklejana łatka świadcząca o czymś zupełnie przeciwnym. I znów osoby niezorientowane w polskich realiach, ale także mnóstwo polskich obywateli zamkniętych w bańce medialnej jednej ze stron politycznego sporu, dało sobie wmówić, że rząd nie wspiera polskich kobiet. W mediach wrogich polskiemu rządowi trudno bowiem znaleźć choćby wzmiankę o ustawie antyprzemocowej, która weszła w życie 30 listopada.

POLSKA NIE CHCE BYĆ W UNII EUROPEJSKIEJ

Skoro wiele osób na świecie uwierzyło, że są u nas strefy wolne od LGBT, wielu z pewnością wierzy też, że rząd sprzyja przemocy domowej, to praca innych kolporterów kłamstwa o chęci wyprowadzenia Polski z UE także zapewne przyniesie swoje zatrute owoce. Każdy głos świadczący o podmiotowości Polski na arenie europejskiej, każda próba zatroszczenia się o narodowy interes Polaków jest natychmiast okładana w przekazach medialnych argumentami o realizowaniu „pełzającego polexitu”. Oczywiście, podobnie jak w przypadku pozostałych antypolskich manipulacji, lansujące je osoby kłamią w pełni świadomie w imię swoich doraźnych korzyści politycznych, licząc na przejęcie władzy. Natomiast ich przekaz infekuje wiele osób w Europie i na świecie, które zwyczajnie nie mają ochoty, czasu lub stosownego wykształcenia, by głębiej zainteresować się polskimi sprawami i przekonać się samodzielnie, jaka jest prawda.

Szkodliwość manipulacji pokazana na powyższych przykładach uświadamia, jak ważne jest, by każdy człowiek się jej przeciwstawiał, zaczynając od nauki świadomego odbioru serwowanych nam w nadmiarze informacji. To najlepsze noworoczne postanowienie. ●

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 12/1020/F

STOWARZYSZENIE AKADEMIA SPORTU Artura Siódmiaka
MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Reklama | 6/1220/F

eprasa.pl df468be33c



Dr. Schumacher
Sp. z o.o.

Świąteczne i noworoczne życzenia zdrowia i osobistego szczęścia

Dla wszystkich pracowników
służby ochrony zdrowia w Polsce
– dla lekarzy, pielęgniarek, salowych
i dla każdego, kto pomaga

od firmy Dr. Schumacher,
producenta profesjonalnych środków do dezynfekcji

fot. Shutterstock

eprasa.pl df468be33c

Katarzyna Łaniewska – pożegnanie

W pamięci widzów pozostanie dzięki rolom w filmach „Kogel-mogel" i telenoweli „Plebania". Wielu wspomni jej polityczne zaangażowanie. W każdej z tych ról, i filmowych, i pozaekranowych, zdecydowanie i otwarcie wyrażała swoje opinie. Mówiła prosto z mostu, nie owijała w bawełnę –również jako felietonistka tygodnika „Sieci". Jednocześnie dopełniała swoje filmowe postaci codziennym, zwyczajnym i tak potrzebnym w każdym czasie ludzkim ciepłem i życzliwością.

Taka była, przez 11 lat spotkań z telewidzami, jej babcia Józia – gospodyni na „Plebanii". Taką też stała się grana przez nią w filmach z cyklu „Kogel-mogel" matka głównej bohaterki. Z pierwszej części, nakręconej w roku 1988, zapamiętana głównie dzięki scenie widowiskowego lamentu.

„Oj córciu, córciu...!" wracało do aktorki jak bumerang. W rozmowie przeprowadzonej na łamach naszego tygodnika wspominała: – Bardzo mnie ludzie z tej roli zapamiętali. Nieraz po bogoojczyźnianym przedstawieniu, podczas którego recytowałam patriotyczne piękne wiersze, zwykle doskonale przyjmowane, ktoś przychodził i mówił: „Ale w »Koglu-moglu« to była pani doskonała!". Ba, kiedyś samochód szybko naprawiłam, płacąc odegraniem scenki „Oj, córciu, córciu!".

Nikt z obsady nie przypuszczał, że historia Kasi Solskiej będzie takim przebojem, że pozostanie w sercach dawnych fanów i zaskarbi sobie sympatię nowych, dając powód powstania, po wielu latach, kontynuacji.

W filmie „Miszmasz, czyli kogel-mogel 3", który miał premierę w ubiegłym roku, a także w powstałych już zdjęciach do kolejnej części, Katarzyna Łaniewska grała już inną wersję swojej bohaterki sprzed lat. Kogoś bliskiego jej współczesnemu, prywatnemu wizerunkowi.

Scenarzystka Ilona Łepkowska, żegnając aktorkę, mówiła: „Sama wspominała, że w swoim czasie ta rola otworzyła jej wiele dróg i ustawiła wiele kontaktów. Później zagrała piękną rolę babci Józi w »Plebanii« i to był jej powrót na ekrany. Natomiast dwie ostatnie części »Kogla-mogla« przypominają ją widzom na nowo. Cieszę się, że napisałam jeszcze tę rolę dla niej.

Włodzimierz Matuszak, który od 2000 r. wcielał się w serialowego proboszcza Antoniego, podkreśla, że Katarzyna Łaniewska była „zawodowcem, zawsze przygotowana do pracy. Miała dużo energii, doceniała przygotowanie i sprawność aktorską innych".

Grając w „Plebanii", aktorka z humorem zaznaczała, jak rola babci Józi określiła ją prywatnie. Podobnie zresztą jak postać matki Kasi Solskiej. W teatrze, zwłaszcza na początku kariery, obsadzana była w rolach amantek i dam. Na ekranie grała często proste kobiety. Do obu tych zawodowych wizerunków miała dystans. Opowiadała m.in. o scenie zakupów, gdy ekspedientka, widząc elegancką klientkę w kapeluszu, długo się zastanawiała, skąd zna tę twarz, by z niedowierzaniem przyjąć, że to odtwórczyni roli babci Józi.

Poczucia humoru i autoironii nie brakowało aktorce także w relacjach z kolegami. To na planie „Plebanii" padły podobno, chętnie potem cytowane, słowa: „Byłam żoną Otella i żyję!". Chodziło o pierwszego męża, Ignacego Gogolewskiego, który zagrał niegdyś tę szekspirowską postać na scenie.

Owocem pierwszego małżeństwa była córka. Pięć lat temu Katarzyna Łaniewska została prababcią.

Zmarła 7 grudnia, w wieku 87 lat.

JGZ



Reklama | 10'x220/F

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df468be33



ZIELONY ZWROT PGNiG

PGNiG prowadzi programy badawcze mające na celu rozwój paliw alternatywnych. Chcemy zaangażować się w wykorzystanie biometanu oraz produkcję, magazynowanie i dystrybucję wodoru. Poszerzamy kompetencje w obszarze wytwarzania energii elektrycznej z odnawialnych źródeł

PGNiG

df468be33c

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Śladem Pawła Włodkowica



www.wojciechreszczynski.pl

Szukanie historycznych analogii jest zajęciem niezwykle inspirującym. Mogą one zadać kłam współczesnym teoriom, na których próbowano budować tzw. koniec historii, ale i zachowują wyrazistą aktualność, nawet gdy sięgają w daleką przeszłość. Upadek komunizmu i przyjęcie przez większość państw liberalnej demokracji nie odesłały historii do lamusa, raczej twórcę tego neoheglowskiego poglądu, czyli politologa i filozofa Francisa Fukuyamę.

A teraz zestawię zmagania Polski z zakonem krzyżackim w XV w. na arenie międzynarodowej, a konkretnie na tle historii myśli europejskiej, ze zmaganiami polskiego rządu z Unią Europejską, szczególnie od czasu kiedy do władzy w Polsce doszły siły narodowe i patriotyczne.

Polska w XV w. znajdowała się w kręgu kultury zachodniej, choć nie przyjęła feudalizmu jako podstawy ustroju państw europejskich, zachowując tradycyjny ustrój rodowy. Była chrześcijańska, ale odrzucała zwierzchnictwo cesarza, czego wymagały ówczesne prawo i europejski porządek. Mieliśmy wszak, dzięki św. Wojciechowi, własną prowincję kościelną w Gnieźnie, i to już od 400 lat. Polska nie zaakceptowała reguły, że każdy w Europie musi mieć swojego suwerena i być czyimś wasalem. Polska nie wtopiła się w cesarski system jak Czesi, ale wytworzyła własną koncepcję bycia w Europie. Stworzyła, jak pisze prof. Feliks Koneczny – „własne pojęcie dobra społecznego, jako trzecią z kolei teorię tego rodzaju w chrześcijaństwie", trwając przy tej koncepcji, której twórcą był kanonik Paweł Włodkowic z Brudzewa, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. To on wraz z polską delegacją na soborze w Konstancji w latach 1414–1418 zadał prawdziwą klęskę zakonowi krzyżackiemu, popieranemu przez całą ówczesną Europę. Była to klęska o wiele większa niż pod Grunwaldem. Sobór powszechny Kościoła katolickiego wraz z papieżem Marcinem V przyjął polskie postulaty, aby względem pogan obowiązywały te same prawa, co względem chrześcijan, oraz zasadę, że nie wolno nawracać na wiarę katolicką przemocą. Runęła więc w gruzach cesarska, a zarazem katolicka teoria imperializmu chrześcijańskiego, tym samym wspieranie zakonu krzyżackiego straciło sens. Wkrótce Czesi wypowiedzieli posłuszeństwo cesarzowi, stany węgierskie zawarły przymierze ze stanami polskimi, a biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki wprowadził równouprawnienie husytów. Zwyciężyła polska dyplomacja, wypracowana z mozołem teoria braterstwa narodów oraz zasada, że prawo publiczne ma swoje źródła w społeczeństwie, a nie w dynastyczności.

Polska musiała wtedy przejść okres wyjątkowo podłych ataków i oskarżeń. Na przykład dominikanin Johannes Falkenberg za pieniądze zakonu krzyżackiego głosił, że nie może być większej zasługi dla chrześcijaństwa jak zabicie każdego Polaka, a polskiego króla i jego dostojników należy jak najszybciej powiesić.

Nie różnił się więc Falkenberg od współczesnego Niemca prowadzącego w Polsce własną firmę, niejakiego Hansa G., który zapewniał publicznie, że zabiłby wszystkich Polaków. Nie dziwią też wypowiedzi europejskich polityków o zmuszeniu Polski głodem do ustępstw (wiceszefowa PE Katarina Barley), czyli odcięciem gotówki, oraz polskich jurgieltników zainteresowanych sprowadzeniem Polski do roli kraju wasalnego względem Unii Europejskiej. „Kończą się ustępstwa wobec tych, którzy podważają fundamenty UE" – Donald Tusk.

W kontekście brukselskich zmagań w sprawie narzuconego Europie przez Niemcy, wbrew traktatom lizbońskim, rozporządzenia wiążącego wypłatę unijnych pieniędzy z tzw. praworządnością, niezwykle przydatna okazuje się historia sprzed 600 lat. Znowu Europa Zachodnia, zdominowana przez Niemcy, przyjmuje rozwiązania, które nie są do zaakceptowania przez Polskę i Węgry i pewnie przez inne kraje Europy Środkowej, które albo są zastraszone, albo rządzone przez liberalnych unijnych funkcjonariuszy, którzy pogodzili się z rolą wasali. Po pierwsze dlatego, że łamią cywilizacyjny porządek prawny wyrażony w sentencji pacta sunt servanda, czyli że umów należy dotrzymywać. Po drugie, za hasłem unijnych wartości czy „fundamentów" kryją się idee, a raczej ideologie, sprzeczne z polską kulturą, pojęciem dobra społecznego oraz rozumieniem chrześcijańskich powinności, czego zaprzeczeniem jest ostatnia rezolucja PE wspierająca powszechnie dostępną aborcję. Po trzecie, Unia Europejska za zgodą większości państw zależnych od największego państwa w Europie, czyli Niemiec, przeprowadza zamach na polską niepodległość, budując europejską federację pozbawionych suwerenności państw. Już w listopadzie 2018 r. kanclerz Angela Merkel pozwoliła sobie na szczere wyznanie: „Państwa narodowe powinny być dziś gotowe do zrzeczenia się suwerenności".

Prof. Feliks Koneczny w swojej mądrości wzywał nas, abyśmy „wyrzekli się stosowania do sprawy polskiej pruskich i moskiewskich poglądów na świat". I o to właśnie chodzi. Idźmy śladem Pawła Włodkowica z Brudzewa.

eprasa.pl df468be33c



Bezpieczeństwo dla całej rodziny

W dobie walki z pandemią i związanymi z nią obawami Polacy szukają bezpieczeństwa pod parasolem ubezpieczycieli. W ostatnim czasie nastąpił lawinowy przyrost zawieranych polis na życie – w trzecim kwartale 2020 r. Grupa PZU zanotowała rekordowy przypis składki z ubezpieczeń indywidualnych, który wyniósł 476 mln zł. Najmocniej rosły ubezpieczenia ochronne na życie – wzrost przypisu składki o 33% r/r. Jego motorem były właśnie ubezpieczenia ochronne na życie, które zapewniają pomoc finansową w najtrudniejszych sytuacjach życiowych – chorobie, utracie sprawności czy śmierci najbliższej osoby

Wg badań przeprowadzonych na zlecenie PZU przez Norstat jedynie 25 proc. z nas ma oszczędności przekraczające sześć miesięcznych pensji, nic więc dziwnego, że ubezpieczenia na życie zaczynają się cieszyć coraz większą popularnością. Z przytoczonego badania wynika również, że dotychczas Polacy kojarzyli ubezpieczenie na życie jedynie ze świadczeniem na wypadek śmierci. Tymczasem zakres polis na życie jest bardzo szeroki i obejmuje finansową pomoc w wielu sytuacjach, choćby takich jak hospitalizacja, ciężka choroba (np. nowotwór złośliwy), utrata sprawności w codziennym życiu (np. brak możliwości schylania się, siedzenia czy chodzenia po schodach), aż po organizację leczenia za granicą i pokrycie jego kosztów.

– Nagłe sytuacje, takie jak ciężka choroba czy poważna operacja, rodzą obawy o to, czy bliscy poradzą sobie finansowo. To niestety uzasadnione troski. Jak pokazuje nasze badanie, mało kto ma oszczędności powyżej półrocznego dochodu. A nawet i takie często będą niewystarczającą poduszką finansową w przypadku leczenia najcięższych chorób, kilkumiesięcznej utraty dochodów czy kosztownej, prywatnej rehabilitacji – mówi Krzysztof Szypuła (na zdj.), członek zarządów PZU SA i PZU Życie SA.



Od 1 grudnia 2020 r. oferta indywidualnych ubezpieczeń PZU znacząco się poszerzyła. Jedną z najważniejszych zmian jest możliwość objęcia ochroną – w ramach jednej polisy – również małżonka lub partnera oraz dzieci. Dzięki temu można kompleksowo ubezpieczyć całą rodzinę, a nowe ubezpieczenia działają na całym świecie. Wspólna polisa oznacza również prostsze zawarcie umowy i opłacanie jednej składki za wszystkich członków rodziny objętych polisą.

– Nie tylko rozszerzyliśmy zakres ochrony, ale przede wszystkim zadbaliśmy o to, aby odpowiadała ona na potrzeby i oczekiwania klientów i dawała im realną wartość. Dlatego m.in. nasze ubezpieczenia oferują możliwość wielokrotnej wypłaty świadczenia, najszerszą w Polsce listę dziecięcych ciężkich chorób objętych ubezpieczeniem, dodatkowe wsparcie w razie hospitalizacji dziecka w wyniku nowotworu. Po pobycie w szpitalu klienci mogą również otrzymać Kartę apteczną, uprawniającą do zakupów dowolnych produktów dostępnych w aptece. Wszystko po to, aby dzięki pieniądzom z ubezpieczenia lepiej wspierać ubezpieczonych i ich rodziny w trudnych sytuacjach życiowych – podkreśla Agnieszka Rowińska, dyrektor Biura Zarządzania Ofertą PZU.

Nowa oferta dotyczy ubezpieczeń indywidualnych PZU Gwarantowane Jutro, PZU Wsparcie Najbliższych, PZU Ochrona Każdego Dnia oraz PZU Na Dobry Początek.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 1/1220/F

eprasa.pl df468be33c

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Świętość Dżesiki



Aleksander Nalaskowski

Tak wypadło, że ten felieton ukaże się 10 dni przed Wigilią. Trochę za wcześnie, aby w zupełnie świątecznym nastroju składać życzenia, a jednocześnie to czas adwentu i trudno pominąć wątek świętości.

Obserwuję postępującą desakralizację naszego życia. To nie tylko kwestia młodzieży odchodzącej od Kościoła, a właściwie od Boga, to nie tylko kobiety wyśpiewujące szmirowate bzdury na melodię kolęd, to nie tylko niszczenie wizerunku naszego papieża i stanu duchownego, ale także drobiazgi, których pewnie nie jesteśmy świadomi.

Mdło mi się robi, gdy słyszę w radiu (także od mojej Jedynki z kultowymi Czejarkiem, Bińczycką, Szabłowską i innymi klasykami mikrofonu) o jakichś mikołajkach. Ludzie, czy naprawdę nie pamiętacie, że to dzień św. Mikołaja, a Mikołajki to miejscowość na Mazurach!? W ten sposób nasze dzieciaki już zupełnie nie będą wiedziały, o co w tym wszystkich chodzi. To święto na cześć tego wyjątkowego biskupa, a nie jakieś podarunkowe i bliżej nieokreślone mikołajki. Podobnie jest z walentynkami. To dzień na cześć tego wczesnochrześcijańskiego biskupa i męczennika, którego miłość (rozumiana jako umiłowanie) przywróciła wzrok niewidomej dziewczynie. Jak daleko od tego odeszliśmy, niech świadczy akcja sprzed kilku lat, gdy w tym dniu na toruńskim deptaku rozdawano prezerwatywy. Umiłowanie drugiego człowieka i męczeństwo za wiarę sprowadzono do poziomu kopulacji. Na Wybrzeżu jakaś agencja towarzyska w tym dniu ogłaszała „preferencyjne ceny". Mam też pretensje do mojego niedawnego środowiska – do koniarzy. Bo jest bieg na cześć św. Huberta, a nie jakiś hubertus, który nikomu z niczym się nie kojarzy. Czy młodzi pasjonaci hippiki mają chociaż odrobinę pojęcia o patronie tego dnia? Czy znają jego historię? Czy wiedzą, po co cwałują po lesie?

Świętowanie to realizacja trzeciego przykazania. Jeśli więc ktoś nie uznaje Bożego Narodzenia, to może powinien w tym czasie normalnie pracować, a nie zajadać się karpiem

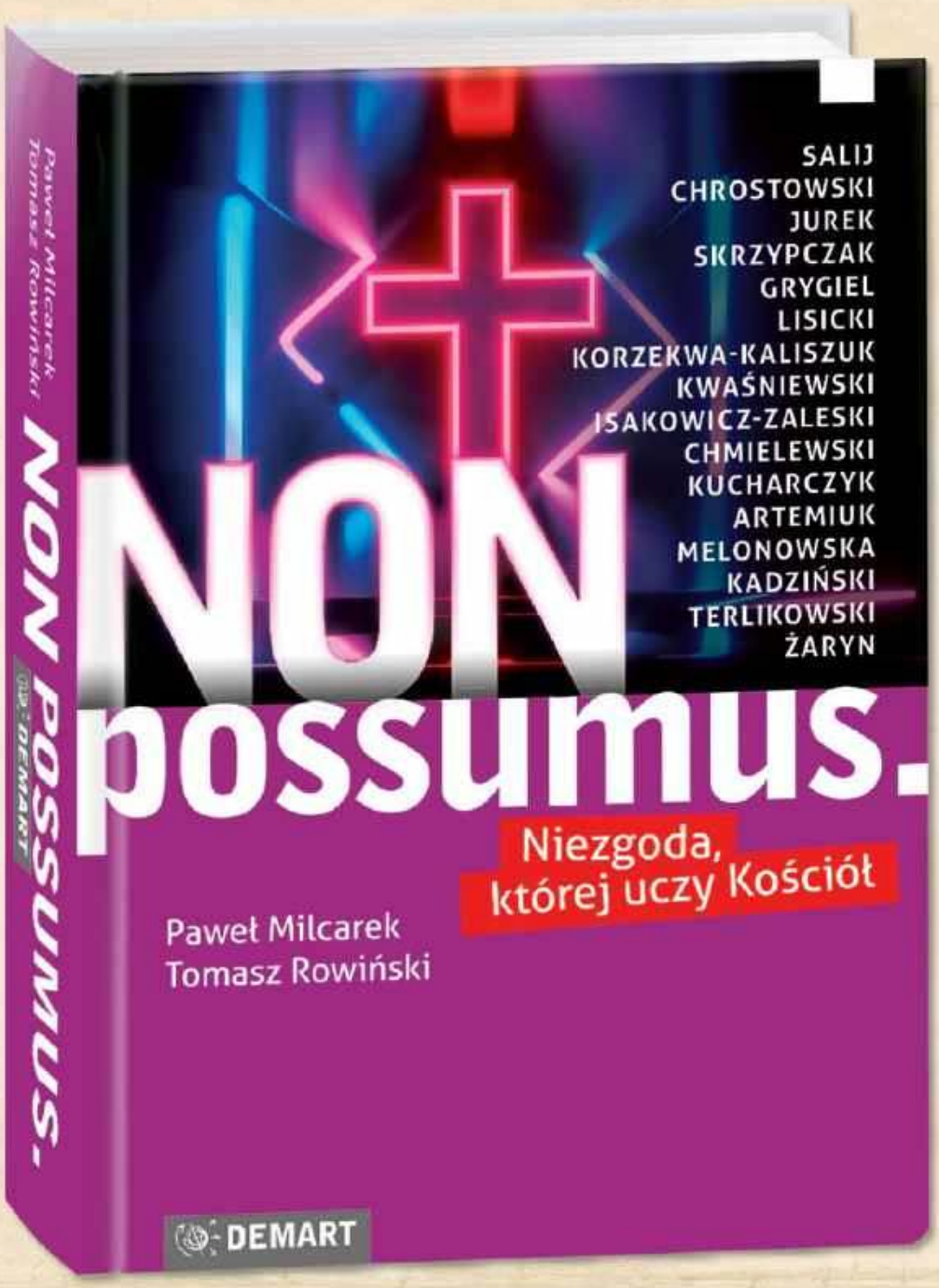
Innym obszarem naszej swojskiej desakralizacji są życzenia świąteczne. Ile się musi natrudzić jeden z drugim i piętnastym copywriter, aby z życzeń składanych pracownikom na internetowych stronach firm, korporacji, instytucji mniej lub bardziej publicznych, skutecznie ominąć Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Poza kuriozalnymi kartkami Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, o których niedawno było głośno, są setki kartek świątecznych pełnych bałwanków, ośnieżonych domków w lesie, sań ciągnionych przez renifery, brodatego jegomościa z Finlandii z neutralnym napisem „Wesołych świąt". Tylko nie bardzo wiadomo, z jakiego powodu ma nam być tak wesoło? Z powodu bałwanów, reniferów, domków w lesie? Bo przecież coś mamy świętować. Ale co? Napisać nie łaska? Świętowanie to realizacja trzeciego przykazania. Jeśli więc ktoś nie uznaje Bożego Narodzenia czy Wielkanocy, to może powinien w tym czasie normalnie pracować, a nie leniąc się, zajadać się karpiem czy białą kiełbasą? Bo jeśli nie ma Boga, to nie może być wskazanych przez niego świąt, a zatem nie ma powodu do ogólnokrajowej laby.

Jeszcze inny obszar to imieniny. Zdumiewające, ilu młodych ludzi (sądząc po moich studentach) nie wie, kiedy obchodzi imieniny. Na moje pytanie wzruszają ramionami. Bo imieniny to święto, którego najczęściej zupełnie nie rozumiemy i tak naprawdę to bodaj święto ku czci kalendarza. Tymczasem jest to święto naszego patrona, naszego osobistego świętego! Tu nie idzie o tort, ale o niebo, o coś więcej niż doczesność. Ale ilu rodziców wie, a ilu świadomie wybiera swemu dziecku niebieskiego protektora? Ilu Stanisławów identyfikuje się z męczennikiem ze Skałki, a ilu z Kostką? A ilu Aleksandrów cokolwiek wie z jednym z dziewięciu świętych o tym imieniu? W niektórych regionach Polski całkiem do niedawna, a w każdym razie do lat 50. ubiegłego stulecia, był zwyczaj, że dziecko przynosiło sobie imię. Zatem patronem był ten, w którego dniu się ktoś urodził. Bo to oznaczało, że właśnie ten, a nie inny święty zapukał do nowonarodzonego życia. Był to też znakomity sposób na podtrzymanie imion rzadkich. Zatem na Podlasiu spotykałem Sławojów, Zenobie, Jacentych, Eustachych, Hieronimów, Marianny, Witalisów, Rochów i wiele innych cudnych imion. A jeśli ktoś miał inne imię niż imię patrona danego dnia, to imieniny obchodzono w najbliższym dniu danego świętego, którego imię nadano dziecku, ale zawsze po urodzinach i nigdy przed. Ten zwyczaj jest jeszcze gdzieniegdzie w Polsce przestrzegany. No tak, ale czy była jakaś błogosławiona Dżesika albo Kokina?

Życzę Wam, drodzy Czytelnicy, pandemicznie zdrowych świąt, zdarcia gardeł przy kolędach i takiej gwiazdy betlejemskiej, która z nieba bez trudu zasłoni wszelkie błyskawice na ziemi. Błogosławionych świąt!

Reklama | 31/1120/F

eprasa.pl df468be33c



W ***Non possumus*** pokazujemy gdzie znajdują się punkty koniecznego oporu wobec chorób jakie rozmnożyły się w społecznym ciele kościelnym. Szukamy określenia postaw, których ćwiczenie powinno być jedną z ważnych sprawności każdego katolika, a mianowicie zdrowej niezgody i posłuszeństwa. W czasie kryzysu to zasadnicza kwestia: komu i czemu winniśmy podległość i uległość, a wobec czego i kogo jesteśmy wręcz zobowiązani do sprzeciwu i niezgody. Chodzi o zdolność do wierności katolickim zasadom zarówno wobec presji światowej jak i presji wewnątrzkościelnej. *(Od Autorów)*

www.demart.com.pl

DEMART

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Eurodiler

Był już brexit. Czy czeka nas Finnish, ItaLEAVE, AdiEU? Takie żarciki robią sobie niektórzy. A może najpierw PolEND?

Kiedyś zaapelowałem, żeby rząd brał pod uwagę wyjście Polski z Unii Europejskiej. Nie mówiłem: „Musimy wystąpić", ale rozważajmy taką opcję, miejmy rozpisane scenariusze, organizacyjne i finansowe, bo tego wymaga odpowiedzialność za państwo. Krzyczeli wtedy na mnie, że wzywam do opuszczania Unii. A ja tłumaczyłem, że z całego serca jestem za członkostwem Polski w UE – póki się to opłaca, póki zgadza się kasa, póki Polsce i Polakom to nie szkodzi. Chyba nic w tym złego ani dziwnego, kiedy dobrze życzy się ojczyźnie? Ale mądrzy rządzący muszą brać pod uwagę różne ewentualności.

W czasach, gdy do Unii wstępowaliśmy, przekonywano nas, że wspólnota ma na celu wyrównanie poziomu cywilizacyjnego, a na wewnętrzne sprawy Polski – szczególnie te dotyczące kwestii społecznych i moralnych – wpływać nie będzie. Kłamali? Może łgali, może byli naiwni. Ten, kto był odrobinę bystrzejszy i uważniej przyglądał się sytuacji, od początku się domyślał. Unia działa jak narkotykowy diler: najpierw rozdaje próbki kokainy, potem tanio sprzedaje, uzależnia, a w końcu w zamian za kolejne działki narkotyku żąda wszystkiego, co masz.

No i właśnie do tego momentu dziś doszliśmy. Albo zapłacimy naszą wolnością i suwerennością, albo będziemy na finansowym głodzie.

Ale dziś nie chcę pisać o haraczu za kolejną porcję eurokokainy. Bo na tapecie jest koronawirus. A właśnie w grudniu 2020 r. UE bierze odpowiedzialność za śmierć kolejnych tysięcy Polaków. Oraz milionów Europejczyków.



Dominik Zdort

Podczas gdy Wielka Brytania, niekrępowana absurdalnymi przepisami unijnymi, błyskawicznie zaakceptowała szczepionkę (i niech mi mądrale nie mówią, że Brytania nie pilnuje standardów, bo każdy wie, że to banialuki), brukselskie urzędasy muszą odbyć dziesiątki spotkań, konsultacji, podpisać setki dokumentów – a w tym czasie umierają w męczarniach kolejni chorzy na COVID-19.

Reasumując: obecność w UE kosztuje nas dziś tysiące zmarłych, pogrzebów, grobów. Dziesiątki tysięcy rodzinnych tragedii, do których dochodzi tylko dlatego, że „unijne procedury" są niewydolne dlatego, że eurourzędasy muszą odbyć kolejne narady.

Nie mnie oceniać, ile warto zapłacić za ludzkie życie. To jest tylko luźny komentarzyk do rzeczywistości. Nie wzywam do niczego. Pokazuję konsekwencje.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

TV Strajku Kobiet

Suchanow, notuj wszystko, co powie, zanim zaczniemy nagrywać z nim program – mówiła Marta Lempart do swej partnerki w studiu telewizji internetowej Strajku Kobiet pod nazwą TV Wku...ona.

Chwilę później do studia wszedł prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski – pierwszy gość nowo otwartej telewizji.

– Dzień dobry paniom.

Klementyna Suchanow rzuciła Marcie Lempart pytające spojrzenie. – K...a, przecież mówiłam „wszystko" – szepnęła w odpowiedzi. I pełnym głosem do Trzaskowskiego:

– Panie prezydencie, prawdę mówiąc, wolałabym zwracać się w ten sposób do pana jako prezydenta Polski – zaczęła Marta Lempart.

– Powiem paniom prawdę. Niestety, zostałem okradziony w ostatniej chwili. Oni wymyślili Konin, a niby sprzyjający nam Onet dymisję Andrzeja Dudy i rozpisanie nowych wyborów w innym terminie.

– Słyszałam o tym. Czytałam nawet, że to w redakcji Onetu przegłosowano decyzję o dymisji Dudy i... – wtrąciła Suchanow. Nie dokończyła jednak zdania, zgromiona wzrokiem przez Lempart, która dodała: – Niby przyjaciele, a głupimi informacjami – powoływali się na trzy niezależne źródła – wbili panu nóż w plecy.



Jerzy Jachowicz

– Teraz, po liście pana prezydenta do szefowej Unii Europejskiej, też się mówi o nożu w plecy. O co w tym chodzi?

– Klementynko kochana, co ty się uczepiłaś tego noża? Lepiej idź zrobić nam kawy.

Po jej wyjściu Lempart wyjaśniła: – Zauważył pan, że przyjaciółka cały czas coś bazgrze. Uparła się zdawać państwowy egzamin ze stenografii. Ćwiczy bez przerwy.

– Widzę, że rozgląda się pan po naszym medialnym królestwie. Skromnie. Wręcz ubogo. Stolik i fotele z demobilu. Liczymy na finansowe wsparcie naszych sympatyków.

– Może da się coś zrobić – wtrącił Trzaskowski.

W tym momencie wróciła z kawą Suchanow. – Możemy wkrótce rozpocząć nagranie?

– Klementyna, spójrz na listę pytań. Od czego zaczynasz? – zapytała Lempart.

– Czy mógłby pan wymienić najważniejsze osiągnięcie w czasie dwuletnich rządów w Warszawie? – przeczytała Suchanow.

– Chętnie powiem o tym. Na wszelki wypadek, żeby czegoś nie poplątać, zadzwonię tylko do swojej rzecznik. Dobrze?

eprasa.pl df468be33c



Zawsze jest dobry czas, by czytać

Wielkimi krokami zbliża się Boże Narodzenie. Za kilka chwil zasiądziemy przy pięknie zastawionym wigilijnym stole, połamiemy się opłatkiem, życząc sobie wszystkiego co najpiękniejsze. Choć w tym roku święta mogą być nieco inne, bo spędzimy je w węższym gronie niż zawsze, to jedno jest pewne: z radością obdarujemy się prezentami. A podarunkiem, który nigdy nie wyjdzie z mody, jest książka. To doskonały prezent dla dzieci, nastolatków, dorosłych i seniorów. Bo nigdy nie jest za wcześnie, by zacząć czytać z dzieckiem. I nigdy nie jest za późno, by wciąż razem czytać.

Zdaniem Piotra Wołochowicza, dyrektora Fundacji Misja Służby Rodzinie, czytanie aż do zaśnięcia pozwala rodzicom wpłynąć na myśli, z jakimi usypiają dzieci. To także inspiruje, poszerza horyzonty, gdy rodzice na bieżąco odpowiadają na pytania związane z lekturą. Sprawia, że dzieci usypiają spokojnie. Tego samego nie można powiedzieć, gdy dzieci przed zaśnięciem korzystają z telefonu czy telewizora. Państwo Wołochowiczowie zawsze czytali przed snem trójce swoich dzieci. Dziś, dorosłej już córce, gdy wieczorem nie może zasnąć, zdarza się zadzwonić do ojca i poprosić, by chwilę jej poczytał. Nie ma więc wątpliwości, że wspólne czytanie pozwala zbudować wyjątkową więź z dzieckiem oraz rozbudzić w nim pasję samodzielnego czytania na całe życie. Książki rozwijają słownictwo i pobudzają wyobraźnię, uwrażliwiają i otwierają na drugiego człowieka. Książka pomaga dziecku odkrywać tajemnice świata, a gdy jeszcze w tym odkrywaniu przewodnikiem są rodzice, wówczas sukces murowany. Żaden smartfon, komputer, tablet ani telewizor nie zastąpi książki, nic nie zastąpi kojącego głosu rodzica przed snem, żaden miś nie jest lepszy niż mama czy tata, do których można się przytulić, słuchając wspaniałej lektury.

Jednak kontakt dziecka z książką to nie tylko obcowanie z wartościową treścią, to także pierwszy kontakt ze sztuką. Ilustracje stanowią bardzo ważny element książek dla najmłodszych. Nie tylko wzbudzają zainteresowanie małych dzieci, ale również pomagają im zrozumieć fabułę. Dzięki literaturze młodzi ludzie doznają zwykle pierwszego w życiu kontaktu ze sztukami wizualnymi. Dlatego warto już od najmłodszych lat zafascynować dzieci sztuką i przekonać je do wizyty w muzeach oraz galeriach sztuki. Pomogą w tym oczywiście książki!

– Jeśli chcemy, żeby nasze dzieci były szczęśliwe, robiły kariery, podnosiły swoje aspiracje kulturalne i edukacje, to zacznijmy od czytania im książeczek, nawet jeśli nie mamy czasu – zachęca wicepremier Piotr Gliński, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu.

Przy tej okazji warto wspomnieć, że Instytut Książki z myślą o najmłodszych zorganizował trzecią już odsłonę bardzo udanej akcji „Mała książka – wielki człowiek". W tym roku głównym adresatem akcji są dzieci rozpoczynające naukę czytania. W latach ubiegłych akcja skierowana była do niemowląt (i ich rodziców, bo dzieciom czytać warto od pierwszych chwil po narodzinach) oraz dzieci w wieku przedszkolnym. W ramach tegorocznej odsłony kampanii do wszystkich szkół podstawowych w Polsce, które mają oddziały klas pierwszych, przekazywane są wyprawki czytelnicze dla pierwszoklasistów. W latach ubiegłych książki trafiły na oddziały położnicze i do bibliotek publicznych. W sumie w ramach akcji do różnych placówek publicznych przekazano już ponad półtora miliona książek. Projekt realizowany jest ze środków Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu i jest całkowicie bezpłatny zarówno dla szkół, jak i dla uczniów.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia Instytut Książki i tygodnik „Sieci" życzą Czytelnikom niezapomnianych przygód z książką.

Tekst powstał we współpracy z Instytutem Książki | 4/1220/F

eprasa.pl df468be33c

PRZEZ ŚWIETLIK

Świeczka dla ateisty



Wiktor Świetlik

Z ludzkim życiem jest odwrotnie niż z towarami, których wartość rośnie w miarę, jak ich ubywa. Im więcej osób umiera, tym ludzie mniej przeżywają, z tym mniejszym szacunkiem podchodzą do śmierci innych. Chyba coś takiego zaczyna następować w przypadku obecnej epidemii.

W zeszłym tygodniu w szpitalu w Kędzierzynie-Koźlu zmarł Janusz Sanocki, były poseł i wydawca, i ważny dla Dolnego Śląska opozycjonista. Facet z jajami. Zmarł na COVID-19. Miałem z Sanockim jakiś tam kontakt tak z 10 lat temu, kiedy pomagałem mu w sprawie nieustannego gnębienia przez platformerski układ władzy wydawanej przez niego w Nysie gazety. Nie da się ukryć, że prosił się o kłopoty. Mam wrażenie, że często szybciej mówił czy działał, niż myślał, do tego był w swoich sądach bardzo zatwardziały. Może właśnie to sprawiło, że w ostatnim czasie Sanocki wpisał się – niestety nie po raz pierwszy – w działanie skrajnie szkodliwe: przekonywanie, że koronawirus to histeria, oszustwo, maseczki szkodzą i tym podobne opinie. Z typowym dla siebie uporem bronił tego, jeszcze będąc w ciężkim stanie w szpitalu. Jak zawsze w takich sytuacjach nie zabrakło internetowych trolli, nawet takich podpisanych nazwiskiem, którzy po jego śmierci objawili swoistą satysfakcję. „Śmiałeś się, a teraz masz!".

„Tylko łachudry się nie mylą" – pisał Gałczyński o jednym z najzdolniejszych przedwojennych dziennikarzy, straconym w Palmirach, a wtedy i dziś gumkowanym za oenerowską tożsamość, Stanisławie Piaseckim. Gałczyński pisał to w czasie, kiedy sam wchodził wraz ze swoim pokoleniem literatów w ponury flirt ze stalinizmem. Może na zapas się usprawiedliwiał, a przecież czym innym jest się mylić, a czym innym świadomie podejmować podłe wybory. Ale zdanie o łachudrach ma w sobie sporo mądrości. Ludzie uczciwi często się mylą i trwają w tym, jak Janusz Sanocki, który ze szpitalnego łóżka, umierając, przekonywał, że „zdania nie zmienił".

Chyba warto o tym pamiętać. Ten, który nie wierzył w koronawirusa, tak samo zasługuje na świeczkę, jak kierowca londyńskiego autobusu, który w pierwszej fazie, zaraz po wybuchu epidemii, prosił publicznie pasażerów, by zakładali maseczki i utrzymywali dystans, a potem sam zmarł na COVID-19.

A na święta Bożego Narodzenia, życzę Państwu, byście – póki możecie – jak najbardziej cieszyli się swoimi bliskimi. Nawet jeśli widzicie ich tylko za pośrednictwem Skype'a, a ich poglądy przyprawiają was o palpitację serca.



Z życia Kościoła relacjonuje Agnieszka Ponikiewska

1. Przed nami Boże Narodzenie – najbardziej rodzinne ze świąt. To ważne w czasie, gdy kwestionuje się wartość rodziny i prawo do życia od poczęcia do naturalnej śmierci. To ważny czas w liturgicznym kalendarzu i ważny czas nawet dla tych, którzy na co dzień są z dala od Kościoła. Pamiętajmy, że Bóg, przychodząc na świat, zatroszczył się o nas i o innych. Nie pozwólmy, by opanował nas strach przed ludźmi, którzy otwarcie wypowiadają wojnę wszystkiemu, co święte.

✠ ✠ ✠

2. Abp Stanisław Gądecki, mając na uwadze zbliżające się Boże Narodzenie i potrzeby duchowe wierzących, poprosił premiera o zwiększenie limitu wiernych w kościołach. To ważne, by święta miały wymiar duchowy. Nie możemy zredukować ich do prezentów i zakupów, z których robienia nie rezygnuje się nawet w niedziele. Przewodniczący Episkopatu apeluje, by zrobić wszystko, aby – przy zachowaniu norm bezpieczeństwa – jak największa liczba osób miała możliwość uczestnictwa w świątecznej liturgii.

✠ ✠ ✠

3. Papież ogłosił, że rok 2021 w Kościele będzie poświęcony św. Józefowi. Jak zaznacza Franciszek, uczy on wartości, godności i radości pracy. Zwraca uwagę, na ciche, czułe i jednocześnie odważne ojcostwo św. Józefa. „Nikt nie rodzi się ojcem, ale nim się staje", stwierdza papież, ponieważ „podejmuje się troskę o dziecko", biorąc na siebie odpowiedzialność za jego życie. Z Rokiem św. Józefa, który potrwa przez następne 12 miesięcy, związany jest dar specjalnych odpustów. Korzystajmy z tego.

✠ ✠ ✠

4. Z powodu pandemii nie będzie w tym roku tradycyjnej wieczerzy wigilijnej dla samotnych, ubogich i bezdomnych. Caritas i inne organizacje nie zapominają jednak o potrzebujących. W wielu miastach będą ciepłe posiłki na wolnym powietrzu lub na wynos i paczki świąteczne. W tym trudnym roku pamiętajmy jeszcze bardziej o ubogich. Caritas Polska w ramach tegorocznej 27. edycji Wigilijnego Dzieła Pomocy Dzieciom przygotował też ok. 2 mln świec, które zapłoną na wigilijnych stołach. Zebrane w ten sposób środki będą przeznaczone na pomoc dla dzieci w Polsce i w krajach Bliskiego Wschodu, dotkniętych konfliktami zbrojnymi.

Reklama | 72/0120/F

eprasa.pl df468be33c



Patroni medialni:

TVP 1 · Polskie Radio · Gość Niedzielny · niedziela · idziemy

Akcję wspierają:

plus · orange · T-Mobile · Heyah · PLAY · DIGITAL VIRGO

eprasa.pl df468be33c

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

My, Kościół

Wieczerza wigilijna jest obecnie świadectwem, niemal jak za pierwszych chrześcijan



Ryszard Makowski

Rok 2020 zmienił oblicze ziemi. Panoszy się wszechobecna niewiadoma, a my poruszamy się po omacku w rzeczywistości zarazy COVID-19. Bez wątpienia ucierpiało wiele sfer życia, ale obostrzenia szczególnie dotkliwie uderzają w katolików. Ograniczenia w udziale wiernych we mszy, trudności z przyjmowaniem komunii świętej. Przeżyliśmy już Wielkanoc w wersji nierodzinnej, a teraz musimy obejść Wigilię i Boże Narodzenie także w sposób dostosowany do pandemicznych wymogów.

Ponadto, być może przypadkiem, a być może na skutek masońskiego podszeptu, wzmógł się atak na Kościół katolicki. Do tej pory były artykuły i filmy ukazujące księży i hierarchię wyłącznie jako zdemoralizowanych pyszałków, ale to nie wystarczyło. Zarządzono bezpośredni atak na budynki sakralne, zakłócanie mszy, a nawet podżeganie do palenia kościołów. W sieci widać zastępczynię dyrektora Galerii Miejskiej Arsenał w Poznaniu ciskającą jajkami w drzwi kościoła garnizonowego pw. Podwyższenia Krzyża Świętego.

Doszliśmy do momentu niezwykle trudnego dla wyznawców Jezusa Chrystusa. Zarówno część purpuratów, jak i władze pozostawiają nas samym sobie. W Kościele nie widać koniecznej odnowy, a państwo nie potrafi dewastatorów miejsc kultu pociągnąć do odpowiedzialności, choćby finansowej.

Ale siadając do wigilijnej wieczerzy, pamiętajmy, że to my, zwykli ludzie, jesteśmy Kościołem. I dopóki będziemy się łamali opłatkiem, dając świadectwo naszej wierze, ten Kościół będzie trwał.

eprasa.pl df468be33c

Michał Korsun prezentuje:
Holandia, kraj tulipanów i eksplodujących biedronek

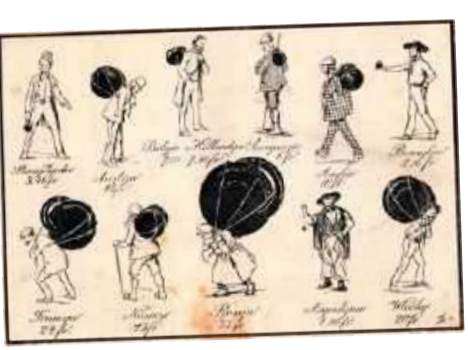


Wycinki z przeszłości

Co kosztuje biurokracja? – pytali autorzy kalendarza Gebethnera i Wolffa na rok 1912. Przedstawionej powyżej grafice towarzyszył opis: „W paryskim »Journal des Chambres de Commerce« ukazała się notatka, wykazująca, ile kosztuje obywatela danego państwa utrzymanie organizmu administracyjnego. W Szwajcarii obywatel płaci na biurokrację najmniej, bo tylko 6 franków rocznie, w Belgii i Holandii 7,20 do 7,80, w Anglii 10 franków, w Niemczech 13 franków (w Prusach 15 franków), w Austrii 14 franków. We Włoszech 20 franków, we Francji 24 franki, a w Rosji 33 franki. Natomiast w Stanach Zjednoczonych koszt utrzymania urzędników wynosi na głowę mieszkańca 3,48 franka, w Brazylii 2,76, a w Argentynie 1,86 franka. Stany Zjednoczone, prawie dwa razy liczniejsze od Francji, wydają na swoich urzędników 7 razy mniej od niej".

Oczywiście musimy pamiętać o innej wówczas wartości pieniądza. I o tym, że czasami brak administracji kosztuje obywateli jeszcze więcej, czy to wskutek korupcji, czy braku bezpieczeństwa. Ale mimo wszystko warto co jakiś czas pytać, ile kosztuje nas rząd i czy nie czas na przegląd wydatków. To zdrowe dla życia publicznego.

(mk)



Kantyczka mała

(do śpiewania na stosownie dobraną nutę)



Leszek Długosz

Kantyczka mała, lecz doskonała
Z ciszy się z mroku wyłania
Gdzie byś nie kluczył
Usłyszysz – wrócisz
– Znowu u szopy tej staniesz

Co za muzyka, że tak dotyka serca
I lód – że topnieje
Że w noc przepastną widzisz znów jasność
– Gwiazdę i Szlak i Nadzieję

Snuj się, piosneczko, utulaj, Dziecko
Jak śnieżna kulo, mknij Ziemio
W bezkresną noc ciemną

– Lampy krąg jasny
– Twarze, co zgasły
Serca dziecinną kołatką przywołaj
Zawołaj
Tu zaproś raz jeszcze

Lulaj nam lulaj, piąstki roztulaj
– Siano niech pachnie jak wiosenne ziele
Moc czarodziejska przy tych jasełkach
– Że czas nie za późny, że trud nie na próżny
Spraw znowu
– Weź gorycz, a wiary
Tej wiary daj wiele...

Kantyczka śliczna – słów zwykłych kilka
Od zawsze znasz je na pamięć
Nagle zanucisz, a jakbyś wrócił
– W świat znowu pełen uniesień
Najpierwszych
Najszczerszych
– Co przecież
– Co jeszcze nie kłamią...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl df468be33c

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Fałszywy Święty Mikołaj

Gdy dzieciaki osiągną pewien wiek, mówimy im, że tak naprawdę to św. Mikołaja nie ma. Bo podobno ludzie dorośli w św. Mikołaja nie wierzą.

PODOBNO

Gdy z dystansu patrzymy na obecny zgiełk wokół kierunków naszej polskiej polityki wobec Unii Europejskiej, trudno oprzeć się wrażeniu, że jednak – mimo wszystko – spora część naszych rodaków w św. Mikołaja wierzy. A nawet jeśli nie całkiem wierzy, to zdradza wyraźne oznaki pragnienia, by jednak taki Mikołaj istniał. I żeby była nim dobra ciocia Unia E.

Oto musimy być grzeczni, ba, nie wystarczy, że grzeczni, musimy być entuzjastyczni w stosunku do Unii, gdyż jak okażemy trochę choćby zdroworozsądkowego krytycyzmu, to ciocia przestanie prezenty nam dostarczać.

To mikołajowe myślenie od samego początku jest nam wdrukowywane – np. gdy przy jakiejś inwestycji widzimy dużą (koniecznie dużą) tablicę informującą, ile to pieniędzy ciocia Unia nam dała.

CZYM UNIA E. JEST?

Unia Europejska jest związkiem państw, które mają interesy. Jedne są wspólne, inne zaś rozbieżne. Na tym to polega. Na mądrym równoważeniu pierwszego z drugim. Wszelka jednostronność jest tu niemądra i niebezpieczna.

Wizja, że wszystkie kraje mają interesy wspólne, jest po prostu głupia. Na przykład kraje południa Europy mają problem z emigracją z Afryki i Azji. Poświęcają temu dużo uwagi i zasobów, a zarazem są mało wrażliwe na zagrożenia ze strony Rosji niepokojące dla krajów wschodniej flanki UE. Choć interesy są tu rozbieżne, to dobrze by było, aby politycy i obywatele każdej z obu stron brali pod uwagę rozsądne interesy grupy drugiej.



Gdy słyszymy, że Unia Europejska nam coś dała, to dostrzegamy w takich głosach tęsknotę – jeśli nie za św. Mikołajem, to co najmniej za dobrą ciocią z Ameryki

Unia jest związkiem państw, które mają różną wielkość, ludność, gospodarkę. W grach międzynarodowych mają różną – niekiedy bardzo istotnie – siłę. Porównajmy np. Maltę, Cypr i Estonię z największymi – Niemcami i Francją.

Dlaczego jedne – te bogatsze – kraje Unii płacą do wspólnego budżetu więcej (licząc na głowę mieszkańca) niż inne? Dlaczego ich klasa polityczna się na to godzi, a obywatele przyzwalają? Gdyż zarówno wpłaty wnoszone do wspólnego budżetu Unii, jak i wypłaty z niego pobierane, to tylko jeden z kanałów wymiany wspólnych – nie zawsze równoważnych – korzyści. Bogatsze kraje UE korzystają z otwarcia rynków krajów uboższych, choć zarazem różnymi sztuczkami próbują swoje rynki chronić przed dynamicznymi firmami z takich krajów jak Polska. Wystarczy przypomnieć spór o zasady delegowania pracowników.

Wszyscy korzystamy ze stworzenia wspólnej strefy kulturowej, gdzie nie toczą się wojny, a spory rozstrzygane są drogą negocjacji, nie zaś wojenek. Wcale nie znaczy to jednak, że nie ma nacisków, podchodów, układania się jednych grup krajów przeciw innym i po prostu gry nie fair.

NIE WIDAĆ? MOŻNA WIERZYĆ!

Nie tylko w Polsce badania pokazują, że obywatele nierzadko deklarują większe zaufanie do instytucji unijnych niż do swoich krajowych. Chociaż wystarczy wiedzę pogłębić, by zobaczyć, że zagrożenia korupcyjne, lobbystyczne, oligarchiczne wcale instytucji brukselskich nie omijają.

Jak to wyjaśnić? Chyba właśnie przez syndrom św. Mikołaja. Dla ogromnej większości obywateli państw UE ich krajowe instytucje są blisko, a ułomności ich działania są na własnej skórze silnie odczuwane. Instytucje unijne zaś są gdzieś tam daleko, ich biurokratyzacja oraz niesprawności nie są już tak łatwo dostrzegalne.

Gdy słyszymy zatem, że Unia nam coś dała (albo może zabrać), to dostrzegamy w takich głosach tęsknotę – jeśli nie za św. Mikołajem, to co najmniej za dobrą ciocią z Ameryki. Ale Unia – nawet jako projekt budzący wielkie nadzieje – to przede wszystkim polityka. Nawet najbardziej demokratyczna polityka jest zawsze mieszaniną troski o dobro wspólne oraz gry o konkretne, niekiedy nader egoistyczne interesy.

Jeśli postrzeganie Unii jako św. Mikołaja jest przejawem tęsknoty za dobrem i miłością, to lepiej jednak tęsknoty tej nie lokować w biurokratycznych instytucjach międzynarodowej władzy, ale w rodzinie, w drugim konkretnym człowieku, w przyjacielu, we wspólnocie historycznego losu.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 2/1120/F

eprasa.pl df468be33c

Sieć Przyjaciół

JEDNA SUBSKRYPCJA - TRZY TYTUŁY



SIECI + wSIECI HISTORII + wPolityce.pl

• WYGODNIE • W DNIU WYDANIA

- tygodnik Sieci i magazyn wSieci Historii w wersji cyfrowej (pdf)
- archiwum obu tytułów od 2017 r.
- dostęp do strefy Premium portalu wPolityce.pl

1 miesiąc TYLKO 9,99 zł

ZAMÓW JUŻ DZIŚ: www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl df468be33c

Loteria Świąteczna

LOTTO

Do wygrania 5 MILIONÓW zakładów Lotto

oraz ponad 500 nagród!



2 x Toyota Yaris



20 x SONY Xperia 5 II



12 x iRobot Roomba s9



500 x Bon upominkowy

Kup dowolne produkty za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z 5 milionów zakładów Lotto.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

18+ Informujemy, że w gry liczbowe i loterie mogą grać jedynie osoby, które ukończyły 18 lat.

Szczegóły i regulamin na **lotteriaswiateczna.pl**. Okres sprzedaży promocyjnej trwa **od 26 listopada do 31 grudnia 2020 r**. Liczba talonów jest ograniczona i wynosi 5 000 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl df468be33c

Potrzebujemy więcej świadomych odbiorców mediów

POLSKIE POSTANOWIENIE NA NOWY ROK – NIE DAJMY SIĘ WIĘCEJ OSZUKIWAĆ!

Przełom roku to dobry moment na podejmowanie postanowień, które zwykle dotyczą spraw związanych z naszą kondycją fizyczną. Jednak wyjątkowy, pełen niepokojów i napięć rok 2020 powinien nas skłonić do zadbania także o sferę naszej psychiki. W tym celu warto postanowić sobie, by w sposób świadomy uniezależnić się od mechanizmów, które starają się wywołać w nas negatywne emocje. Jak to zrobić? Przede wszystkim musimy się nauczyć rzetelnej weryfikacji informacji, którymi jesteśmy zalewani każdego dnia.

Jeszcze nigdy w historii ludzkości nie mieliśmy do czynienia z takim szumem informacyjnym jak obecnie. Dzieje się tak dlatego, że rola dostarczycieli wiadomości o otaczającym nas świecie nie ogranicza się już tylko do ośrodków medialnych, ale właściwie każdy użytkownik internetu, a głównie mediów społecznościowych, stał się dziś źródłem, nośnikiem bądź przekaźnikiem treści informacyjnych. Ta nowa rzeczywistość sprawia, że propagandowe znaczenie informacji stało się dziś bardzo cennym orężem dla wszystkich ośrodków zabiegających o naszą uwagę, o nasze przekonania, o nasze poparcie i wreszcie o nasze pieniądze.

JAK NIE BYĆ ŁATWYM CELEM

Warto sobie uświadomić, że w przestrzeni informacyjnej trwa nieustanna walka, której celem jesteśmy my – odbiorcy. I tylko od nas zależy, czy będziemy celem łatwym „do upolowania" dla wszelkiej maści ideologów czy twórców niusów, bardzo często fałszywych, czy też ocalimy niezależność naszego myślenia opartego na zasadach klasycznej logiki, zdrowego rozsądku oraz dobrze rozumianej i dobrze używanej nieufności.

Aby podreperować kondycję psychiczną po pandemicznej traumie mijającego roku, warto sobie postanowić, że w nowym roku 2021 nie damy się już więcej oszukiwać. Powinniśmy sobie obiecać, że podejmiemy próbę nauczenia się mechanizmów obronnych przed zalewającymi nas zewsząd fałszem i kłamstwem, które mają na celu zdestabilizowanie naszych emocji i przez to zrobienie z nas osób podatnych na manipulację.

Powinniśmy nauczyć się walczyć z twórcami fałszywych informacji i nieuczciwymi kreatorami złych emocji tą samą bronią, jaką oni starają się zawładnąć naszą świadomością. Innymi słowy z bezprecedensowego dostępu do informacji i wiedzy, jaką mamy dziś dzięki zasobom internetowym, możemy uczynić nasz oręż do weryfikacji wszelkich źródeł zalewającego nas oceanu wiadomości. Aby osiągnąć cel tego noworocznego postanowienia, powinniśmy zacząć od nauki rozpoznawania kilku powszechnych zjawisk, jakie nas otaczają w przestrzeni medialnej i całym wirtualnym świecie.

NAUCZYĆ SIĘ CZYTAĆ OD NOWA

Najlepiej zacząć od funkcji społecznej, jaką pełnią obecnie dziennikarze, i porównania jej do czasów sprzed kilku dekad. Jeżeli podejmiemy ten trud, szybko nauczymy się przesiewać podawane treści na suche fakty i ideologiczne komentarze, nauczymy się odróżniać materiały, które chcą nas uczciwie informować, od tych, które chcą jedynie wyzwolić w nas określone emocje. Instynktownie wreszcie dojdziemy do nawyku weryfikacji każdej informacji, której celem będzie wywołanie naszego oburzenia, złości czy nawet nienawiści wobec konkretnej osoby.

TO WAŻNE DLA POLSKI

Jeżeli sami nie podejmiemy trudu, by stać się naprawdę świadomymi odbiorcami treści informacyjnych, czeka nas pogrążanie się w świecie, w którym coraz trudniej będzie o rzetelną i uczciwą wiedzę, z którego zostanie wyparta wszelka prawda, a zamiast informacji pozostanie jedynie towar lansujący zawsze określone tezy i realizujący interesy jego twórcy. To niebezpieczna wizja świata, niebezpieczna zwłaszcza w takim kraju jak Polska, gdzie niestety wciąż większość ośrodków medialnych znajduje się w rękach obcego kapitału i realizuje przy użyciu rzekomej misji informacyjnej jego interesy, najczęściej sprzeczne z interesami Polaków. Czy zatem nadchodzący rok uda się uczynić przełomowym w świadomości polskiego społeczeństwa? ●

PARTNERZY DODATKU

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl df468be33c



Oprawcy mogą się już bać!

Natychmiastowa izolacja oprawców od ofiar, szybka ścieżka legislacyjna, ale przede wszystkim możliwość błyskawicznego przerwania patologicznej spirali przemocy domowej – takie narzędzia organom porządkowym dało ustawa antyprzemocowa, która 30 listopada weszła w życie. Jest to niewątpliwy sukces i zasługa obecnego kierownictwa resortu sprawiedliwości, które bardzo długo zabiegało o to, by Polska dołączyła do wąskiego grona państw, w których obowiązuje najwyższy standard ochrony ofiar tego typu przestępstw.

– My nie marnujemy czasu, działamy, a nie tylko dyskutujemy o zapobieganiu przemocy – podkreślił minister sprawiedliwości, prokurator generalny Zbigniew Ziobro podczas konferencji prasowej poświęconej nowym przepisom.

Dzięki rozwiązaniom zaproponowanym przez Ministerstwo Sprawiedliwości pomoc dotrze do potrzebujących natychmiast, a nie po kilku tygodniach lub miesiącach, jak zdarzało się dotychczas w sprawach cywilnych rozstrzyganych na drodze sądowej. Ustawa antyprzemocowa pozwoli uniknąć sytuacji, w których ofiary przemocy są zmuszone do życia pod jednym dachem z prześladowcą lub muszą szukać schronienia poza własnym domem.

SPRAWCA PRZEMOCY NATYCHMIAST OPUŚCI MIESZKANIE

Za sprawne i szybkie przygotowanie przepisów, które Sejm przyjął niemal jednogłośnie, podziękowała obecna na konferencji poseł Aleksandra Szczudło. – Przemoc domowa to ciągle istotny problem. Z danych policji za rok ubiegły wynika, że dotknęła ona prawie 90 tys. osób, w tym 60 tys. kobiet. To i tak niepełny obraz, bo często poszkodowani, którzy przeżyli piekło, nie potrafią szukać pomocy – stwierdziła.

Teraz, dzięki nowym przepisom, sprawca przemocy fizycznej zagrażającej życiu lub zdrowiu domowników bezzwłocznie opuści mieszkanie.

– Policja dostała nowe narzędzie i może takie opuszczenie mieszkania przez prześladowcę wyegzekwować. Ponadto winny przemocy dostanie zakaz zbliżania się do ofiar na dwa tygodnie z możliwością przedłużenia tego czasu. Te sankcje natychmiast wyegzekwuje policja, a sądy szybko zajmą się sprawą – mówił wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski, który nadzorował prace nad ustawą.

Przypomniał także, że Ministerstwo Sprawiedliwości przeprowadziło specjalne szkolenia dla ok. 30 tys. funkcjonariuszy policji i Żandarmerii Wojskowej, którzy będą uczestniczyć w działaniach przewidzianych przez nowe przepisy. Szkolenia przeszły także osoby pierwszego kontaktu, które zajmują się poszukującymi pomocy w ośrodkach świadczących takie wsparcie.

SKUTECZNE EGZEKWOWANIE SANKCJI

Nakaz opuszczenia mieszkania wobec sprawcy przemocy będzie egzekwowany – łącznie z możliwością użycia środków przymusu – bez względu na ewentualne twierdzenie winnego, że nie ma dokąd się wyprowadzić. Policjant wskaże mu placówki zapewniające miejsca noclegowe, np. schronisko dla bezdomnych. Wobec sprawcy przemocy policjant będzie mógł również wydać zakaz zbliżania się do mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia. Policja będzie też zobowiązana do regularnego sprawdzania, czy sprawca przemocy stosuje się do tych sankcji. Jeśli złamie zakaz, policja będzie mogła zastosować środki przymusu, by wyegzekwować nałożone zobowiązanie. Poza tym sprawca przemocy narazi się na zastosowanie aresztu, ograniczenia wolności lub grzywny. Te same zasady dotyczą egzekwowania nakazu opuszczenia mieszkania.

SZYBKIE POSTĘPOWANIA

Dodatkowo w określonych przez ustawę sprawach pisma procesowe będą mogły być doręczane nie tylko przez pocztę, lecz również za pośrednictwem policji. Będzie ona też zobowiązana do udzielania sądowi wszelkiej pomocy niezbędnej do szybkiego zakończenia sprawy, np. przy ustaleniu adresu świadka. W pewnych przypadkach sąd będzie mieć trzy dni na rozpatrzenie wniosku ofiary przemocy, natomiast całą sprawę będzie musiał rozpoznać w ciągu miesiąca od złożenia wniosku. Ofiary będą też mogły uzyskać pomoc psychologiczną lub wsparcie i leczenie w zakresie uzależnień, które są główną przyczyną przemocy domowej. ●

SPRAWDZONE ROZWIĄZANIA

Nowe przepisy wzorowane są na rozwiązaniach stosowanych z powodzeniem w innych państwach. W Austrii policyjny nakaz opuszczenia mieszkania przez sprawcę przemocy fizycznej obowiązuje już ponad 20 lat i wydawany jest na 14 dni. Podobne rozwiązanie wprowadzono w Czechach. Obejmuje m.in. nakaz opuszczenia mieszkania przez winnego przemocy oraz zakaz kontaktowania się z ofiarami.

eprasa.pl df468be33c



Odzyskują godność, którą zabrała przemoc

TAK POMAGA RODZINOM FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

Rodzina powinna być ostoją, kojarzyć się z bezpieczeństwem, spokojem i wsparciem, dawać poczucie wspólnoty. Niestety gdy jeden z jej członków zawodzi, cierpią wszyscy inni domownicy. Specjaliści z ośrodków finansowanych z Funduszu Sprawiedliwości starają się pomóc od nowa ułożyć życia osobom skrzywdzonym we własnych rodzinach.

HISTORIA KAI

Pani Kaja ma 36 lat, jest mamą 15-letniej Wiktorii i 12-letniej Basi. W Ośrodku Pomocy Pokrzywdzonym zgłosiła problem przemocy ze strony męża, trwający od ponad ośmiu lat. Kobieta wiele razy doświadczała przemocy fizycznej, takiej jak bicie, duszenie, szarpanie, kopanie, popychanie, wyrzucanie z domu i niszczenie mienia. Wspomina, że w ten sposób straciła album ze zdjęciami rodziców i ulubione książki. Ponadto była ofiarą przemocy psychicznej w postaci wyzwisk, krzyków, ubliżania, poniżania, szantażu emocjonalnego i gróźb karalnych. Skala przemocy przybierała postać coraz bardziej zagrażającą zdrowiu i życiu rodziny. Zdarzały się również próby samobójcze. Obecnie dzięki orzeczeniu sądu sprawca odsiaduje pięcioletni wyrok pozbawienia wolności. Z panią Kają w Ośrodku ustalono plan powrotu do normalności. Psycholodzy zajęli się odbudowywaniem jej poczucia własnej wartości i zaufania, a prawnicy udzielili rzetelnych porad prawnych. W trakcie odbywania kary sprawca wysyłał do pani Kai listy, w których wyzywał poszkodowaną – używał także gróźb karalnych. Dzięki radom terapeutów pani Kaja poinformowała przełożonych więzienia o zachowaniu byłego męża. Następnie złożyła także pismo do prokuratury i policji. Efektem podjętych działań wobec więźnia jest zasądzenie zakazu wszelkich kontaktów i zbliżania się do rodziny po wyjściu z zakładu karnego na siedem miesięcy. Ponadto pani Kaja otrzymała także bony na zakup żywności i potrzebnej odzieży, dofinansowanie dopłat do bieżących zobowiązań czynszowych oraz pokrywanie kosztów kształcenia w szkołach publicznych dzieci. Działania pracowników ośrodka poskutkowały tym, że kobieta wyprowadziła się z mieszkania teściowej i byłego męża. Wynajęła mieszkanie, w którym mieszka razem z dziećmi. Pracuje zawodowo, a na jej twarzy coraz częściej można zobaczyć uśmiech i radość, bo wie, że gdy tylko coś ją zaniepokoi, może zgłosić się po pomoc do ośrodka.

HISTORIA OLGI

Pani Olga samotnie wychowuje dwie córeczki w wieku 13 i 2 lat. Jest ofiarą przemocy fizycznej i psychicznej ze strony męża. Tak jak w każdym przypadku dotyczącym przemocy w rodzinie, pani Olga została otoczona przez Ośrodek Pomocy Pokrzywdzonym opieką prawno-psychologiczną. Pani Olga do ośrodka przychodziła regularnie, nie tylko po pomoc, ale czasem także po zwykłą rozmowę i uśmiech. Pewnego razu zdezorientowana kobieta poprosiła o wsparcie w sytuacji związanej ze starszą córką Klarą. Matka zaobserwowała, że dziewczynka dużo czasu spędzała na kontaktach telefonicznych. Pewnego razu kobiecie udało się odczytać wiadomości kierowane do córki przez nieznanego mężczyznę, który starał się namówić dziewczynkę do wysłania mu rozbieranych zdjęć. Pracownik ośrodka niezwłocznie skontaktował się z Wydziałem ds. Nieletnich Powiatowej Komendy Policji. Następnie funkcjonariusz policji wraz z mamą Klary pojechali do mieszkania, gdzie przeprowadzili długą pouczającą rozmowę z dziewczynką oraz skonfiskowali jej aparat telefoniczny. Przeprowadzone postępowanie wykazało, że osobą namawiającą nieletnie dziewczyny do rozbieranych zdjęć był starszy od nich chłopak. Poprzez fałszywe miłosne wyznania starał się wzbudzić ich zaufanie. Zostali o tym poinformowani jego rodzice. Klara po wielu rozmowach z terapeutą zrozumiała, że w kontaktach z nieznajomymi powinna zachować szczególną czujność. Dziś jest wdzięczna pracownikom ośrodka za pomoc w uświadomieniu jej, jak niebezpieczne może być udostępnianie swoich prywatnych zdjęć nowo poznanym osobom. ●

Zdjęcia: Shutterstock

eprasa.pl df468be33c



Komu przeszkadza promocja wiedzy o dostępnej pomocy?

Media nieprzychylne rządowi Zjednoczonej Prawicy, czyli w głównej mierze te, które należą do podmiotów z kapitałem zagranicznym, nie ustają w wysiłkach deprecjonowania wszelkich inicjatyw mających poprawić jakość życia Polaków. Krytykowane są wszelkie działania, które dowodzą troski rządzących o obywateli i dzięki temu mogą przysporzyć rządzącym poparcia, co tak właśnie irytuje zagraniczne ośrodki decyzyjne. Krytykowane są zatem np. szpitale polowe, ale także promowanie Funduszu Sprawiedliwości, który w ostatnich latach stał się nareszcie skutecznym narzędziem pomocy dla osób dotąd wykluczonych.

Chociaż Fundusz Sprawiedliwości został powołany już w 1997 r., to głośno o nim zrobiło się dopiero w ostatnich latach, kiedy kierownictwo resortu sprawiedliwości, który sprawuje nadzór nad nim, objął Zbigniew Ziobro. To wówczas budżet FS został zwielokrotniony, osiągając w 2019 r. 76 mln zł, co sprawiło, że Fundusz stał się naprawdę efektywnym narzędziem do realizacji swoich ustawowych zadań. FS jest funduszem celowym ukierunkowanym nie tylko na pomoc ofiarom przestępstw, ale także ich świadkom, zawiera więc w sobie ideę kompleksowego przeciwdziałania skutkom przestępstwa. Środki, jakie zasilają Fundusz Sprawiedliwości, trafiają do niego m.in. z nawiązek zasądzanych od skazanych przestępców i z części wypłat, jakie otrzymują osoby skazane pracujące podczas odbywania kary pozbawienia wolności.

POLACY MUSZĄ POZNAĆ FUNDUSZ

Pomoc w ramach Funduszu realizowana jest za pośrednictwem ok. 370 ośrodków ulokowanych w całej Polsce. W ostatnich latach specjaliści z tych ośrodków – prawnicy, psychologowie i asystenci rodziny – pomogli kilkuset tysiącom osób, głównie zagrożonych przemocą domową, ale także ofiarom oszustw, kradzieży czy rozbojów. Modus operandi świadczonej pomocy jest jednak taki, że to potrzebujący muszą się zgłosić do ośrodka po pomoc: osobiście lub też w formie proponowanej na stronie internetowej (patrz ramka). Dlatego tak ważne jest, by działalność Funduszu Sprawiedliwości stała się powszechnie znana w polskim społeczeństwie. Niestety lata zaniedbań i bardzo małej efektywności Funduszu Sprawiedliwości doprowadziły do tego, że dziś konieczna jest szeroka kampania informacyjna, która pozwoli dowiedzieć się o istnieniu możliwości znalezienia pomocy. Dlatego też niewielka stosunkowo część środków Funduszu musi być przeznaczana na kampanie informacyjne, realizowane w mediach. To ten fakt właśnie jest głównie wykorzystywany jako zarzut rzekomego wydawania środków FS niezgodnie z przeznaczeniem.

KAMPANIA PRZYNOSI REZULTATY

Tymczasem to, jak ważna jest medialna aktywność w obszarze treści informujących o działaniach i celach FS, pokazał raport Instytutu Badań Pollster, w którym badano wpływ kampanii medialnych na wzrost wiedzy Polaków o istnieniu tego narzędzia pomocy. Według raportu aktywność medialna spowodowała, że znacząco wzrosła liczba respondentów, którzy poprawnie rozpoznają cele i główne aspekty działania Funduszu, wymieniając głównie „pomoc pokrzywdzonym", „pomoc świadkom przestępstw" oraz „przeciwdziałanie przestępczości". Odsetek ten wzrósł z 33 proc. na początku kampanii informacyjnej do 51 proc. po jej półrocznym prowadzeniu. Jednocześnie odnotowano wyraźny spadek liczby osób, które wciąż nie wiedzą, jaki jest cel i istota działania FS. Odsetek osób odpowiadających „nie wiem, jaki jest główny cel działania FS" wyniósł w badaniu podsumowującym 34 proc. w stosunku do 46 proc. na początku kampanii. Widać wyraźnie zatem, że kampanie przynoszą skutek i należy je kontynuować, nie oglądając się na krytykę. ●

JAK SKORZYSTAĆ Z POMOCY SPRAWIEDLIWOŚCI

O pomoc w ramach Funduszu Sprawiedliwości najłatwiej się zwrócić, telefonując na całodobową, czynną 7 dni w tygodniu infolinię obsługiwaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości **222 309 900**.

Połączenie z tym numerem jest bezpłatne dla ofiar i świadków przestępstw. Jednocześnie więcej sposobów kontaktu można znaleźć na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl, gdzie m.in. można znaleźć wykaz kilkuset ośrodków pomocowych.

eprasa.pl df468be33c